



ADZIEŚCIA.

SPIS RZECZY.

	strona.
KSIĘGA SZOSTA. — ZASCIANEK.....	5
KSIĘGA SIODMA. — RADA.....	39
KSIĘGA OSMA. — ZAJAZD.....	69
KSIĘGA DZIEWIĄTA. BITWA.....	113
KSIĘGA DZIESIĄTA. EMIGRACYA. JACEK.....	155
KSIĘGA IEDENASTA. ROK 1812.....	207
KSIĘGA DWUNASTA. KOCHAJMY SIĘ.....	243
OBJAŚNIENIA.....	289.

W TYPOGRAFJI A. PINARD, PRZY WYDRZEŻU VOLTAIRE, 15.



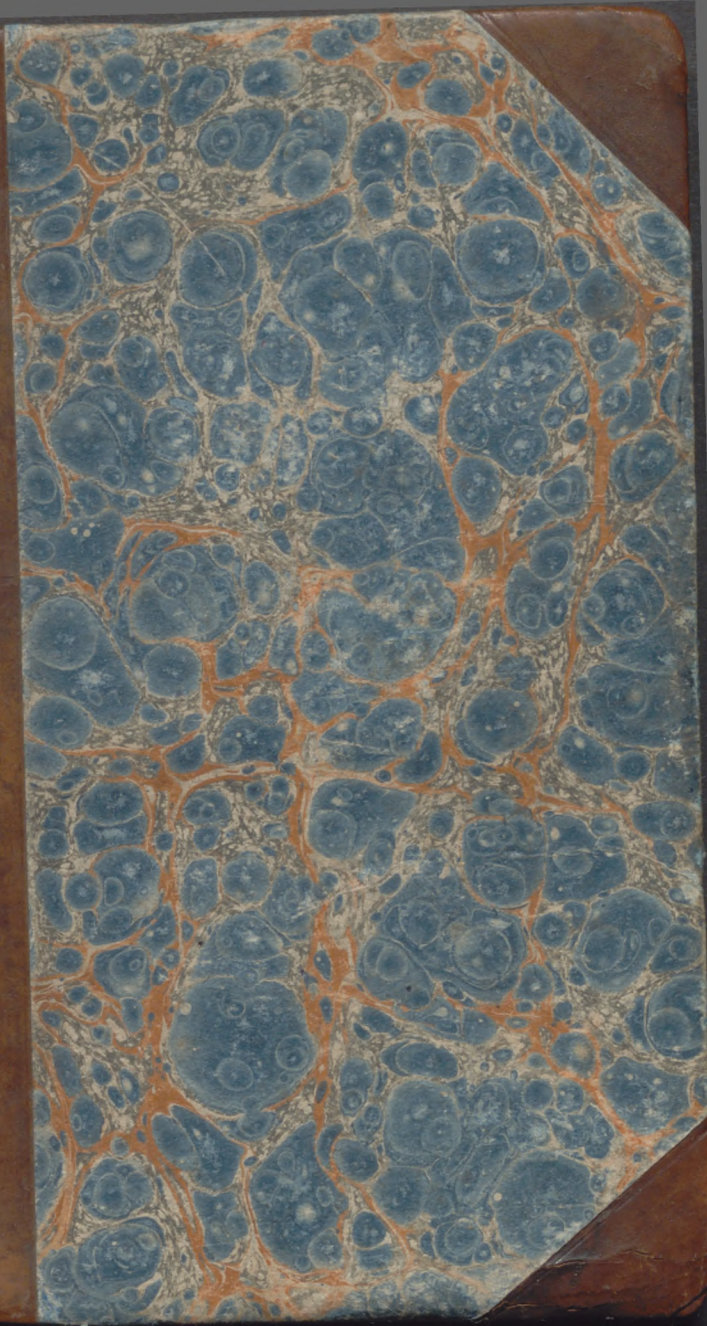


MICKIEWICZ

PAN
TADEUSZ
II



1852



Michiewiciaua



ZBIOR

ALFREDA BIRKENMAYERA

PAN TADEUSZ.

82856

PAN
T A D E U S Z

CZYLI
OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Historja szlachecka

z r. 1811 i 1812,

WE DWUNASTU KSIĘGACH, WIERSZEM,

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

—
TOM DRUGI.

—
Wydanie Aleksandra Żelomickiego,
S POPIERSIEM AUTORA.

—
PARYŻ.

1834.

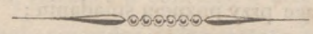
—
W TYPOGRAFJI A. PINARD,
PRZY WYBRZEŻU VOLTAIRE, 15.

WYDZIAŁ HISTORII

K. 1374/108



ZAŚCIANEK.



TREŚĆ.

Pierwsze ruchy wojenne zajazdu—Wyprawa Protazego — Robak s Panem Sędzią radzą o rzeczy publicznej—Dalszy ciąg wyprawy Protazego bezskutecznej — Ustęp o konopiach — Zaścianek szlachecki Dobrzyn—Opisanie domostwa i osoby Maćka Dobrzyńskiego.

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca; wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy.
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką: w stronie wschodu
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,

Że słońce wstało, tędy ma wstąpić na ziemię,
Lecz idzie nie wesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim, wszystko się spóźniło
Na ziemi; było późno na paszę ruszyło,
I zdybało zające przy późnym śniadaniu;
One zwykły do gajów wracać o świtanie,
Dziś okryte tumanem, te mokrzyć chrupią,
Te jamki w roli kopiąc, parami się kupią,
I na wolnym powietrzu myślą użyć wezasa;
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa,
Otrząsnął piórze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś u brzegów kałuży
Klece bocian; na kopach siedzą wrony zmokłe,
Rozdziawiwszy się ciągną gawędy rozwlokłe,
Obrzydłe gospodarzom jako wróżby słoty.
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą pioskę zwyczajną,

Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,
Tęm smutniejszą że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka;
Chrzęsneły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; s końcem każdej zwrotki
Stają, ostrzą żelazca i w takt kują w młotki.
Ludzi we mgłę nie widać, tylko sierpy, kosy,
I pieśni brzmia, jak muzyk niewidzialnych głosy.

W środku na snopie zboża Ekonom usiadłszy
Nudzi się, kręci głową, roboty nie patrzy,
Pogląda na gościniec, na drogi rosstajne,
Kędy działały się jakieś rzeczy nadzwyczajne.

Na gościńcu i drogach od samego ranka
Panuje ruch niezwykły; stąd chłopska furmanka
Skrzypi, lecąc jak poczta, stąd szlachecka bryka
Czwałem tarkocze, drugą i trzecią spotyka:
Z lewej drogi posłaniec jak kurier goni,
Sprawę przebiegło w zawód kilkanaście koni,
Wszyscy spieszą, ku różnym kierują się stronom:
Co to ma znaczyć? Powstał ze snopa Ekonom.

Chciał przypatrzeć się, spytać; długo stał nad drogą,
 Daremnie wołał, nie mógł zatrzymać nikogo,
 Ni poznać we mgle. Jezdni migają jak duchy,
 Tylko słychać raz po raz tentent kopyt głucho,
 I co dziwniejsza jeszcze, szcęknięcie pałaszy:
 Bardzo to Ekonoma i cieszy i straszy.
 Bo choć na Litwie było naonczas spokojnie,
 Dawno już wieści głucho biegały o wojnie,
 O Francuzach, Dąbrowskim, o Napoleonie.
 Miałaby wojnę wróżyć ci jezdzy? te bronie?
 Ekonom pobiegł wszystko Sędziemu powiedzieć,
 Spodzielając się i sam czegoś się dowiedzieć.

W Soplicowie domowi i goście po kłótni
 Wczorajszej, wstali s siebie nieradzi i smutni.
 Próżno Wojszczanka damy na kabałę sprasza,
 Mężczyznom próżno karty dają do marjasza,
 Nie chcą bawić się ni grać, siedzą cicho w kątkach,
 Mężczyzni palą lulki, kobiety przy prątkach;
 Nawet spią muchy.

Wojski, rzuciwszy łopatkę,

Znudzony ciszą, idzie pomiędzy czeladkę.
 Woli w kuchennej słychać ochmistryni krzyków,
 Groźb i razów kucharza, hałasu kucheików;
 Aż go powoli wprowadził w przyjemne marzenie,
 Ruch jednostajny różnów kręcących pieczenie.

Sędzia od rana pisał zamknawszy się w izbie,
 Woźny od rana czekał pod oknem na przyzbie;
 Sędzia skończywszy pozew, Protazego wzywa,
 Skargę przeciw Hrabiemu głośno odczytywa:
 O skrzywdzenie honoru, zelżywe wyrazy,
 Zaś przeciw Gerwazemu o gwałty i razy;
 Obudwu o przechwałki, o koszta s powodu
 Processu, ciągnie w rejestr taktowy do grodu.
 Pozew dziś trzeba wręczyć ustnie, oczywiście,
 Nim zajdzie słońce. Woźny z miną uroczyście
 Wyciągnął słuch i rękę, skoro pozew zoczył;
 Stał poważnie, a radby z radości podskoczył.
 Na samą myśl processu czuł że się odmłodził:
 Wspomniał na dawne lata, gdy s pozwami chodził
 Po guzy ale razem po zapłaty hojne.
 Tak żołnierz, który strawił życie tocząc wojnę,

A na starość w szpitalach spoczywa kaleki:
 Skoro usłyszysz trąbę lub bęben daleki,
 Chwyta się z łoża, krzyczy przez sen: bij Moskale!
 I na drewnianej nodze skacze ze szpitala
 Tak prędko, że go ledwie może złowić młódzieź.

Protazy spieszył włożyć swą woźnięską odzież:
 Przecież żupana ani kontusza nie kładzie,
 One służą ku wielkiej sądowej paradzie;
 Na podróż ma strój inny: szerokie rajtuzy
 I kurtę, której poły podpięte na guzy!
 Można zakasać albo spuścić na kolana;
 Czapka z uszami, sznurkiem u wierzchu związana,
 Wznosi się na pogodę, spuszcza się przed słońcą.
 Tak ubrany wziął pałkę i ruszył piechotą,
 Bo woźni przed processem, jak szpiegi przed bojem,
 Muszą kryć się pod różną postacią i strojem.

Dobrze zrobił Protazy że w drogę pospieszył,
 Bo niedługo by swoim pozwem się nacieszył.
 W Soplicowie zmieniano kampanii plany,
 Do Sędziego wpadł nagle Robak zadumany,

I rzekł: Sędzio, to bięda nam s tą panią ciotką,
 S tą panią Telimeną kokietką i trzpiotką.
 Kiedy Zosia została dzieckiem w biednym stanie,
 Jacek ją Telimienie dał na wychowanie,
 Słyszac że jest osoba dobra, świat znająca,
 A postrzegam że ona coś tu nam zamąca,
 Intryguje i pono Tadeuszka wabi;
 Sledzę ją; albo może bierze się do Hrabi,
 Może do obu razem: obmyślmy więc środki
 Jak się jej pozbyć, bo stąd mogą urosć plotki,
 Zły przykład i pomiędzy młokosami zwady,
 Które mogą pomieszać twe prawne układy.—
 —Układy? krzyknął Sędzia z niezwykłym zapamię,
 Z układow kwita, już je skończyłem, zerwałem.
 —A to co? przerwał Robak, gdzie rozum, gdzie głowa,
 Co tu mi Wasze bajasz, jaka burda nowa?—
 —Nie z mej winy, rzekł Sędzia, process to wyjaśni:
 Hrabia pyszałek, głupiec, był przyczyną waśni,
 I Gerwazy łotr; lecz to do Sądu należy.
 Szkoda żeś niebył, Księżu, w zamku na wieczerzy,
 Poświadczyłbyś jak Hrabia srodze mnie obraził.—
 —Po coś Waść, krzyknął Robak, do tych ruin łaził,

Wiesz jak zamku nie cierpię; odtąd moja noga
 Tam nie postanie. Zuowu kłótnia! kara Boga!
 Jakże tam było? powiedz; trzeba tę rzecz zatrzeć,
 Już mię znudziło wreszcie na tyle głupstw patrzeć,
 Ważniejsze ja mam sprawy niż godzić pieniaczy,
 Ale jeszcze raz zgodzę — Zgodzić? Cóż to znaczy!
 A idźże mi Waś wreszcie s tą zgodą do licha!
 Przerwał Sędzia tupnąwszy nogą, patrzcie mnicha!
 Że go przyjmuję grzecznie, chce mnie za nos wodzić.
 Wiedź Wasze że Soplice nie zwykli się godzić;
 Gdy pozwą, muszą wygrać: nieraz w ich imieniu
 Trwał process aż wygrali w szóstém pokoleniu.
 Dostyc zrobiłem głupstwa s porady Waszeci
 Zwołując podkomorskie sądy po raz trzeci.
 Od dzisiaj niéma zgody, niema, niema, niema.
 (I krzyząc chodził, tupał nogami obiema,)
 Prócz tego za wczorajszy niegrzeczny uczynek
 Musi mnie deprekować, albo pojedynek! —
 — Ale Sędzio, cóż będzie jak się Jacek dowie?
 Wszak on umrze z rozpaczny! Czyliż Soplicowie
 Nie narobili jeszcze w tym zamku dość złego!
 Bracie! wspominać nie chcę wypadku strasznego,

Wiesz także że część gruntów od zamku dziedzica
 Zabrała i Soplicom dała Targowica.
 Jacek za grzech żałując, musiał był ślubować
 Pod absolucją, dobra te restytuować.
 Wziął więc Zosię, Horeszków dziedziczkę ubogą,
 Hodować, wychowanie jej opłacał drogo.
 Chciał ją Tadeuskowi swojemu wyswatać,
 I tak dwa poróżnione domy zuowu zbratać,
 I dziedzicze bez wstydu ustąpić grabierzy.
 — Lecz cóż to? krzyknął Sędzia, co do mnie należy?
 Ja się nie znałem, nawet nie widziałem z Jackiem;
 Ledwiem słyshał o jego życiu hajdamackiem,
 Siedząc wtenczas retorem w jezuickiej szkole,
 Potém u wojewody służąc za pacholę.
 Dano mi dobra, wziąłem; kazał przyjąć Zosię,
 Przyjąłem, hodowałem, myślę o jej losie:
 Dość mnie nudzi ta cała historia babia!
 A potém czegoż jeszcze wlaźł mi tu ten Hrabia?
 Z jakim prawem do zamku? Wszak wiész przyjacielu,
 On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu!
 I ma mnie lżyć? a ja go zapraszać do zgody! —
 — Bracie! rzekł Ksiądz, ważne są do tego powody.

Pamiętasz że Jacek chciał do wojska słać syna,
 Potem w Litwie zostawił: cóż w tym za przyczyna?
 Oto w domu Ojczyźnie potrzebniejszy będzie.
 Słyszałeś pewnie o czem już gadają wszędzie,
 O czem ja wiadomości przynosiłem nieraz:
 Teraz czas już powiedzieć wszystko, czas już teraz!
 Ważne rzeczy, mój bracie! Wojna tuż nad nami!
 Wojna o Polskę! bracie! Będziem Polakami!
 Wojna niechybna. Kiedy s poselstwem tajemnym
 Tu biegłem, wojsk forpocztę już stały nad Niemnem;
 Napoleon już zbiera armię ogromną,
 Jakiś człowiek nie widział i dzieje nie pomną;
 Obok Francuzów ciągnie polskie wojsko całe,
 Nasz Józef, Dąbrowski, nasze orły białe!
 Już są w drodze, na pierwszy znak Napoleona
 Przejdą Niemen, i bracie! Ojczyzna wskrzeszona!—

Sędzia słuchając, zwolna okulary składał,
 I wpatrując się mocno w Księdza, nic nie gadał,
 Westchnął głęboko, w oczach łzy się zakłęciły....
 Wreszcie porwał za szyję Księdza s całej siły,
 —Mój Robaku! wołając, czy to tylko prawda?

Mój Robaku! powtarzał, czy to tylko prawda?
 Ileż razy zwodzono! Pamiętasz? gadali:
 Napoleon już idzie! i my już czekali!
 Gadano: już w Koronie, już Prusaka pobił,
 Wkracza do nas! A on! co? Pokój w Tylży zrobił!
 Czy tylko prawda? Czy ty nie zwodzisz sam siebie?—
 —Prawda, zawołał Robak, jak Pan Bóg na niebie!—
 —Błogosławioneż niechaj będą usta, które
 To zwiastują, rzekł Sędzia, wznosząc ręce w górę.
 Nie pożalujesz twego poselstwa Robaku,
 Nie pożaluje klasztor; dwieście owiec z braku
 Dają na klasztor. Księżę, tyś się wczoraj palił
 Do mojego kasztanka i gniadosza chwalił,
 Dziś, zaraz w twym kwestarskim wozie pójdą oba;
 Dziś proś mnie o co zechcesz, co ci się podoba,
 Nie odmówię! Lecz o tym interesie całym
 Z Hrabia, daj pokój; skrzywdził mnie, już zapozwałem,
 Czyż wypada?—

Załamął ręce Ksiądz zdziwiony.
 Wlepiwszy oczy w Sędzie, ruszywszy ramiony,
 Rzekł: To gdy Napoleon wolność Litwie niesie,



Gdy świat drży cały, to ty myślisz o processie?
 I jeszcze po tém wszyscyem com tobie powiedział,
 Będziesz spokojnie, ręce założywszy, siedział,
 Gdy działać trzeba!—Działać? Cóż? Sędzia zapytał.
 —Jeszcześ, rzekł Robak, z oczu moich nie wyczytał?
 Jeszcze serce nic tobie nie gada? Ach bracie,
 Jeżeli Soplicowskiej krwi kroplę w żyłach macie,
 Uważ tylko; Francuzi uderzają's przodu?
 A gdyby s tyłu zrobić powstanie narodu?
 Co myślisz? Niechno Pogoń zarży, niech na Żmudzi
 Niedźwiedź ryknie! Ach gdyby jakie tysiąc ludzi,
 Gdyby choć pięćset s tyłu na Moskwę natarło,
 Powstanie jako pożar wkoło rozpostarło,
 Gdybyśmy my, nabrawszy Moskwie harmat, znaków,
 Zwycięscy szli powitać wybawców rodaków?
 Ciągniemy! Napoleon widząc nasze lance,
 Pyta co to za wojsko, my krzychem: Powstańce
 Najjaśniejszy Cesarzu! Litwa ochotnicy!
 Pyta: pod czyją wodzą?—Sędziego Soplicy!
 Ach któżby potem pisać śmiał o Targowicy?
 Bracie, póki Ponarom stać, Niemnowi płynąć,
 Póty w Litwie Sopliców imieniowi słynąć,

Wnuków, prawnuków będzie Jagiełłów stolica
 Wskazywać palcem, mówiąc: oto jest Soplica,
 S tych Sopliców co pierwsi zrobili powstanie!—

A na to Sędzia: Mniejsza o ludzkie gadanie,
 Nigdy nie dbałem bardzo o pochwały świata,
 Bóg świadkiem żem niewinięń grzechów mego brata,
 W politykę jam nigdy bardzo się niewdawał,
 Urzędując i orząc mojej ziemi kawał:
 Lecz jestem szlachcic, radbym plamę domu zmacać;
 Jestem Polak, dla kraju radbym coś dokazać,
 Choć duszę oddać. W szable nie byłem zbyt tęgi,
 Wszakże biérali ludzie i odemnie cięgi,
 Wię świat że w czasie polskich ostatnich sejmików
 Wyzwałem i zraniłem dwóch braci Buzwików,
 Którzy... Ale to mniejsza. Jakże Wasze myśli?
 Czy potrzeba żebyśmy zaraz w pole wyszli?
 Strzelców zebrać, rzecz łatwa; prochu mam dostatek,
 W plebanii u księdza jest kilka armatek,
 Przypominam iż Jankiel mówił iż u siebie
 Ma groty do lanc, że je mogę wziąć w potrzebie,
 Te groty przywiózł w pakach gotowych s Królewca

Pod sekretem; weźmiem je, zaraz zrobim drzewca,
Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiędzie,
Ja s synowcem na czele, i? — jakoś to będzie! —

— O polska krwi! zawołał Bernardyn wzruszony,
Z otwartemi skoczywszy na Sędzie ramiony,
Prawe dziecię Sopliców! Tobie Bóg przeznacza,
Oczyścić grzechy brata twojego tułacza;
Zawszem ciebie szanował, ale od tej chwili
Kocham cię jak gdybyśmy bracią sobie byli.
Przygotujemy wszystko, lecz wyjść nie czas jeszcze,
Ja sam wyznacę miejsce i czas wam obwieszczę.
Wiém że car wysłał gońców do Napoleona
Prosić o pokój; wojna nie jest ogłoszona;
Lecz książę Józef słyszał od pana Biniona,
Francuza co należy do cesarskiej rady,
Że się na niczém skończą wszystkie te układy,
Że będzie wojna. Książę wysłał mnie na zwiady,
Z rozkazem żeby byli Litwini gotowi
Dowieść przychodzącemu Napoleonowi,
Że chcą złączyć się znowu s siostrą swą, Koroną,
I żądają ażeby Polskę przywrócono.

Tymczasem bracie s Hrabią trzeba przyjść do zgody;
Jestto dziwak, fantastyk trochę, ale młody,
Pocziwy, dobry Polak; potrzebny nam taki,
W rewolucyach bardzo potrzebne dziwaki,
Wiém z doświadczenia; nawet głupi się przydadzą
Byle tylko pocziwi i pod mądrych władzą.
Hrabia pan, ma u szlachty wielkie zachowanie,
Cały powiat ruszy się jeśli on powstanie;
Znając jego majątek każdy szlachcic powie,
Musi to być rzecz pewna gdy z nią są panowie.
Biegę do niego zaraz. — Niech się pierwszy zgłosi,
Rzekł Sędzia, niech przyjedzie tu, niech mnie przeprosi,
Wszak jestem starszy wiekiem, jestem na urzędzie!
Co się tycze processu sąd arbitrów będzie...
Bernardyn trzasnął drzwiami. — No, szczęśliwa droga,
Rzekł Sędzia.

Książd wpadł w powóz stojący u proga,
Tnie biczem konie, śechce lejcami po bokach;
Furknęła kałamazka, ginie w mgły obłokach,
Tylko kiedy niekiedy kaptur mnicha bury
Wznosi się nad tumany, jako sęp nad chmury.

Wózny już dawniej wyszedł ku domowi Hrabi.
 Jak lis bywalec, gdy go woń słońiny wabi,
 Bieży ku niej a strzelców zna fortele skryte,
 Bieży, staje, przysiada coraz, wznosi kitę
 I wiatr nią jak wachlarzem ku swym nozdrzom tuli,
 Pyta wiatru czy strzelcy jadła nie zatruli:
 Protazy zeszedł z drogi, i wzdłuż sianożęci
 Krąży około domu; pałkę w rękę kręci,
 Udaje że obaczył kędyś bydło w szkodzie,
 Tak zęcnie lawirując stanął przy ogrodzie;
 Schylił się, bieży, rzekłbys iż derkacza tropi,
 Aż nagle skoczył przez płot i wpadł do konopi.

W tej zielonej, pachnącej, i gęstej krzewinie,
 Koło domu, jest pewny przytułek zwierzyńce
 I ludziom. Nieraz zając zdybany w kapuscie,
 Skacze skryć się w konopiach bezpiecniej niż wechruscie,
 Bo go dla gęstwi ziela ani chart nie zgoni,
 Ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiej woni.
 W konopiach człowiek dworski, uchodząc kańczuka
 Lub pięści, siedzi cicho aż się pan wyfuka.
 I nawet często zbiegli od rekruta chłopci

Gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą wśród konopi.
 I stądto w czasie bitew, zajazdów, tradowań,
 Obie strony nie szcędzą wielkich usiłowań
 Ażeby stanowisko zająć konopiane,
 Które s przodu ciągnie się aż pod dworską ścianę,
 A s tyłu popolicie stykając się s chmielem,
 Kryje atak i odwrót przed nieprzyjacielem.

Protazy, choć człek śmiały, ucuł nieco strachu:
 Bo przypomniał s samego rośliny zapachu
 Różne swoje dawniejsze woźnieńskie przypadki,
 Jedne po drugich, biorąc konopie na świadki:
 Jako raz zapozwany szlachcic s Telsz Dzindolet,
 Roskazał mu, oparłszy o piersi pistolet,
 Wleść pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,
 Że Wózny musiał co tchu w konopie uciekać.
 Jak później Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały,
 Co rospędział sejmiki, gwałcił trybunały,
 Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki,
 I postawiwszy przy drzwiach s kijami hajduki,
 Sam nad Wóżnego głową trzymał goły rapiér,
 Krzycząc: albo cię zetnę, albo zjédz twój papier;

Woźny niby jeść zaczął jak człowiek rostopny,
Aż skradłszy się do okna wpadł w ogród konopny.

Wprawdzie już wtenczas w Litwie nie było zwyczajem
Opędzać się od pozwów szablą lub nahajem,
I ledwie Woźny czasem usłyszał łajanie :
Ale Protazy o tej obyczajów zmianie
Wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nie naszał.
Choć zawsze gotów, choć się Sędziemu sam wpraszał,
Sędzia dotąd, przez winny wzgląd na lata stare,
Odmawiał jego prośbom ; dziś przyjął ofiarę
Dla naglącej potrzeby.

Woźny patrzy, czuwa —

Cicho wszędzie — w konopie zwolna ręce wsuwa,
I roszyłając gęstwę badylów, w jarzynie
Jako rybak pod wodą nurkujący płynie :
Wzniósł głowę — cicho wszędzie — do okien się skrada —
Cicho wszędzie — przez okna głąb' pałacu bada —
Pusto wszędzie — Na ganek wchodzi nie bez strachu,
Odmyka klamkę — pusto jak w zakętym gmachu ;
Dobywa pozew, czyta głośno oświadczenie.

A wtem usłyszał turkot, uczył serca drżenie,
Chciał uciec ; gdy ode drzwi zaszła mu osoba —
Szczęściem znajoma ! Robak ! Zdziwili się oba.

Widno że Hrabia kędyś ruszył s całym dworem,
I bardzo spieszył, bo drzwi zostawił otworem.
Widać że się uzbrajał ; leżały dwórurki
I sztuce na podłodze, dalej sztenfle, kurki,
I narzędzia ślósarskie którei rynsztunki
Poprawiano : proch, papier ; robiono ładunki.
Czy Hrabia s całym dworem wyjechał na łowy?
Ale po coż broń ręczna ? Tu szabla bez głowy
Zardzewiała, tam leży szpada bez temlaku :
Zapewne wybierano oręż s tego braku,
I poruszono nawet stare broni składy.
Robak obejrzał pilnie rusznice i szpady,
A potem do folwarku wybrał się na zwiady,
Szukając sług żeby się rospytał o Hrabie ;
W pustym folwarku ledwie wynalazł dwie babie,
Od których słyży że pan i dworska drużyna
Ruszyli tłumnie, zbrojaie, drogą do Dobrzyzna.

Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński Zaścianek
 Męstwem swoich szlachciców, pięknnością szlachcianek.
 Niegdyś możny i ludny; bo gdy król Jan trzeci
 Obwołał pospolite ruszenie przez wieci,
 Choraży wojewodztwa, s samego Dobrzyna
 Przywiódł mu sześćset zbrojnej szlachty. Dziś rodzina
 Zmniejszona, zubożała; dawniej w pańskich dworach,
 Lub wojsku, na zajazdach, sejmikowych zborach
 Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie.
 Teraz zmuszeni sami pracować na siebie
 Jako zaciężne chłopstwo! tylko że siermięgi
 Nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi,
 A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek
 Najuboższych różni się od chłopskich katanek:
 Zwykle chodzą w drylichach albo perkaliczkach,
 Bydło pasą nie w łapciach s kory, lecz w trzewijkach,
 I zną zboże a nawet przędą w rękawiczkach.

Różnili się Dobrzyńscy między Litwą bracią
 Językiem swoim, tudzież wzrostem i postacią.
 Czysta krew Lacka, wszyscy mieli czarne włosy,
 Wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy;

Z Dobrzyńskiej ziemi ród swój starożytny wiedli.
 A choć od lat czterystu na Litwie osiedli,
 Zachowali mazurską mowę i zwyczaję.
 Jeżeli który z nich dziecku imię na chrzcie daje,
 Zawsze zwykł za patrona brać Koronijasa,
 Świętego Bartłomieja albo Matyasza.
 Tak syn Macieja zawsze zwał się Bartłomiejem,
 A znowu Bartłomieja syn zwał się Maciejem;
 Kobięty wszystkie chrzczono Kachny lub Maryny.
 By rozeznac się wpośród takiej mieszaniny,
 Brali różne przydomki od jakiej zalety
 Lub wady, tak mężczyźni jako i kobiety.
 Mężczyznom czasem kilka dawano przydomków,
 Na znak pogardy albo szacunku spółziomków;
 Czasem jedenże szlachcic inaczej w Dobrzynie,
 A pod inném nazwiskiem u sąsiadów słynie.
 Dobrzyńskich naśladować inna szlachta bliska
 Brała również przydomki, zwane *imioniska*.
 Teraz ich każda prawie używa rodzina,
 A rzadki wie iż mają początek z Dobrzyna,
 I były tam potrzebne; kiedy w reszcie kraju
 Głupiém naśladownictwem weszły do zwyczajaju.

Więc Matyas Dobrzyński, który stał na czele
 Całej rodziny, zwan był *Kurkiem na kościele*.
 Potém s siedemset dziewięć-dziesiąt czwartym rokiem,
 Odmieniwszy przydomek ochrzcił się *Zabokiem*;
 Toż *Królikiem* Dobrzyńsey mianują go sami,
 A Litwini nazwali *Mackiem nad Mackami*.

Jak on nad Dobrzyńskimi, dom jego nad siołem
 Panował, stojąc między karczma i kościołem.
 Widać rzadko zwiędzany, mieszka w nim hołota,
 Bo brama sterczy bez wrot, ogrody bez płota,
 Nie zasiane, na grzędach już porosły brzożki:
 Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,
 Iż kształtniejszy od innych chat, bardziej rozległy,
 I prawą stronę gdzie jest świetlica miał s cegły.
 Obok lamus, spichrz, gumno obora i stajnie,
 Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie;
 Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe; domu dachy
 Świeciły się jak gdyby od zielonej blachy
 Od mehu i trawy, która buja jak na łące.
 Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące,
 Różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony,

Zółta dziewanna, szczyru barwiste ogony,
 Gniazda ptastwa różnego, w strychach gołębniki,
 W oknach gniazda jaskółcze, u progu króliki
 Białe skaczą i ryją w niedeptanej darni.
 Słowem dwór nakszałt klatki albo królikarni.

A dawniej był obronny! Pełno wszędzie śladów,
 Że wielkich i że częstych doznawał napadów.
 Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa,
 Wielka, leżała kula żelazna działowa
 Od czasów szwedzkich: niegdyś skrzydło wrót otwarte
 Bywało o tę kulę jak o głaz oparte.
 Na dziedzińcu spomiedzy piołunu i chwastu
 Wznoszą się stare szczęty krzyżów kilkunastu,
 Na ziemi nieświęconej; znak że tu chowano
 Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.
 Ktoby uważał z bliska lamus, spichrz i chatę,
 Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokatę
 Niby rojem owadów czarnych; w każdej plamie
 Siedzi we środku kula jak czmiel w ziemnej jamie.

U drzwi domostwa wszystkie kłamki, ćwieki, haki,

Albo ucięte, albo noszą szabel znaki :
 Pewnie tu probowano hartu Zygmuntovek,
 Którymi można śmiało ćwieki obciąć z główek,
 Lub hak przetrząść, w brzeszczocie nie zrobiwszy szecerby.
 Nade drzwiami, Dobrzyńskich widne były herby;
 Lecz armaturę, sérów zasłoniły pułki,
 I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.

Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni,
 Pełno znajdziesz ryszunków jak w starej zbrojowni.
 Pod dachem wiszą cztery ogromne szyszaki,
 Ozdoby czół marsowych : dziś Wenery ptaki
 Gołębie w nich gruchając karmią swe pisklęta.
 W stajni koleczuga wielka nad żłobem rospięta
 I pierścieniasty pancerz służy za drabinę,
 W którą chłopiec zarzuca żrebecm dzięcielinę.
 W kuchni kilka rapiérów kucharka bezbożna
 Odhartowała, kładąc je w piec zamiast rożna;
 Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna :
 Słowem wyгнаła Marsa Ceres gospodarna,
 I panuje s Pomoną, Florem, i Wertumnem
 Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.

Ale dziś muszą znowu ustąpić Boginie :
 Mars powraca.

O świecie zjawił się w Dobrzynie

Konny posłaniec; biega od chaty do chaty,
 Budzi jak na pańszczyznę; wstają szlachta braty,
 Napełniają się ciżbą zaścianku ulice,
 Słychać krzyk w karczmic, widać w plebanji świce;
 Biegą; jeden drugiego pyta co to znaczy,
 Starzy składają radę, młódź konie kulbaczy,
 Kobiety zatrzymują, chłopcy się szamocą,
 Rwą się biędz, bić się, ale nie wiedzą s kim, o co !
 Muszą chcąc niechcąc zostać. W mieszkaniu plebana
 Trwa rada długa, tłumna, strasznie zamieszana,
 Aż nie mogąc zdań zgodzić, nakoniec stanowi
 Przełożyć całą sprawę Ojcu Maciejowi.

Siedmdziesiąt dwa lat liczył Maciej, starzec dziarski,
 Niskiego wzrostu, dawny Konfederat Barski.
 Pamiętają i swoi i nieprzyjaciele
 Jego damaskowaną krzywą karabełę,
 Którą piki i sztyki rzezał nakształt sieczki,

I której żartem skromne dał imię *rózcarki*.
 S konfederata stał się stronnikiem królewskim,
 I trzymał s Tyzenhauzem Podskarbin litewskim;
 Lecz gdy król w Targowicy przyjął uczestnictwo,
 Maciej opuścił znowu królewskie stronnictwo.
 I stądto że przechodził partyj tak wiele,
 Nazywany był dawniej *Kurkiem na kościele*,
 Że jak kurek za wiatrem chorągiewkę zwracał.
 Przyczynę zmian tak częstych napróznobys macał:
 Może Maciej zbyt wojnę lubił, zwyciężony
 W jednej stronie, znów bitwy szukał z drugiej strony?
 Może bystry polityk duch czasu zbadywał,
 I tam siedł gdzie Ojczyzny dobro upatrywał?
 Kto wie! to pewna że go nigdy nie uwiodły
 Ani chęć osobistej chwały, ni zysk podły,
 I że nigdy z moskiewską partyą nie trzymał;
 Na sam widok Moskala pieniał się i zżymał.
 By nie spotkać Moskala po kraju zaborze,
 Siedział w domu jak niedźwiedz gdy ssie łapę w borze.

Ostatni raz wojował poszedłszy z Ogińskim
 Do Wilna, gdzie służyli oba pod Jasińskim,

I tam z *rózcarką* cudów dokazał odwagi.
 Wiadomo że sam jeden skoczył z wałów Pragi
 Bronić pana Pocięja, który odbieżany
 Na placu boju, dostał dwadzieścia trzy rany.
 Myślano długo w Litwie że obu zabito,
 Wrócili oba, każdy pokłóty jak sito.
 Pan Pocięj, zacny człowiek, chciał zaraz po wojnie
 Obronę Dobrzyńskiego wynagrodzić hojnie,
 Dawał mu folwark pięciu dymów w dożywocie,
 I wyznaczył mu rocznie tysiąc złotych w złocie.
 Lecz Dobrzyński odpisał: niech Pocięj Macieja
 A nie Maciej Pocięja ma za dobrodzieja.
 Odmówił więc folwarku i nieprzyjął płacy;
 Sam wróciwszy do domu, żył z własnej rąk pracy,
 Sprawując ule dla pszczół, lekarstwa dla bydła,
 Szłąc na targ kuropatwy które łowił w sidła,
 I polując na zwierza.

Było dość w Dobrzymie
 Starych ludzi rostopnych, którzy po łacinie
 Umieili, i w Palestrze ćwiczyli się z młodu;
 Było dość majątniejszych; a s całego rodu

Maciek prostak ubogi był najwięcej czczony,
 Nie tylko jako rębacz *rózczką* wsławiony,
 Lecz jako człek mądrego i pewnego zdania,
 Znający dzieje kraju, rodziny podania,
 Zarówno świadom prawa jak i gospodarstwa.
 Wiedział także sekreta strzelców i lekarstwa,
 Przyznawano mu nawet (czemu pleban przeczy)
 Wiadomość nadzwyczajnych i nadludzkich rzeczy.
 To pewna że powietrza zmiany zna dokładnie,
 I częściej niż kalendarz gospodarski zgadnie.
 Nie dziw tedy że czy to siejbę rozpoczynać,
 Czy wiciny wyprawiać, czy zhoże zażywać,
 Czy processować, czyli zawierać układy,
 Nie działo się w Dobrzynie nie bez Maćka rady.
 Wpływu takiego starzec bynajmniej nie szukał,
 Owszem chciał się go pozhyć, klientów swych fukał,
 I najczęściej wypychał milczkiem za drzwi domu,
 Rady rzadko udzielał i nielada komu,
 Ledwie w niezmiernie ważnych sporach lub umowach
 Pytany wyrzekł zdanie i w niewielu słowach.
 Myślano że dzisiejszej podejmie się sprawy
 I stanie swą osobą na czele wyprawy;

Bo bijatykę lubił niezmiernie za młodu,
 I był nieprzyjacielem moskiewskiego rodu.

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze
 Nucąc piosenkę *Kiedy ranne wstają zorze*,
 Rad że się wypogadza; mgła nie szła do góry,
 Jak się dzać zwykło kiedy zbierają się chmury,
 Ale coraz spadała; wiatr rozwinął dłońie
 I mgłę muskał, wygładzał, rozsciełał na błonie,
 Tymczasem słońko z góry tysiącem promieni
 Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni.
 Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia,
 Dziewica siedząc w dole krośny ujedwabia
 I tło ręką wygładza, tymczasem tkacz z góry
 Zrzuca jej nitki srebra, złota i purpury,
 Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą
 Wiatr tumanami osnuł a słońce dzierzgało.

Maciej ogrzał się słońcem, zakończył pacierze,
 I już się do swojego gospodarstwa bierze.
 Wyniósł traw, liścia; usiadł przed domem i świsnął:
 Na ten świst rój królików s pod ziemi wytrysnął.

Jako narcyzy nagle wykwitłe nad trawę,
 Biela się długie słuchy; pod niemi jaskrawe
 Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny
 Gęsto wszyte w aksamit zielonej darniny.
 Już króliki na łapkach stają, każdy słucho,
 Patrzy, nakoniec cała trzódka białopucha
 Bieży do starca liśćmi kapusty znęcona,
 Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona;
 On sam biały jak królik lubi ich gromadzić
 W koło siebie i ręką ciepłą ich puch gładzić,
 A drugą ręką szapki proso w trawę miota
 Dla wróblów, spada z dachów krzykliwa chołota.

Gdy się staruszek bawił widokiem biesiady,
 Nagle króliki znikły w ziemi, a gromady
 Wróblów na dach uciekły przed gośćmi nowymi
 Którzy szli do folwarku krokami prędkiemi.
 Byłito s plebanii przez szlachty gromadę
 Posłowie wyprawieni do Maćka po radę.
 Zdala witając starca niskiemi ukłony
 Rzekli « Nicch będzie Jezus Chrystus pochwalony » —
 — « Na wieki wieków, amen » starzec odpowiedział,

A gdy się o ważności poselstwa dowiedział,
 Prosi do chaty; weszli, zasiadają ławę.
 Pierwszy s posłów stał w środku i jął zdawać sprawę.

Tymczasem szlachty coraz gościęj przybywało.
 Dobrzyńscy prawie wszyscy; sąsiadów nie mało
 Z okolicznych zaścianków, zbrojni i bezbronni,
 W kałamazkach i bryczkach, i piesi i konni,
 Stawia wozy, podjezdki do brzezinek wiążą,
 Ciekawi skutku narad koło domu krążą:
 Już izbę napełnili, kupią się do sieni;
 Inni słuchają, w okna głowami wciśnieni.



KSIEGA SIÓDMA.

RADA.

TREŚĆ.

Zbawienne rady Bartka zwanego Prusak — Głos żołnierski Maćka Chrzyciciela — Głos polityczny Pana Buchmana — Jankiel radzi ku zgodzie, którą Scyzoryk roscina — Rzecz Gerwazego, s której okazują się wielkie skutki wymowy sejmowej. — Protestacya starego Maćka — Nagłe przybycie posiłków wojennych zrywa naradę — Hejże na Soplice !

S kolei, Bartek poseł rzecz swą wyprowadzał ;
Ten , że często na strugach do Królewca chadzał ,
Nazwany był Prusakiem od swych spółrodaków
Przez żart, bo nienawdził okropnie Prusaków,
Choć lubił o nich gadać ; człek podeszły w lata,
W podróżach swych dalekich, wiele zwiedził świata ;

Gazet pilny czytelnik, polityki świadom,
Mógł więc nie mało światła udzielić obradom.
Ten tak rzecz kończył: —

Nie jest to Panie Macieju,

Bracie mój, a nas wszystkich ojcze Dobrodzieju,
Nie jest to marna pomoc. Ja bym na Francuzów
Spuścił się w czasie wojny, jak na czterech tuzów:
Lud bitny, a od czasów Pana Tadeusza
Kościuszki, świat takiego nie miał geniusza
Wojennego, jak wielki Cesarz Bonaparte.
Pamiętam kiedy przeszli Francuzi przez Wartę,
Bawiłem za granicą wtenczas, w roku pańskim
Tysiącnym osimsetnym szóstym; właśnie z Gdańskiem
Handlowałem, a krewnych mam wiele w Poznańskim.
Jeździłem ich odwiedzić; więc s Panem Józefem
Grabowskim, który teraz jest reimentu szefem,
A pod ów czas żył na wsi blisko Obiezierza,
Polowaliśmy sobie na małego zwierza.
Był pokój w Wielko-Polszcze jak teraz na Litwie;
Wtém nagle rozeszła się wieść o strasznej bitwie;
Przybiegł do nas posłaniec od Pana Todwena,

Grabowski list przeczytał, krzyknął, Jena! Jena!
Zbito Prusaków na łeb, na szyję, wygrana!
Ja s konia ssiadłszy, zaraz padłem na kolana,
Dziękując Panu Bogu — Do miasta jedziemy
Niby dla interessu, niby nic nie wiemy;
Aż tu widzimy, wszystkie Landraty, Hofraty,
Komissarze, i wszystkie podobne psu-braty
Kłaniają się nam nisko; każdy drży, bledniejc,
Jako owad prusaczy gdy wrzątkiem kto zleje.
My śmiejąc się, trąc ręce, prosim uniżenie
O nowinki? pytamy, co słyhać o Jenie?
Tu ich strach zdjął, dziwią się że o kłesce owęj
Już wiemy; krzyczą Niemcy achary Got! o wej!
Spuściwszy nos, do domów, z domów dalej w nogi —
O to był rwetes! Wszystkie wielko-polskie drogi
Pełne uciekających; niemczyska jak mrowie
Pełzną, ciągną pojazdy, które lud tam zowie
Wageny i fornalki; męszczyni, kobiety,
S fajkami, z imbryczkami, wleką pudła, bety;
Drapią jak moga; a my milezkiem wchodzim w radę,
Hejże na koń, pomieszać Niemcom rejteradę;
Nuż Landratom tłuc w karki, z Hofratów drżać schaby,

A Herow oficerów łowić za harcaby—
 A Jenerał Dąbrowski wpada do Poznania
 I Cessarski przynosi rozkaz: do powstania!
 W tydzień jeden, tak lud nasz Prusaków wychłostał
 I wyгнаł, na lekarstwo Niemca byś nie dostał!
 Gdyby się tak obrócić i gracko i raźnie,
 I u nas w Litwie sprawić Moskwie taką łaźnię?
 He? co myślisz Macieju? jeśli z Bonapartem
 Moskwa drze koty, to on wojuje nie żartem:
 Bohater pierwszy w świecie, a wojsk ma bez liku!
 He, cóż myślisz Macieju, nasz ojczy Króliku?

Skończył. Czekają wszyscy Macieja wyroku.
 Maciej głowy nie ruszył ani podniósł wzroku,
 Tylko ręką kilkakroć uderzył po boku,
 Jak gdyby szabli szukał; (od zaboru kraju
 Szabli nie nosił; przecież z dawnego zwyczaju,
 Na wspomnienie Moskala, zawsze rękę zwracał
 Na lewy bok; zapewne różeczki swój macał,
 I stąd był nazywany powszechnie Zabokiem)
 Już wznosił głowę, słuchają w milczeniu głębokiem.
 Maciej oczekiwanie powszechne omylił,

Nachmurzył brwi i znowu głowę na pierś schylił.
 Nakoniec odezwał się, zwolna każde słowo
 Wymawiając s przyciskiem, a w takt kiwał głową.

— Cicho! skądże ta cała nowina pochodzi?
 Jak daleko Francuzi? kto nimi dowodzi?
 Czy już wojnę zaczęli z Moskwą? gdzie i o co?
 Którędy mają ciągnąć? z jaką idą mocą?
 Wiele piechoty, jazdy? Kto wie, niechaj gada!

Milczała patrząc na się kolejno gromada.
 Radziłbym, rzeczce Prusak, czekać Bernardyna
 Robaka, bo od niego pochodzi nowina;
 Tymczasem posłać pewnych szpiegów nad granicę
 I po cichu uzbrajać całą okolicę;
 A tymczasem ostrożnie całą rzecz prowadzić,
 Aby Moskalom uaszych zamiarów nie zdradzić.

He! czekać? szcekać? zwlekać? przerwał Maciej drugi,
 Ochrzeony Kropicielem, od wielkiej maczugi
 Którą zwał Kropidełkiem; miał ją dziś przy sobie.
 Staął za nią, na gałce zwiesił ręce obie,

Na rękę oparł brodę, krzyząc: czekać! zwlekać!
 Sejmikować! Hem, trem brem, a potem uciekać.
 Ja w Prusach niebywałem; rozum królewiecki
 Dobry dla Prus, a u mnie jest rozum szlachecki.
 To wiem, że kto chce bić się, niech kropidło chwyta,
 Kto umierać, ten księdza niech woła, i kwita!
 Ja chcę żyć, bić! Bernardyn po co? czy my żaki?
 Co mi tam Robak, o toż my będziemy robaki,
 I dalej Moskwę toczyć! trem, bdrem, szpiegi, w zwiady;
 Wiecie wy co to znaczy? — Oto że wy dziady
 Niedołęgi? He, Bracia! to wyzła rzecz tropić,
 Bernardyńska kwestować, a moja rzecz, kropić,
 Kropić, kropić i kwita! — Tu maczugę głośną,
 Za nim cały tłum szlachty, kropić, kropić! wrzasnął.

Poparł stronę Chrzyciela, Bartek zwan Brzytewka
 Od szabli cienkiej, tudzież Maciej zwan Konewka
 Od sztucea który naszał, z gardłem tak szerokiem,
 Że zeń jak s konwi, tuzin kulek lał potokiem;
 Oba krzyczeli: wiwat Chrzyciel s kropidełkiem.
 Prusak chciał mówić, ale zgłuszono go zgiełkiem
 I śmiechem; precz, wołano, precz Prusaki tchórze,

Kto tchórz niech w bernardyńskim chowa się kapturze.

Wtém znowu głowę zwolna podniósł Maciej stary,
 I zaczęły cokolwiek uciszać się gwary.
 — Niedrwijcie, rzekł, z Robaka; znam go, to éwiek klecha,
 Ten robaczek większego od was zgryzł orzecha;
 Raz go tylko widziałem, ledwiem okiem rzucił,
 Poznałem co za ptaszek; ksiądz oczy odwrócił,
 Lękając się żebym go nie zaczął spowiadać;
 Ale to rzecz nie moja, wiele o tém gadać!
 On tu nie przyjdzie, próżno wzywać Bernardyna;
 Jeśli od niego wyszła ta cała nowina,
 To kto wie w jakim celu: bo to bies księżyna!
 Jeśli prócz téj nowiny nic więcej nie wiecie,
 Więc po cóście tu przyszli? i czego wy chcecie?

Wojny! krzyknęli — Jakiéj? spytał — zawołali:
 Wojny z Moskałem! bić się! Hajże na Moskali.

Prusak wciąż wołał a głos co raz wyżej wznosił,
 Aż posłuchanie, częścią ukłonem wyprosił,
 Częścią zdobył swą mową krzykliwą i cienką.

I ja chcę bić się, wołał tłukąc się w pierś ręką;
 Choć kropidła nie noszę, drągiem od wiciny
 Sprawilem raz Prusakom czterem dobre chrzciny,
 Którzy mię po pianemu chcieli w Preglu topić.
 — Toś zuch Bartku, rzekł Chrzciciel, dobrze! kropić! kropić!
 — Ależ najśrodzy Jezu! trzeba pierwej wiedzieć
 S kim wojna? o co? trzeba to światu powiedzieć,
 Wołał Prusak, bo jakże lud ruszy za nami?
 Gdzie pójdzie, kiedy, gdzie iść, my nie wiemy sami?
 Bracia Szlachta! Panowie! potrzeba rozsądku!
 Dobrodzieje! potrzeba ładu i porządku!
 Chcecie wojny, więc zróbmy konfederacyą,
 Obmyślmy gdzie zawiązać i pod laską czyją?
 Tak było w Wielko - Polsce; — widzim rejteradę
 Niemiecką, cóż my robim? wchodzim tajnie w radę,
 Uzbrajamy szlachtę i włościan gromadę,
 Gotowi, Dąbrowskiego czekamy rozkazu,
 Nakoniec, hajże na koń! powstajem od razu!

— Proszę o głos, zawołał Pan Komissarz s Klecka.
 Człowiek młody, przystojny, ubrany z niemiecka;
 Zwał się Buchman, lecz Polak był, w Polsce się rodził;

Nie wiedzieć pewnie czyli ze szlachty pochodził,
 Lecz o to nie pytano; i wszyscy Buchmana
 Szacowali, iż służył u wielkiego Pana,
 Był dobry patriota, i pełen nauki,
 S ksiąg obcych wyuczył się gospodarstwa sztuki,
 I dóbr administracyą prowadził porządnie;
 O polityce także wnioskował rozsądnie,
 Pięknie pisać i gładko umiał się wystawiać,
 Zatem umilkli wszyscy, kiedy jął rozprawiać.
 — Proszę o głos, powtórzył, podwakroć odchrząknął,
 Ukłonił się i usty dźwięcznymi tak brząknął.

Preopinanci moi w swych głosach wymownych,
 Dotknęli wszystkich punktów stanowczych i głównych,
 Dyskussyą na wyższe wzniesli stanowisko;
 Mnie tylko pozostaje, w jedno zjąć ognisko,
 Rzucone trafne myśli i rozumowania:
 Mam nadzieję w ten sposób sprzeczne zgodzić zdania.
 Dwie części w dyskusyi całej uważałem,
 Podział już jest zrobiony, idę tym podziałem.
 Naprzód: dla czego mamy przedsiębrać powstanie?
 W jakim duchu? to pierwsze żywotne pytanie;

Drugie, rewolucyjnej władzy się dotyczy;
 Podział jest trafny, tylko przewrócić go życzę.
 Naprzód zacząć od władzy; skoro pojmiem władzę,
 Z niej powstania istotę, duch, cel, wyprowadzę.
 Co do władzy więc — kiedy oczyma przebiegam
 Dzieje całej ludzkości i cóż w nich spostrzegam?
 Oto ród ludzki dziki, w lasach rospierzchniony,
 Skupia się, zbiera, łączy dla wspólnej obrony,
 Obmyśla ją; i to jest najpierwsza obrada.
 Potem każdy wolności własnej częśćkę składa
 Dla dobra powszechnego: to pierwsza ustawa,
 S której jako ze źródła płyną wszystkie prawa.
 Widzimy tedy, że rząd umową się tworzy,
 Niepochodząc, jak mylnie sądzą, z woli Bożej.
 Owoż rząd na kontrakcie oparłszy społecznym,
 Podział władzy już tylko jest skutkiem koniecznym....

—Otoż są i kontrakty! Kijowskie czy Mińskie?
 Rzekł stary Maciej, owoż i rządy Babińskie!
 Panie Buchman, czy Bóg nam chciał Cara narzucić,
 Czy djabeł, ja z Waszecieą nie będę się kłócić;
 Panie Buchman, gadaj Waść jakby Cara zrucić.

—Tu sęk, krzyknął Kropiciel; gdybym mógł podskoczyć.
 Do tronu, i kropidłem, plusk, raz Cara zmoczyć,
 To jużby on niewrócił, ni Kijowskim traktem,
 Ni Mińskim, ni za żadnym Buchmana kontraktem;
 Aniby go wskrzesili z mocy Bożej popi,
 Ni z mocy belzebuba — ten mi zuch kto kropi.
 Panie Buchman, Waścina rzecz bardzo wymowna,
 Ale wymowaszum, drum: kropić, to rzecz główna.

— To, to, to, pisał ręce trąc Bartek Brzytewka,
 Od Chrzciciela do Maćka biegając, jak cewka
 Od jednej strony krosien przerzucana w drugą:
 Tylko ty Maćku z różgą, ty Maćku z maczugą,
 Tylko zgodźcie się, dalbóg pobijem na druzgi
 Moskala; Brzytew idzie pod komendę Różgi.

Komenda, przerwał Chrzciciel, dobra ku paradzie;
 U nas była komenda w Kowieńskiej brygadzie
 Krótka a węzłowata: strasz, sam się nie strachaj, —
 Bij, nie daj się, — postępuj często, gęsto machaj;
 Szach, mach! — To, pisał Brzytwa, to mi regulament!
 Po co tu pisać akta, po co psuć atrament?

Konfederacyi trzeba? oto cała sprzeczka?
 Jest Marszałek nasz Maciej, a laska różeczka.
 — Niech żyje, krzyknął Chrzyciel, Kurek na kościele!
 Szlachta odpowiedziała: Wiwant Kropiciele!

Ale w kątach szmer powstał, choć w środku tłumiony;
 Widać że się rozdziela rada na dwie strony.
 Buchman krzyknął: ja zgody nigdy niepozwalam!
 To mój system! Ktoś drugi wrzasnął: niepozwalam!
 Inni s kątów wtórują. Naręście głosy gruby
 Ozwał się, przybyłego szlacheica Skoľuby:

— Cóż to Państwo Dobrzyńscy! a to co się święci?
 A my, czy to będziemy spod prawa wyjęci?
 Kiedy nas zapraszano z naszego zaścianku,
 A zapraszał nas klucznik Rembajło Mopanku,
 Mówiono nam że wielkie rzeczy dzieć się miały,
 Że tu nie o Dobrzyńskich, lecz o powiat cały,
 O całą szlachtę idzie; toż i Robak bąkał,
 Choć nigdy niedokończył i zawsze się jąkał,
 I ciemno się tłumaczył; — wręście koniec końców,
 My zjechali, sąsiadów wezwali przez gońców.

Nie sami tu Panowie Dobrzyńscy jesteście,
 Z różnych innych zaścianków jest tu nas ze dwieście;
 Wszyscy więc radźmy. Jeśli potrzeba Marszałka,
 Głosujmy wszyscy, równa u każdego gaľka.
 Niech żyje równość!

Zatém dwaj Terajewicze

I czterej Stupylkowsy i trzej Mickiewicze
 Krzyknęli: Wiwat równość! — stojąc za Skoľubą.
 Tymczasem Buchman wołał: zgoda będzie zgubą!
 Kropiciel krzyczał: bez was obejdzem się sami;
 Niech żyje nasz Marszałek, Maciek nad Maćkami!
 Hej do laski! — Dobrzyńscy krzyczą: zapraszamy!
 A obca Szlachta woła w głos: niepozwalamy!
 Rostrycha się tłum na dwie kupy rozdzielony,
 I kiwając głowami w dwie przeciwne strony,
 Tamei, niepozwalamy — ci krzyczą, prosimy.

Maciek stary w pośrodku, jeden siedział niemy,
 I jedna głowa jego była nieruchoma.
 Przeciw niemu stał Chrzyciel, zwieszony rękoma
 Na maczudze, a głową na końcu maczugi

Wspartą kręcił, jak tykwą wbitą na kij długi,
I na przemiany, to w tył, to się na przód kiwał,
I ustawicznie, kropić, kropić! wykrzykiwał.
Wzdłuż izby zaś przebiegał Brzytewka ruchawy,
Ciągłe od Kropiciela do Macieja ławy.
Konewka zaś powoli wszecz izbę przechodził
Od Dobrzyńskich do szlachty, niby to ich godził;
Jeden wciąż wołał, golić, — a drugi zalewać!
Maciek milczał, lecz widno że się zaczął gniewać.

Ćwierć godziny wrzał hałas, gdy nad tłum wrzeszczący,
Ze środka głównego, wyskoczył w górę szept błyszczący:
Był to rapier sążnistej długości, szeroki
Na całą piędź, a sieczny na obadwa boki.
Widocznie miecz Teutoński z Norymberskiej stali
Ukuty: wszyscy milcząc, na brzoń pogladali.
Kto ją podniósł? niewiadać, lecz zaraz zgadniono;
To Scyzoryk, niech, żyje Scyzoryk! krzykniono,
Wiwat Scyzoryk klejnot Rębajłów zaścianku,
Wiwat Rębajło, Szerbiec, Półkozic, Mopanku!

Wnet Gerwazy (to on był) przez tłum się przecisnął

Na środek izby, w koło scyzorykiem błysnął,
Potem, w dół chyląc ostrze na znak powitania
Przed Mackiem, rzekł: Rózczece Scyzoryk się kłania.
Bracia, szlachta Dobrzyńscy: ja nie będę radził
Nic a nic, powiem tylko po com was zgromadził,
A co robić, jak robić, decydujcie sami.
Wiecie, słuch dawno chodzi między zaściankami,
Że się na wielkie rzeczy zanoszą na świecie;
Książd Robak o tém gadał, wszakże wszyscy wiecie?
— Wiemy! krzyknęli — Dobrze, owoż mądrzej głowie,
Ciagnał mowca spojrzawszy bystro, dość dwie słowie.
Nie prawdaż? — prawda, rzekli — Gdy Cesarz Francuski,
Rzekł Klucznik, stąd przyciąga, a stamtąd Car Ruski,
Więc wojna, car s cesarzem, królowie s królami
Pójdą za sobą jak zwykle między monarchami;
A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego
Będzie dusić, my duśmy mniejszych, każdy swego.
Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali,
Jak zacznem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali,
I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita.
Nie prawdaż? — prawda! rzekli, jakby s książki czyta.
Prawda! powtórzył Chrzciciel, krop a krop i kwita.

— Ja zawsze gotow golić ozwał się Brzytewka ;
 — Tylko zgodźcie się, prosił uprzejmie Konewka,
 Chrzycielu i Macieju, pod czyją iść wodzą ; —
 Ale mu przerwał Buchman : niech się głupi godzą ,
 Dyskussye publicznej sprawie nie zaszkodzą.
 Proszę milczeć , słuchamy, sprawa na tém zyska ,
 Pan Klucznik ją z nowego zważa stanowiska.

— Owszem, zawołał Klucznik, u mnie po staremu ,
 O wielkich rzeczach myśleć należy wielkiemu ;
 Jest na to Cesarz, będzie król, senat, posłowie.
 Takie rzeczy Mopanku, robią się w Krakowie
 Lub w Warszawie, nie u nas, w zaścianku w Dobrzynie;
 Aktów konfederackich nie piszą w kominie
 Kredą, nie na wicinie, lecz na pergaminie :
 Nie nam to pisać akta, ma Polska pisarzy
 Koronnych i Litewskich, tak robili starzy;
 Moja rzecz scyzorykiem wyrzynać — Kropidłem
 Pluskać, dodał Kropiciel — i wykałać szydłem,
 Krzyknął Bartek Szydełko, dobywszy swój szpadki.

Wszystkich was, kończył Klucznik, biórę tu na świadki,

Czy Robak nie powiadał, że wprzód nim przyjmiecie
 W dom wasz Napoleona, trzeba wymieść śmiecie?
 Słyszeliście to wszyscy, a czy rozumiecie?
 Któż jest śmieciem powiatu? kto zdradziecko zabił
 Najlepszego s Polaków, kto go okradł, zgrabił?
 Któż to? mamże wam gadać? — A już ci Soplica,
 Przerwał Konewka; to łotr — Oj to ciemężyciel,
 Pisnął Brzytewka — Więc go kropieć! dodał Chrzyciel.
 — Jeśli zdrajca, rzekł Buchman, więc na szubienicę.
 Hejże, krzyknęli wszyscy, hajże na Soplicę!

Lecz Prusak śmiał podjąć się Sędziego obrony,
 I wołał z wzniesionemi ku szlachcie ramiony:
 Panowie Bracia! aj! aj! a na boskie rany!
 Co znowu? Panie Klucznik, czy Waśc opętany?
 Czy o tém była mowa? że ktoś miał wariata,
 Banita bratem, to co? karać go za brata!
 To mi po chrześcijańsku! są tu w tym konszachty
 Hrabiego — żeby Sędzim był ciężki dla szlachty,
 Nie prawda! dalibógże! to wy tylko sami
 Pozywacie go, a on zgody szuka z wami,
 Ustępuje ze swego, jeszcze grzywny płać!

Ma process z Hrabią, cóż stąd? obadwa bogaci;
 Niechaj pan drze się s panem, cóż to do nas braci?
 Pan Sędzia ciemieżyciel! on pierwszy zabraniał
 Ażeby się chłop przed nim do ziemi nie kłaniał,
 Mówiąc że to grzech. Nie raz u niego gromada
 Chłopska, ja sam widziałem, do stołu z nim siada;
 Płacił za włość podatki, a nie tak jest w Klecku,
 Choć tam Waść Panie Buchman, rządysz po niemiecku.
 Sędzia zdrajca! my się z nim od infimy znamy:
 Poczciwe było dziecko, i dziś taki samy;
 Polskę kocha nad wszystko, polskie obyczaje
 Chowa, modom moskiewskim przystępu nie daje.
 Ilekroć s Prus powracam, chcąc zmyć się z niemczyzny,
 Wpadam do Soplicowa, jak w centrum polszczyzny;
 Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny!
 Dalbóg Dobrzyńscy! ja wasz brat, ale Sędziego
 Niepozwole pokrzywdzić, nie będzie nic s tego.
 Nie tak Panowie Bracia w Wielko-Polszcze było:
 Co za duch! co za zgoda! aż przypomnieć mi!o!
 Nikt tam podobną fraszką nieśmiał rady mieszać.
 — To nie fraszka zawołał Klucznik, łotrów wieszać!

Szmer wzmagał się; wtém Jankiel posłuchania prosił,
 Na ławę wskoczył, stanął, i nad głowy wznosił
 Brodę jak wiechę, co mu aż do pasa wisi;
 Prawą ręką zdjął zwolna z głowy kołpak lisi,
 Lewą ręką jarmużkę zruszoną poprawił,
 Potém lewicę za pas zatknął i tak prawił,
 Kołpakiem lisim w kolej kłaniając się nisko.

Nu Panowie Dobrzyńscy, ja sobie żydzisko;
 Mnie Sędzia ni brat, ni swat; szanuję Sopliców
 Jak Panów bardzo dobrych i moich dziedziców;
 Szanuję też Dobrzyńskich Bartków i Maciejów,
 Jako dobrych Sąsiadów, Panów Dobrodziejów;
 A mówię tak: jeżeli Państwo chcą gwałt zrobić
 Sędziemu, to bardzo źle, możecie się pobić,
 Zabić — assessory? a sprawnik? a turma?
 Bo w wiosce u Soplicy jest żołnierzy hurma,
 Wszystko jegry! Assessor w domu; tylko świśnie,
 Tak wraz przymarszerują, stoją jak umyślnie.
 A co będzie? a jeśli czekacie Francuza,
 To Francuz jest daleko jeszcze, droga duża.
 Ja żyd, o wojnach nie wiem, a byłem w Bielicy,

I widziałem tam żydków od samej granicy;
 Słysząc że Francuz stoi nad rzeką Łososną,
 A wojna jeśli będzie, to chyba aż wiosną.
 Nu, mówię tak, czekajcie; wszak dwór Soplicowa
 Nie budka kramna, co się rozbierze, w wóz schowa
 I pojedzie: dwór jak stał, do wiosny stać będzie;
 A Pan Sędzia, to nie jest żydek na arędzie,
 Nie uciecze, to jego można znaleźć wiosną;
 A teraz rozejdźcie się, a niegadać głośno
 O tém co było, bo to gadać, to daremno!
 A czyja łaska Panów Szlachty, proszę ze mną.
 Moja Siora powiła małego Jankielka,
 Ja dziś traktuję wszystkich, a muzyka wielka!
 Każę przynieść kozicę, basetle, dwie skrzypiec,
 A Pan Maciek Dobrodziej lubi stary lipiec
 I nowego mazurka; mam nowe mazurki.
 A wyuczyłem śpiewać fein moje bachurki.

Wymowa lubionego powszechnie Jankiela
 Trafiała do serc; powstał krzyk, oklask wesela,
 Smer przyzwolenia nawet za domem się szerzył,
 Gdy Gerwazy w Jankiela scyzorykiem zmierzył.

Żyd skoczył, wpadł w tłum; Klucznik wołał: precz stąd żydzie,
 Nie tkaj palców między drzwi, nie o ciebie idzie!
 Panie Prusak! że Waszec Sędziowską handlujesz
 Parą wicin mizernych, to już zań gardłujesz?
 Zapomniałeś Mopanku, że ojciec Waszécin
 Spławiał do Prus dwadzieścia Horeszkowskich wicin?
 Stąd się z bogacił i on i jego rodzina;
 Ba nawet wszyscy, ilu was tu jest z Dobrzyzna.
 Bo pamiętacie starzy, słyszeliście młodzi,
 Że Stolnik był was wszystkich ojciec i Dobrodziej:
 Kogoż on komissarzem słał do swych dobr Pińskich?
 Dobrzyńskiego! rachmistrzów kogo miał? Dobrzyńskich!
 Marszałkostwa, kredensu nie zwierzał nikomu,
 Tylko Dobrzyńskim: pełno Dobrzyńskich miał w domu!
 On forytował wasze w trybunałach sprawy,
 On wyrabiał u króla dla was chleb łaskawy,
 Dzieci wasze kopami pomieszczał w konwikcie
 Pijarskim, na swym koszcie, odzieży i wikcie;
 Dorosłych promowował także swym nakładem:
 A dla czego to robił? że wam był sąsiadem!
 Dziś Soplica kopcami tyka waszych granic,
 Cóż kiedy wam dobrego zrobił on?

— Nic a nic!

Przerwał Konewka: bo to wyrosło s szlachciury,
A jak dmie się, phu, phu, phu, jak nos drze do gory!
Pamiętacie, prosiłem na córki wesele;
Poję, nie chce pić, mowi: nie piję tak wiele,
Jak wy szlachta; wy szlachta ciągniecie jak bąki:
Ot magnat! delikacik z marymonckiej mąki!
Nie pił, leliśmy w gardło, krzyczał: gwałt się dzieje!
Czekajno, niech no ja mu s Konewki naleję.

— Filut, zawołał Chrzyciel: oj i ja go kropnę
Za swoje. Mój syn było to dziecko rostopne;
Teraz tak zgłupiał, że go nazywają Sakiem,
A s przyczyny Sędziego został głupcem takim.
Mówiłem, po co tobie leść do Soplicowa:
Jeżeli cię tam złowię! niech cię Bóg uchowa.
On znowu smyk do Zosi, dybie przez konopie,
Złowiłem go, a zatém za uszy i kropię;
A on beczy i beczy jak maleńkie chłopie:
Ojczy, choć zabij, muszę tam iść; a wcięż szlocha—
Co tobie? a on mówi, że tę Zosię kocha!
Chciałby popatrzeć na nią, żal mi nieboraka,

Mówię Sędziemu: Sędzio, daj Zosię dla Saka;
On mówi: jeszcze mała, czekaj ze trzy lata,
Jak sama zechce; łotr! łże, już ją komuś swata.
Słyszałem; już ja się tam na wesele wkręcę,
Ja im łoże małżeńskie kropidłem poświęcę.

— I taki łotr, zawołał Klucznik, ma panować?
I dawnych panów, lepszych od siebie ruinować?
A Horeszków i pamięć i imie zaginie!
Gdzież jest wdzięczność na świecie?—nie ma jej w Dobrzynie.
Bracia! chcecie bój z ruskim wieść imperatorem,
A boicie się wojny s Soplicowskim dworem?
Strach wam turmy! czyż to ja wzywam na rozboje?
Broń Boże! Szlachta Bracia! ja przy prawie stoję.
Wszak Hrabia wygrał, zyskał dekretów nie mało;
Tylko je exekwować! tak dawniej bywało:
Trybunał pisał dekret, szlachta wypełniała,
A szczególnie Dobrzyńscy, i stąd wasza chwała
Urosła w Litwie! Wszakże to Dobrzyńscy sami
Bili się na zajazdzie Myskim z Moskalami,
Których przywiódł Jenerał ruski Wojniłowicz,
I łotr, przyjaciel jego Pan Wołk z Łogomowicz;

Pamiętacie jak Wołka wzięliśmy w niewolę,
 Jak chcieliśmy go wieszać na belce w stodole,
 Jż był tyran dla chłopstwa a sługa Moskali;
 Ale się chłopci głupi nad nim zlitowali!
 (Upiec go muszę kiedyś na tym scyzoryku.)
 Nie wspomnę innych wielkich zajazdów bez liku,
 S których wyszliśmy zawsze jak szlachcie przystało,
 I z zyskiem i aplauzem powszechnym i s chwałą!
 Po cóż o tém wspominać! dziś darmo Pan Hrabia
 Sąsiad wasz, sprawę toczy, dekrety wyrabia,
 Już nikt z was pomóc nie chce biednemu sierocie!
 Dziedzic Stolnika tego, który żywił krocie,
 Dziś nie ma przyjaciela, oprócz mnie Klucznika,
 I ot tego wiernego mego scyzoryka!

— I kropidła, rzekł Chrzeciel, gdzie ty Gerwazeńku
 Tam i ja; póki ręka, puki plusk plask w ręku.
 Co dwaj to dwaj! Dalibóg mój Gerwazy! ty miecz,
 Ja mam kropidło; Dal Bóg! ja kropię a ty siecz,
 I tak szach mach, plusk plask; oni niech gawędzą!

— Toć i Bartka, rzekł Brzytwa, Bracia nie odpędzą,

Już co wy namydlicie, to ja wszystko zgolę.
 — I ja przydał Konewka z wami ruszyć wolę,
 Gdy ich nie można zgodzić na obior marszałka;
 Co mi tam głosy, gałki, u mnie insza gałka:
 (Tu wydobył s kieszeni garść kul, dzwonił niemi)
 Ot gałki! krzyknął, w Sędzie gałkami wszystkimi!
 — Do was wołał SkoTuba, do was się łączymy!
 — Gdzie wy, krzyknęła szlachta, gdzie wy, to tam i my!
 Niech żyją Horeszkowie, wiwant Półkozice!
 Wiwat Klucznik Rębaj!o! Hajże na Soplice!

I tak, wszystkich pociągnął wymowny Gerwazy:
 Bo wszyscy ku Sędziem mieli swe urazy,
 Jak zwyczajnie w sąsiedztwie, to o szkodę skargi,
 To o wyręby, to o granice zatargi:
 Jednych gniew, drugich tylko poburzała zawiść
 Bogactw Sędziego — wszystkich zgodziła nienawiść.
 Cisną się do Klucznika, podnoszą do góry
 Szable, pałki —

Aż Maciek dotychczas ponury,
 Nieruchomy, wstał z ławy i wolnemi kroki

Wyszedł na środek izby, i podparł się w boki;
 I spojrzawszy przed siebie i kiwając głową,
 Zabrał głos, wymawiając zwolna każde słowo,
 S przestankiem i przyciskiem : A głupi ! a głupi !
 A głupi wy ! na kim się mleło, na was skrupi.
 To , póki o wskrzeszeniu Polski była rada,
 O dobru pospolitém, głupi, u was zwada ?
 Nie można było, głupi, ani się rozmówić,
 Głupi, ani porządku, ani postanowić
 Wodza nad wami, głupi ! a niech no kto podda
 Osobiste urazy, głupi , u was zgoda !
 Precz stąd ! bo jakim Maciek, was, do milionów
 Kroćset kroci tysięcy fur beczek furgonów
 Djabłów!!!! —

Ucichli wszyscy jak rażeni gromem !

Ale razem straszliwy powstał krzyk za domem :
 « Wiwat Hrabia ! » On wjeżdżał na folwark Maciejów,
 Sam zbrojny, za nim zbrojnych dziesięciu dżokejów.
 Hrabia siedział na dzielnym koniu, w czarnym stroju,
 Na sukni orzechowy płaszcz włoskiego kroju,
 Szeroki , bez rękawów, jak wielka opona,

Spięty kłamrą u szyi , spadał przez ramiona ;
 Kapelusz miał okrągły z piórem, w rękę szpada,
 Okręcił się i szpadą powitał gromadę.

Wiwat Hrabia ! krzyknęli , z nim żyć i umierać !
 Szlachta zaczęła s chaty przez okna wyzierać
 I za Klucznikiem co raz ku drzwiom się napierać ;
 Klucznik wyszedł, a za nim tłum przeze drzwi runął,
 Maciek resztę wypędził, drzwi zamknął , zasunął ,
 I przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł: głupi !

A tym czasem się szlachta do Hrabiego kupi ;
 Idą w karczmę, Gerwazy wspominał dawne czasy,
 Kazał sobie trzy podać od kuntuszów pasy,
 Na nich ze sklepu karczmy beczki wydobywa
 Trzy : jedną miodu, drugą wódki , trzecią piwa.
 Wyjął goździe, wnet s szumem trysnęły trzy strugi,
 Jeden biały jak srebro, krwawnikowy drugi,
 Trzeci żółty; troistą grają w górze tęczę,
 A spadając w sto kubków, we sto szklanek brzęczą.
 Wre szlachta, tamci piją, ci Hrabiemu życzą
 Lat setnych , wszyscy, Hajże na Sopllice, krzyczą.

Jankiel wymknął się mleczkiem, oklep; Prusak równie,
 Niesłuchany, choć jeszcze roprowiał wymownie,
 Chciał zmykać, szlachta w pogoń, wołając że zdradził.
 Mickiewicz stał zdaleka, ni krzyczał, ni radził,
 Ale z miny poznano, że coś złego knuje,
 Więc do kordów, i Hajże! on się rejteruje,
 Odcina się, już ranny, przyparty do płotów,
 Gdy mu skoczył na odsiecz Zan i trzech Czeczotów.
 Zaczém rozjęto szlachtę, ale w tym rozruchu,
 Dwóch było ciętych w ręce, ktoś dostał po uchu.
 Reszta wsiadała na koń. —

Hrabia i Gerwazy

Porządkują, rozdają orężę, roskazy.
 W końcu, wszyscy przez długą zaścianku ulicę
 Puścili się w cwał krzyząc: Hajże na Soplice.



KSIEGA ÓSMA.

ZAJAZD.

TREŚĆ.

Astronomia Wojskiego — Uwaga Podkomorzego nad kometami — Tajemnicza scena w pokoju Sędziego — Tadeusz chcąc zrzęcznie wyplatać się wpada w wielkie kłopoty — Nowa Dydo — Zajazd — Ostatnia woźnińska protestacya — Hrabia zdobywa Soplicowo — Szturm i rzeź — Gerwazy piwnicznym — Uczta Zajazdowa.

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura ;
Kiedy nad głowy ludzi przyleciawszy chmura ,
Stanie i grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma,
Milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma,
Znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gromie :
Tęj ciszy chwila była w Soplicowskim domie.

Mysliłbyś, że przecucie nadzwyczajnych zdarzeń,
 Ścieło usta, i wzniosło duchy w kraje marzeń.

Po wieczerzy, i Sędzia i goście ze dworu
 Wychodzą na dziedziniec, używać wieczoru;
 Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą;
 Całe grono s posępną i cichą postawą,
 Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
 Scieśniać, i coraz bardziej ku ziemi przybliżać;
 Aż oboje skrywszy się pod zasłonę ciemną
 Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,
 Tłómacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
 Szepcąc, szmerach i słowach na wpół wymówionych,
 S których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;
 Szepnęły wiotkiem skrzydłem niedoperze, leca
 Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
 Bliżej zaś, niedoperzów siostrzyczki, ómy, rojem
 Wiją się, przywabione białym kobiet strojem,
 Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice,
 I w jasne oczki, które biorą za dwie świece.

Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
 Kręci się grając jako harmoniki sfera;
 Ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów
 Akord muszek i półton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
 Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty,
 Już trzykroć wrzasnął derkacz, piérwszy skrzypak łąki,
 Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki,
 Już bekasy do góry porwawszy się wiją,
 I bekając raz poraz jak w bębunki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszeciej wrzawy,
 Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy,
 Jako zaklęte w górach kaukaskich jeziora
 Mileżące przez dzień cały, grające z wieczora.
 Jeden staw co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
 Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
 Drugi staw z dnem błotnistém i gardzielem mętnym,
 Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym;
 W obu stawach piałły żab niezliczone hordy,
 Oba chory zgodzone w dwa wielkie akordy.

Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nocy s cicha ;
 Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha ;
 Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
 Jak grające na przemian dwie arfy Eola.

Mrok gęstniał ; tylko w gaju i około rzeczki
 W łożach, błyskały wilcze oczy jako świeczki,
 A dalej u ścieśnionych widnokregu brzegów,
 Tu i ówdzie ogniska pastuszych noclegów.
 Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
 Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.
 One teraz s pomroku odkryte w połowie,
 Drzemały obok siebie, jako małżonkowie
 Szczęśliwi : niebo w czyste objęło ramiona
 Ziemi pierś, co księżycem świeci posrebrzona.

Już na przeciw księżycą, gwiazda jedna, druga
 Błysnęła ; już ich tysiąc, już milion mruga.
 Kastor z bratem Poluxem jaśnieli na czele,
 Zwani niegdyś u Sławian Lele i Polele,
 Teraz ich w zodiaku gminnym znów przechrzczono,
 Jeden zowie się Litwą, a drugi Koroną.

Dalej niebieskiej *Wagi* dwie szale błyskają ;
 Na nich Bóg w dniu stworzenia (starzy powiadają)
 Ważył s kolei wszystkie planety i ziemię ,
 Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię ;
 Potem wagi złociste zawiesił na niebie :
 Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.

Na połnoc, świeci okrąg gwiazdzistego *Sita* ,
 Przez które Bóg (jak mówią) przesiał ziarnka żyta,
 Kiedy je z nieba zrucał dla Adama ojca,
 Wygnanego za grzechy z roskoszy ogrojca.

Nieco wyżej *Dawida* wóz, gotów do jazdy,
 Długi dyszel kieruje do polarnej gwiazdy.
 Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,
 Że nie słusznie pospólstwo zwie go Dawidowym,
 Gdyż to jest wóz Anielski. Na nim to przed czasy,
 Jechał Lucyper, Boga gdy wyzwiał w zapasy,
 Mlecznym gościńcem pędząc w cwał w niebieskie progi,
 Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zruciał z drogi.
 Teraz popsuty między gwiazdami się wala,
 Naprawiać go Archanioł Michał nie pozwala.

I to wiadomo także u starych Litwinów,
 (A wiadomość tę pono wzięli od rabinów)
 Że ów zodyakowy *Smok* długi i gruby
 Który gwiazdziste wije po niebie przeguby,
 Którego mylnie wężem chrzą Astronomowie,
 Jest nie wężem lecz rybą, Lewiatan się zowie.
 Przed czasy mieszkał w morzach, ale po potopie
 Zdechł z niedostatku wody; więc na niebios stropie
 Tak dla osobliwości, jako dla pamiątki,
 Anieli zawiesili jego martwe szczątki.
 Podobnie pleban Mirski zawiesił w kościele
 Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Takie gwiazd historye, które s książek zbadał,
 Albo słyszał s podania, Wojski opowiadał;
 Chociaż wieczorem słaby miał wzrok Wojski stary,
 I nie mógł w niebie dójrzeć nie przez okulary,
 Lecz na pamięć znał imie i kształt każdej gwiazdy;
 Wskazywał palcem miejsca i drogę ich jazdy.

Dziś mało go słuchano, nie zważano wcale
 Na *Sito*, ni na *Smoka*, ani też na *Szale*;

Dziś oczy i myśl wszystkich pociąga do siebie
 Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie,
 Był to *kometa* piérwszej wielkości i mocy,
 Zjawił się na zachodzie, ieciał ku północy;
 Krwawym okiem z ukosa na rydwan spojiera,
 Jakby chciał zająć puste miejsce *Lucypera*,
 Warkocz długi w tył rzucił, i część nieba trzęcią
 Obwinał nim, gwiazd krocic zagarnał jak siecią,
 I ciągnie je za sobą, a sam wyżej głową
 Mierzy, na północ, prosto w gwiazdę biegunową.

Z niewymowném przeczuciem cały lud Litewski
 Poglądał każdej nocy na ten cud niebieski,
 Biorąc złą wróżbę z niego, tudzież z innych znaków:
 Bo zbyt często słyszano krzyk złowieszczych ptaków,
 Które na pustych polach gromadząc się w kupy,
 Ostrzyły dzioby jakby czekając na trupy.
 Zbyt często postrzegano, że psy ziemię ryły,
 I jak gdyby śmierć wietrząc przeraźliwie wyły:
 Co wróży głód lub wojnę; a strażnicy boru
 Widzieli jak przez smętarz szła dziewica moru,
 Która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa,

A w lewym ręku chustką skrwawioną powiewa.

Różne stąd wnioski tworzył, stojący przy płocie
Cywón, co przyszedł zdawać sprawę o robocie,
I pisarz prowentowy w szeptach z ekonomem.

Lecz Podkomorzy siedział na przyźbie przed domem.
Przerwał rozmowę gości, znać że głos zabiera;
Błysnęła przy księżycu wielka tabakiera
(Cała s szerego złota, z brylantów oprawa,
We środku za szkłem portret króla Stanisława)
Zadzwoił w nią palcami, zażył i rzekł: Panie
Tadeuszu, Waścine o gwiazdach gadanie,
Jest tylko echem tego co słyssałeś w szkole.
Ja o cudzie, prostaków poradzić się wolę.
I ja Astronomii słuchołem dwa lata
W Wilnie, gdzie Sapieżyna, mądra i bogata
Pani, oddała dochód z wioski dwiestu chłopów,
Na zakupienie różnych szkielek i teleskopów.
Ksiądz Poczobut człek sławny był Obserwatorem,
I całej Akademii naonczas Rektorem,
Przecież w końcu katedrę i teleskop rzucił,

Do klasztoru, do cichej celi swój powrócił,
I tam umarł przykładnie. Znam się też s Sniadeckim
Który jest mądrym bardzo człekiem, chociaż świeckim
Owoż Astronomowie, planetę, kometę,
Uważają tak jako mieszczanie karetę;
Wiedzą czyli zajędzą przed króla stolicę,
Czyli z rogatek miejskich rusza za granicę;
Lecz kto w niej jechał? po co? co s królem rozmawiał?
Czy król posła s pokojem czy z wojną wyprawiał?
O to ani pytają. Pomnę za mych czasów
Gdy Branecki karetą swą ruszył do Jassów,
I za tą niepoczciwą pociągnął karetą
Ogon Targowiczaków, jak za tą kometą;
Lud prosty choć w publiczne nie mięszał się rady,
Zgadnął zaraz że ogon ów jest wróżbą zdrady.
Słychać że lud dał imię miotły tej komecie,
I powiada że ona milion wymiecie.

A na to rzekł z ukłonem Wojski: Prawda, Jaśnie
Wielmożny Podkomorzy: przypominam właśnie,
Co mnie mówiono niegdyś małemu dziecięciu,
Pamiętam, choć nie miałem wówczas lat dziesięciu,

Kiedy widziałem w domu naszym nieboszczyka
 Sapiehę, pancernego znaku Porueznika,
 Co potem był nadwornym Marszałkiem królewskim,
 Nakoniec umarł wielkim Kanclerzem Litewskim,
 Miawszy lat sto i dziesięć. Ten za króla Jana
 Trzeciego, był pod Wiedniem w chorągwi Hetmana
 Jabłonowskiego, owoż ów Kanclerz powiadał,
 Że właśnie kiedy na koń król Jan trzeci siadał,
 Gdy Nuncyusz Papieski żegnał go na drogę
 A Poseł Austryacki całował mu nogę
 Podając strzemię (Poseł zwał się Wilczek Hrabia)
 Król krzyknął: Patrzcie co się na niebie wyrabia!
 Spójrzą, alic nad głowy suwał się kometa,
 Droga, jaką ciągnęły wojska Mahometa,
 S wschodu na zachód; potem i ksiądz Bartochowski,
 Składając panegiryk na tryumf krakowski,
 Pod godłem *Orientis Fulmen*, prawił wiele
 O tym komecie; także czytam o nim w dziele
 Pod tytułem *Janina*, gdzie jest opisana
 Cała wyprawa króla nieboszczyka Jana,
 I wyryta chorągiew wielka Mahometa,
 I ów taki jak dziś go widzimy kometa.

— Amen — rzekł na to Sędzia, ja wróżbę Wasześci
 Przyjmuję, oby z gwiazdą zjawił się Jan trzeci!
 Jest na zachodzie wielki dziś bohater; może
 Kometa go przywiedzie do nas; co daj Boże!

Na to rzekł Wojski, głowę pochyliwszy smutnie:
 Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie!
 Nie dobrze iż się zjawił tuż nad Soplicowem,
 Może nam grozi jakim nieszczęściem domowém.
 Mielśmy wczoraj dosyć rostérku i zwady,
 Tak w czasie polowania, jako i biesiady.
 Rejent kłócił się z rana s panem Assesorem,
 A Pan Tadeusz wyzwał Hrabiego wieczorem.
 Pono spór ten ze skóry niedźwiedziej pochodził;
 I gdyby mnie Dobrodziej Sędzia nie przeszkodził,
 Jabym u stołu obu przeciwników zgodził.
 Bo chciałem opowiedzieć wypadek ciekawy,
 Podobny do zdarzenia wczorajszej wyprawy,
 Co trafił się najpierwszym strzelcom za mych czasów,
 Posłowi Rejtanowi i Księżu Denassów.
 Przypadek był takowy —

Jenerał Podolskich

Ziem, przejeżdżał z Wołynia do swoich dóbr Polskich,
 Czy też, gdy dobrze pomnę, na sejm do Warszawy,—
 Po drodze zwiedzał szlachtę, już to dla zabawy,
 Już dla popularności; wstąpił więc do Pana
 Tadeusza, dziś świętej pamięci, Rejtana,
 Który był potem naszym Nowogrodzkim posłem,
 I w którego ja domu od dzieciństwa wzrosłem.
 Owoż Rejtan, na przyjazd księcia Jenerała,
 Zaprosił gości — liczna szlachta się zebrała,
 Było teatrum; (Książę kochał się w teatrze)
 Fajerwerk dawał Kaszyc, który mieszka w Jatrze,
 Pan Tyzenhauz tancerzy przysłał, a kapele
 Ogiński i Pan Sołtan co mieszka w Zdzieńciele.
 Słowem dawano huczne nad spodziw zabawy
 W domu, a w lasach wielkie robiono obławy.
 Wiadomo zaś Waszmościom jest, że prawie wszyscy,
 Ile ich zapamiętać można, Czartoryscy,
 Choć idą z Jagiellonów krwi, lecz do myśliwstwa
 Nie są bardzo pochopni, pewno nie z leniństwa,
 Lecz z gustów cudzoziemskich; i książę Jenerał
 Częściej do książek, niżli do psiarni zazierał,

I do alkówek damskich, częściej niż do lasów.

W świecie Księcia, był książę Niemiecki Denassów,
 O którym powiadano, że w Libijskiej ziemi
 Goszcząc, polował niegdyś s królmi murzyńskimi,
 I tam tygrysa śpisał w ręcznym boju zwałił,
 S czego się bardzo książę ów Denassów chwalił.
 U nas zaś polowano na dziki w tę porę;
 Rejtan zabił ze sztuceca ogromną maciorę,
 Z wielkiem niebezpieczeństwem, bo z bliska wypalił.
 Każdy z nas trafność strzału wydziwiał i chwalił,
 Tylko niemiec Denassów obojętnie słuchoł
 Pochwał takich, i chodząc pod nos sobie dmuchał:
 Że trafny strzał dowodzi tylko śmiałe oko,
 Biała broń śmiała rękę; i zaczął szeroko
 Znowu gadać, o swojej Libii i śpisie,
 O swych królach murzyńskich i o swym tygrysie.
 Markotno to się stało panu Rejtanowi,
 Był człek żywy, uderzył po szabli i mówi:
 Mości książę! kto patrzy śmieje, walczy śmieje,
 Warte dziki tygrysów, a spis karabele —
 I zaczęli z niemcem dyskurs nazbyt żwawy.

Szczęściem książę Jenerał przerwał te rosprawy;
 Godząc ich po francuzku : co tam gadał niewiem,
 Ale ta zgoda był to popioł nad żarzewiem ;
 Bo Rejtan wziął do serca, okazji czekał,
 I dobrą sztukę spłatać niemcowi przyrzekał ;
 Tęj sztuki ledwie własnym nieprzyplacił zdrowiem,
 A spłatał ją nazajutrz, jak to wnet opowiem.

Tu Wojski umilknąwszy, prawą rękę wznosił,
 I u Podkomorzego tabakiery prosił ;
 Długo zażywa, kończyć powieści nieraczy,
 Jak gdyby chciał zaostrzyć ciekawość słuchaczy.
 Zaczynał wreszcie, kiedy znowu mu przerwano
 Powieść taką ciekawą, tak pilnie słuchaną !
 Bo do Sędziego nagle ktoś przysłał człowieka,
 Donosząc że z niezwłocznym interessem czeka.
 Sędzia dając dobranoc, żegnał całe grono :
 Natychmiast się po różnych stronach rozpierchniono,
 Ci spać do domu, tamci w stodole na sianie,
 Sędzia, szedł podróżnemu dawać posłuchanie.

Imi już śpią — Tadeusz po sieniach się zwija,

Chodząc jako wartownik, około drzwi stryja,
 Bo musi w ważnych rzeczach rady jego szukać
 Dziś jeszcze nim spać pójdzie; nie śmie do drzwi stukać,
 Sędzia drzwi na klucz zamknął, s kimś tajnie rozmawia;
 Tadeusz końca czeka, a ucha nadstawia.

Słyszysz wewnątrz szlochanie; nie trącając klamek
 Ostrożnie dziurką klucza zagłada przez zamek.
 Widzi rzecz dziwną! Sędzia i Robak na ziemi
 Klęczeli objawszy się, i łzami rzewnymi
 Płakali, Robak ręce Sędziego całował,
 Sędzia Księdza za szyję płacząc obejmował,
 Wreszcie po ćwierćgodzinném przerwaniu rozmowy,
 Robak po cichu temi odezwał się słowy :

« Bracie! Bóg wie żem dotąd tajemnie dochował,
 Ktorem z żalu za grzechy w spowiedzi ślubował;
 Że Bogu i Ojczyźnie poświęcony cały,
 Nie służąc pysze, ziemskiej nie szukając chwały,
 Żyłem dotąd, i chciałem umrzeć Bernardynem,
 Nie wydając nazwiska nie tylko przed gminem,
 Ale nawet przed tobą, i przed własnym synem!

Wszakże Ksiądz Prowincjał dał mi pozwolenie
 In articulo mortis, zrobić objawienie.
 Kto wie czy wrócę żywy! kto wie co się stańie
 W Dobrzynie! Bracie! wielkie, wielkie zamieszanie!
 Francuz jeszcze daleko, nim przeminie zima
 Trzeba czekać, a szlachta pono nie dotrzyma.
 Możem za nadto czynnie s powstaniem się krzątał!
 Pono źle zrozumieli! Klucznik wszystko splątał!
 Ten waryat Hrabia! słyszę, pobiegł do Dobrzyna,
 Niemogłem go uprzedzić, ważna w tém przyczyna:
 Stary Maciek mnie poznał, a jeśli odkryje
 Potrzeba będzie oddać pod Scyzoryk szyję.
 Nic Klucznika nie wstrzyma! mniejsza o mą głowę,
 Lecz tém odkryciem spisku zerwałbym osnowę.

Przecież! dziś tam być muszę! widzieć co się dzieje,
 Choćbym zginął; bezemnie szlachta oszaleje!
 Bądź zdrów najmiłszy bracie! bądź zdrów, śpieszyć muszę.
 Jeśli zginę, ty jeden westchniesz za mą duszę;
 W przypadku wojny, tobie cała tajemnica
 Wiadoma, kończ com zaczął, pomnij żeś Soplica.

Tu Ksiądz łyż otarł, habit zapiął, kaptur włożył,
 I okienicę tylną pocichu otworzył,
 Widać było że oknem do ogrodu skakał: —
 Sędzia zostawszy jeden, siadł w krześle i płakał.

Chwilę czekał Tadeusz, nim w kłamkę zadzwonił;
 Otworzono mu, cicho wszedł, nisko się skłonił,
 —Stryjaszku Dobrodzieju, rzekł, ledwie dni kilka
 Przebawiłem tu, dni te minęły jak chwilka;
 Nie miałem czasu s twoim domem się nacieszyć
 I s tobą, a odjeżdżać muszę, muszę śpieszyć
 Zaraz, dzisiaj Stryjaszku, a jutro najdalej:
 Wszak pamiętacie, żeśmy Hrabiego wyzwali.
 Bić się z nim to rzecz moja, posłałem wyzwanie,
 W Litwie jest zakazane pojedynkowanie,
 Jadę więc na granicę Warszawskiego Księstwa;
 Hrabia prawda fanfaron, lecz mu nie brak męstwa,
 Na miejsce naznaczone zapewne się stawi,
 Rosprawim się; a jeśli Bóg pobłogosławi,
 Ukarzę go, a potem za Łososny brzegi
 Przepłynę, gdzie mnie bratnie czekają szeregi.
 Słyszałem że mi ojciec testamentem kazał,

Słuzyc w wojsku, a niewiem kto testament zmasał.

—Mój Tadeuszk, rzekł stryj, czy Waszeć kąpany
W goracéj wodzie, czy też kręcisz jak lis szczwany,
Co indziej kitą wije, a sam indziej bieży?
Wyzwaliśmy, zapewne, i bić się należy.
Ale jechać dziś, skądżeś Waszeć tak się zaciął?
Przed pojedynkiem zwyczaj jest posłać przyjacioł,
Układać się, wszak Hrabia może nas przeprosić,
Deprekować; czekaj Waść, czasu jeszcze dosyć.
Chyba inny gies jaki Waści stąd wygania,
To gadaj szczerze, poco takie omawiania.
Jestem twój stryji, choć stary, znam cę serce młode,
Byłem ci ojcem (mówiąc gładził go pod brodę)
Już w ucho szepnął o tém mnie mój palec mały,
Że Waszeć masz tu jakieś z damami kabały.
Za katy prędko teraz młodzi do dam się bierze.
No Tadeuszk, przyznaj mi się Waść a szczerze.

Jużci, bąknął Tadeusz, prawda, są przyczyny
Inne, kochany Stryju! może z mojej winy!
Omyłka! cóż? nieszczęście! już trudno naprawić!

Nie, drogi Stryju, dłużej niemogę tu bawić.
Błąd młodości! Stryjaszku, nie pytaj o więcej,
Ja muszę s Soplicowa wyjeżdżać co prędzej.

Ho! rzekł Stryj, pewnie jakieś miłośne zatargi!
Uważałem że Waszeć wczoraj gryzłeś wargi,
Poglądając spode łba na pewną dziewczynkę,
Widziałem, że i ona miała kwaśną minkę:
Znam ja te wszystkie głupstwa, kiedy dzieci para
Kocha się, to tam u nich nieszczęście co niemiara!
To cieszą się, to znowu trapią się i smućą;
To znowu Bóg wie o co do zębów się skłóca;
To stojąc w kątkach jakby mruki, niegadają
Do siebie, czasem nawet w pole uciekają.
Jeżeli na was raptus podobny napada,
Bądźcie tylko cierpliwi, już jest na to rada;
Biorę na siebie wkrótce przywieść was do zgody.
Znam ja te wszystkie głupstwa, wszakże byłem młody.
Powiedz mi Wasze wszystko; ja może nawzajem
Coś odkryję, i tak się oba poprzyznajem.

—Stryjaszku, rzekł Tadeusz (całując mu rękę

I rumieniąc się) powiem prawdę; tę panienkę,
 Zosię, wychowanicę stryja, podobałem
 Bardzo, choć tylko parę razy ją widziałem;
 A mówią że stryji dla mnie za żonę przynajmniej
 Podkomorzanekę, piękną, i córkę bogacza.
 Teraz niemogłbym s Panną Różą się ożenić,
 Kiedy kocham tę Zosię; trudno serce zmienić!
 Nieuczciwie, żeniąc się z jedną kochać drugą,
 Czas może mnie uleczyć; wyjadę — na długo.

— Tadeuszu! stryj przerwał; to mi dziwny sposób
 Kochania się — uciekać od kochanych osób,
 Dobrze żeś szczerzy; widzisz, głupstwo byś wypłatał
 Odjeżdżając: a co Waś powiesz, gdybym swatał
 Sam Waci Zosię? He? cóż nie skoczysz z radości?

— Tadeusz rzekł po chwili: dobroć Jegomości
 Dziwi mnie! lecz cóż? łaska stryja Dobrodzieja
 Nie przyda się już na nic! Ach! próżna nadzieja!
 Bo Pani Telimena! nieodda mi Zosi!

— Będziem prosić, rzekł Sędzia —

Nikt jej nie uprosi,
 Przerwał prędko Tadeusz — nie, czekać niemożę,
 Stryjaszku, muszę prędko, jutro jechać w drogę,
 Daj mi Stryjaszku tylko twe błogosławieństwo,
 Wszystko przygotowałem, jadę zaraz w Księstwo.

Sędzia wąs kręcąc, z gniewem na chłopca spoziierał;
 — To Waś tak szczerzy? takeś mi serce otwierał?
 Naprzód ów pojedynek! potem znowu miłość
 I ten wyjazd, oj jest tu w tém jakaś zawiłość.
 Już mnie gadano, jużem kroki Waści badał!
 Asan bałamut i trzpiot, Asan kłamstwa gadał.
 A gdzież to Asan chodził onegdaj wieczorem,
 Czego Asan jak wyżeł tropił pode dworem?
 O Tadeuszu! jeśli może Asan Zosię
 Zbałamucił i teraz uciekasz? niłokosie,
 To się Waci nie uda; lubisz czy nie lubisz,
 Zapowiadam Asanu że Zosię poślubisz.
 A nie, to bizun — jutro staniesz na kobiercu.
 I gada mnie o uczuciach! o niezmienném sercu!
 Łgarz jesteś! pfe! ja z Waści Panie Tadeuszu,
 Zrobię śledztwo, ja Waści jeszcze natrę uszu!

Dziś dość miałem kłopotów! aż mi głowa boli!
 Ten mi jeszcze spokojnie zasnąć nie dozwoli!
 Idź mi Waś spać.—To mówiąc drzwi na wścież otwierał
 I zawołał Woźnego żeby go rozbierał.

Tadeusz cicho wyszedł opuściwszy głowę,
 Rozbierał w myśli przykrą ze stryjem rozmowę,
 Pierwszy raz połajany tak ostro! ocenił
 Słuszność wyrzutów, sam się przed sobą rumienił.
 Co począć? jeśli Zosia o wszystkim się dowie?
 Prosić o rękę? a cóż Telimena powie?
 Nie — czuł że nie mógł dłużej zostać w Soplicowie.

Tak zadumany ledwie zrobił kroków parę,
 Gdy mu coś drogę zaszkło; spójrzawszy, widzi marę
 Całą w bieleńcu, długą, wysmukłą, i cienką,
 Suwała się ku niemu z wyciągniętą ręką,
 Od której odbijał się drżący blask miesięczny,
 I przystąpiwszy, cicho jęknęła: Niewdzięczny!
 Szukałeś wzroku mego, teraz go unikasz,
 Szukałeś rozmów zemną dziś uszy zamykasz,
 Jakby w słowach, we wzroku mym, była trucizna!

Dobrze mi tak, wiedziałam kto jesteś! — mężczyzna!
 Nie znając kokieterji nie chciałam cię dręczyć,
 Uszczęśliwiłam; takżeś umiał mnie zawdzięczyć!
 Tryumf nad miękkim sercem, serce twe zatwardził,
 Żeś je zdobył zbyt łatwo, zbyt prędkoś niem wzgardził!
 Dobrze mi tak! lecz straszną nauczona próbą,
 Wierz mi, iż więcej niż ty gardzę sama sobą!

— Telimeno, Tadeusz rzekł, dalbóg nietwarde
 Mam serce, ani ciebie unikam przez wzgardę,
 Ale uważno sama, wszak nas widzą, śledzą,
 Czyż można tak otwarcie? cóż ludzie powiedzą.
 Wszak to nieprzyzwoicie, to dalbóg jest grzechem.
 — Grzechem! odpowiedziała mu z gorzkim uśmiechem,
 Niewiniątko! baranek! Ja będąc kobietą,
 Jeśli z miłości niedbam choćby mnie odkryto,
 Choćby mnie osławiono; a ty! ty mężczyzna?
 Cóż szkodzi z was któremu, chociaż się i przyzna
 Że ma romans, z dziesięciu razem kochankami?
 Mów prawdę, chcesz mnie rzucić — Zalała się łzami.
 — Telimeno, cóżby świat mówił o człowieku,
 Rzekł Tadeusz, któryby teraz, w moim wieku,

Zdrów, żył na wsi, kochał się — kiedy tyle młodzi,
 Tylu żonatych od żon od dzieci uchodzi
 Za granicę, pod znaki narodowe bieży?
 Choćbym chciał zostać, czy to odemnie zależy?
 Ojciec mnie testamentem kazał, abym służył
 W wojsku Polskim, teraz stryj ten rozkaz powtórzył:
 Jutro jadę, zrobiłem już postanowienie,
 I dalbóg Telimeno już go nie odmienię.
 — Ja, rzekła Telimena, niechcę ci zagradzać
 Drogi do sławy, szczęściu twojemu przeszkadzać!
 Jesteś mężczyzną, znajdziesz kochankę godniejszą
 Serca twojego, znajdziesz bogatszą, piękniejszą!
 Tylko dla méj pociechy, niech wiem przed rozstaniem,
 Że twoja skłonność była prawdziwém kochaniem,
 Że to niebył żart tylko, nie rozpusta płocha,
 Lecz miłość; niech wiem, że mnie mój Tadeusz kocha!
 Niech słowo «kocham» jeszcze raz z ust twych usłyszę,
 Niech je w sercu wyryję, i w myśli zapiszę;
 Przebaczę łacniej, chociaż przestaniesz mnie kochać,
 Pomnąc jakieś mnie kochał! — I zaczęła szlochać. —

Tadeusz widząc że tak płacze i tak błaga

Czule, i tylko takiej drobnostki wymaga,
 Wzruszył się, przejęły go szczery żal i litość,
 I jeżeliby badał serca swego skrytość,
 Możeby się w téj chwili i sam niedowiedział
 Czyli ją kochał, czy nie — Więc żywo powiedział:
 Telimeno, bogdaj mnie jasny piorun ubił,
 Jeśli nieprawda żem cię dalbóg bardzo lubił,
 Czy kochał; krótkie s sobą spędziliśmy chwile,
 Ale one mnie przeszły tak słodko, tak mile,
 Że będą długo, zawsze myśli méj przytomne,
 I dalibógże nigdy ciebie nie zapomnę.

Telimena skoczywszy padła mu na szyję;
 — Tegom się spodziewała, kochasz mnie, więc żyję!
 Bo dzisiaj miałam dni me własną ręką skrócić;
 Gdy mnie kochasz mój drogi, czyż możesz mnie rzucić?
 Tobie oddałam serce, oddam ci majątek,
 Pójdę za tobą wszędzie; każdy świata kątek
 Będzie mnie s tobą miły! z najbliższej pustyni
 Miłość, wierzaj mi, ogród roskoszy uczyni. —

Tadeusz wydarłszy się z objęcia przemocą,

Jakto? rzekł, czyś z rozumu obrana? gdzie? poco?
 Jechać za mną? Ja będąc sam prostym żołnierzem,
 Włóczyć, czy markietankę? — To my się pobierzem,
 Rzekła mu Telimena — Nie, nigdy, zawoła
 Tadeusz, ja żenić się niemam teraz zgoła
 Zamiaru, ni kochać się — fraszki! dajmy pokój!
 Proszę cię moja droga, rozmyśl się! uspokój!
 Ja jestem tobie wdzięczny, ale nie podobna
 Żenić się, kochajmy się, ale tak — z osobna.
 Zostać dłużej nie mogę, nie, nie, jechać muszę,
 Bądź zdrowa Telimeno moja, jutro ruszę.

Rzekł, nasuwał kapelusz, odwracał się bokiem
 Chcąc iść; lecz go wstrzymała Telimena okiem
 I twarzą, jak Meduzy głową; musiał zostać
 Mimowolnie; poglądał s trwogą na jej postać,
 Stała blada, bez ruchu, bez tehu i bez życia!
 Aż wyciągając rękę jak miecz do przebiccia,
 S palcem zmierzonym prosto w Tadeusza oczy,
 — Tego chciałam, krzyknęła, ha języku smoczy!
 Serce jaszczurcze! to nie, żem tobą zajęta
 Wzgardziła Assessora, Hrabie i Reienta.

Żeś mnie uwiódł i teraz porzucił sierotę,
 To nie! jesteś mężczyzną, znam waszą niecnotę,
 Wiem że jak inni tak ty mógłbyś wiarę złamać,
 Lecz nie wiedziałam, że tak podle umiesz kłamać!
 Słuchałam pode drzwiami stryja! więc to dziecko?
 Zosia? wpadła ci w oko? i na nią zdradziecko
 Dybiesz! Zaledwieś jedną niešťęsną oszukał,
 A już pod jej okiem nowych ofiar szukał!
 Uciekaj, lecz cię moje dosięgną przekłęstwa —
 Lub zostań, wydam światu twoje bezeceństwa,
 Twe sztuki! już nie zwiodą innych jak mnie zwiodły!
 Precz! gardzę tobą! jesteś kłameca, człowiek podły! —

Na obelgę śmiertelną dla uszu szlacheica,
 I której żaden nigdy nie słyssał Soplica,
 Zadrżał Tadeusz, twarz mu pobladła jak trupia,
 Tupnąwszy nogą, usta przyciąwszy, rzekł: — głupia!

Odszedł; lecz wyraz « podłość » echem się powtórzył
 W sercu, wzdrygnął się młodzian, czuł że nań zasłużył,
 Czuł że wyrządził wielką krzywdę Telimenie,
 Że go słuźnie skarżyła, mówiło sumnienie,

Lecz czuł że po tych skargach tém mocniej ją zbrzydził;
 O Zosi, ach! pomyśleć nie ważył się, wstydził.
 Przecież ta Zosia, taka piękna, taka miła!
 Stryj swatał ją! możeby jego żoną była!
 Gdyby nie szatan co go płacząc w grzech za grzechem,
 W kłamstwo za kłamstwem, wreszcie odstąpił z uśmiechem.
 Złajany, pogardzony od wszystkich! w dni parę
 Zmarnował przyszłość! uczuł słuszną zbrodni karę.

W tej burzy uczuć jakby kotwica spoczynku
 Zabłysnęła mu nagle myśl o pojedynku;
 Zamordować Hrabiego! Iotra! krzyknął w gniewie,
 Zginać, albo zemścić się! a za co? sam nie wie!
 I ten gniew wielki, jak się zajął, w mgnieniu oka,
 Tak wywietrzył; znow zdjęła go żałość głęboka.
 Myślał: jeśli prawdziwe było postrzeżenie,
 Ze Hrabia z Zosią jakies miał porozumienie,
 I cóż stąd? może Hrabia kocha Zosię szczerze,
 Może go ona kocha? za męża wybierze!
 Jakiemże prawem chciałbym zerwać to zamęcie,
 I sam nieszczęśnik, wszystkich mam zaburzać szczęście!

Wpadł w rozpacz i niewidiał innego sposobu
 Chyba ucieczkę prędką; gdzie? chyba do grobu!

Więc kułak przycisnąwszy na schyloném czole,
 Biegł ku łąkom gdzie stawy błyszczały się w dole,
 I stanął nad błonistym; w zielonawe tonie
 Łakomy wzrok utopił, i błotniste wonie
 Z roskoszą ciągnął piersią, i otworzył usta
 Ku nim; bo samobójstwo jak każda rozpusta
 Jest wymyślną; on w głowy szalonym zawrocie,
 Czuł niewymowny pociąg utopić się w błocie.

Lecz Telimena z dzikiej młodzieńca postawy
 Zgadując rozpacz, widząc że pobiegł nad stawy,
 Chociaż ku niemu takim słusznym gniewem pała,
 Przelekła się; w istocie dobre serce miała.
 Żał jej było że inną śmiał Tadeusz lubić,
 Chciała go skarać, ale nie myślała zgubić;
 Więc puściła się za nim, wznosząc ręce obie,
 Krzycząc: stój! głupstwo! kochaj czy nie! żeń się sobie!
 Czy jedź! tylko stój! — Ale on już szybkim biegiem
 Wyprzedził ją daleko; już — stanął nad brzegiem!

Dziwném zrządzeniem losów, po tym samym brzegu
 Jechał Hrabia, na czele dżokejów szeregu,
 A zachwycony wdziękiem nocy tak pogodnej
 I harmonią cudną orkiestry podwodnej,
 Owych chorów co brzmiały jak arfy Eolskie,
 (Żadne żaby nie grają tak pięknie jak Polskie)
 Wstrzymał konia i o swój zapomniał wyprawie,
 Zwrócił ucho do stawu i słuchoł ciekawie.
 Oczy wodził po polach, po niebios obszarze:
 Pewnie układał w myśli nocne pejzaże.

Zaiste, okolica była malownicza!

Dwa stawy pochyliły ku sobie oblicza
 Jako para kochanków; prawy staw miał wody
 Gładkie i czyste jako dziewicze jagody.
 Lewy ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana
 Smagława, i już męskim puchem osypana.
 Prawy złocistym piaskiem połyskał się w koło
 Jak gdyby włosem jasnym; a lewego czoło
 Najeżone łozami, wierzbami czubate;
 Oba stawy ubrane w zieloności szatę.

Z nich dwa strugi jak ręce związane pospołu
 Sciskają się; strug dalej upada do dołu;
 Upada lecz nie ginie, bo w rowu ciemnotę
 Unosi na swych falach księżycą poźlotę;
 Woda warstami spada, a na każdej warście
 Połyskają się blasku miesięcznego garście,
 Światło w rowie na drobne drzazgi się rostrąca,
 Chwyta je i w głąb niesie toń uciekająca,
 A z góry znów garściami spada blask miesięca.
 Myślałbyś że u stawu siedzi Świętżianka,
 Jedną ręką zdroj leje z bezdennej dzbanka,
 A drugą ręką w wodę dla zabawki miota
 Brane s fartuszka garście zakłętego złota.

Dalej, z rowu wybiegłszy strumień, na równinie
 Roskręca się, ucisza, lecz widać że płynie,
 Bo na jego ruchomej drgającej powłoce
 Wzdłuż miesięczne światelko drgające migocze.
 Jako piękny wąż żmudzki zwany *giwojtosem*
 Chociaż zdaje się drzemać, leżąc między wrzosem,
 Pełźnie, bo na przemiany srebrzy się i złoci,
 Aż nagle zniknie z oczu we mchu lub paproci:

Tak strumień kręcący się chował się w olszynach,
Które na widnokręgu czerniały kończynach,
Wznosząc swe kształty lekkie niewyraźne oku,
Jak duchy nawpół widne, napoły w obłoku.

Między stawami w rowie młyn ukryty siedzi:
Jako stary opiekun co kochanków śledzi,
Podśluchał ich rozmowę, gniewa się, szamocę,
Trzęsie głową, rękami, i groźby bełkoce;
Tak ów młyn nagle zatrząsł mchem obrosłe czoło,
I palczastą swą pięścią wykręcając w koło
Ledwo kleknął i szczęki zębownate ruszył,
Zaraz miłośną stawów rozmowę zagłuszył,
I zbudził Hrabie.

Hrabia widząc że tak blisko
Tadeusz naszedł jego zbrojne stanowisko,
Krzyczy: do broni! łapaj! skoczyli dżokeje;
Nim Tadeusz rozeznac mógł co się z nim dzieje,
Już go chwycili; biegą do dworu, w podwórce
Wpadają; dwór budzi się, psy w hałas, w krzyk stróże,
Wyskoczył wpół ubrany Sędzia; widzi zgraję

Zbrojną, myśli że zbójcy, aż Hrabie poznaje.
— Co to jest? pyta. Hrabia szpadą nad nim mignął,
Lecz widząc bezbronny w zapale ostygął,
— Soplico, rzekł, odwieczny wrogu mój rodziny,
Dziś skarzę cię za dawne i za świeże winy,
Dziś zdasz mi sprawę z mojej fortuny zaboru,
Nim pomszczę się obelgi mojego honoru!

Lecz Sędzia żegnając się krzyknął: w Imie Ojca
I Syna! tfu! Mospanie Hrabia czy Waśc zbojca?
Przebóg! czy to się zgadza s Pana urodzeniem,
Wychowaniem i s Pana na świecie znaczeniem?
Nie pozwolę skrzywdzić się! — W tém Sędziego sładzy
Biegli, jedni s kijami, ze strzelbami drudzy,
Wojski stojąc zdaleka, poglądał ciekawie
W oczy Panu Hrabiemu, a nóż miał w rękawie.

Już mieli zacząć bitwę, lecz Sędzia przeszkodził;
Próżno było bronić się, nowy wróg nadchodził;
Postrzeżono w olszynie blask, wystrzał rusznicy!
Most na rzece zahuczał tententem konnicy,
I « hajże na Soplicę! » tysiąc głosów wrzasło:

Wzdrygnął się Sędzia, poznał Gerwazego hasło ;
 Nic to, zawołał Hrabia, będzie tu nas więcej,
 Poddaj się Sędzio, to są moi sprzymierzeńcy.

W tém Assesor nadbiegał krzyząc : areszt kładę
 W Imie Imperatorskiej Mości ; oddaj szpadę
 Panie Hrabio, bo wezwę wojskowej pomocy,
 A wiesz Pan że kto zbrojnie śmie napadać w nocy,
 Zastrzeżono tysięcznym dwóchsetnym ukazem
 Że jak zło... W tém go Hrabia w twarz uderzył płażem.
 Padł zgłuszony Assesor i skrył się w pokrzywy,
 Wszyscy myśleli że był ranny lub nieżywy.

— Widzę, rzekł Sędzia, że się na rozbój zanosi ;
 Jęknęli wszyscy ; wszystkich zagłuszył wrzask Zosi,
 Która krzyczała Sędzię objawszy rękami,
 Jako dziecko od żydów kłóte igielkami.

Tymczasem Telimena wpadła między konie,
 Wyciągnęła ku Hrabii załamane dłońie,
 « Na twój honor, krzyknęła przeraźliwym głosem,
 Z głową w tył wychyloną, z rozpuszczonym włosom,

Przez wszystko co jest świętém, na klęczkach błagamy !
 Hrabio, śmieszże odmówić ? proszą ciebie damy,
 Okrutniku, nas pierwój musisz zamordować !
 — Padła zemdlona, — Hrabia skoczył ją ratować,
 Zadziwiony i nieco zmieszany tą sceną,
 — Panno Zofio, rzecze, Pani Telimeno !
 Nigdy się krwią bezbronnych ta szpada nie splami ;
 Soplicowie ! jesteście mojami więźniami.
 Tak zrobiłem we Włoszech, kiedy pod opoką
 Którą Sycylianie zwą Birbante-rokką,
 Zdobyłem tabor zbójców ; zbrojnych mordowałem,
 Rozbrojonych zabrałem i związać kazałem :
 Szli za końmi i tryumf mój zdobyli świetny,
 Potém ich powieszono u podnoża Etny. —

Było to osobliwsze szczęście dla Sopliców
 Że Hrabia, mając lepsze konie od szlacheiców,
 I chcąc spotkać się pierwszy zostawił ich w tyle,
 I biegł przed resztą jazdy, przynajmniej o milę,
 Ze swém dżokejstwem, które posłuszne i karne
 Stanowiło niejako wojsko regularne ;
 Gdy inna szlachta była zwyczajem powstania

Burzliwa i niezmiernie skora do wieszania.

Hrabia miał czas ostygnąć z zapału i gniewu,
Przemyslał jakby skończyć bój kez krwi rozlewu;
Więc rodzinę Sopliców w domu zamknąć każe,
Jako więźniów wojennych; u drzwi stawia strażę.

W tém « hajże na Sopliców » wpada szlachta hurmem,
Ostępuje dwór w koło, i bierze go szturmem,
Tem łacniej, że wódz wzięty i pierzełła załoga;
Lecz zdobywcy chcą bić się, wyszukują wroga.
Do domu niewpuszczeni, biegą do folwarku,
Do kuchni — gdy do kuchni weszli, widok garków,
Ogień ledwie zagaśły, potraw zapach świeży,
Chrupanie psów gryzących ostatki wieszczery,
Chwyta wszystkich za serca, myśl wszystkich odmienia,
Studzi gniewy, zapala potrzebę jedzenia.
Marszem i całodziennym znużeni sejmikiem,
« Jeść! jeść! » — po trzykroć zgodnym wezwali okrzykiem,
Odpowiedziano « pić, pić »; między szlachty zgrają
Stają dwa chóry, ci pić, a ci jeść wołają,
Odgłos leci echami, gdzie tylko dochodzi,

Wzbudza oskome w ustach, głód w żołądkach rodzi.
I tak na dane s kuchni basło, niespodzianie
Rozeszła się armia na furazowanie.

Gerwazy od pokojów Sędziego odparty,
Ustąpić musiał przez wzgląd dla Hrabiońskiej warty.
Więc niemogąc zemścić się na nieprzyjacielu,
Myślił o drugim wielkim téj wyprawy celu.
Jako człek doświadczony i biegły w prawnictwie,
Chce Hrabiego osadzić na nowém dziedzictwie
Legalnie i formalnie; więc za Woźnym biega,
Aż go po długich śledztwach za piecem dostrzeżga,
Wnet porywa za kołnierza, na dziedziniec wlecze,
I zmierzwszy mu w piersi scyzoryk, tak rzecze:
Panie Woźny, Pan Hrabia śmie Wacpana prosić,
Abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić
Intromissją Hrabi do zamku, do dworu
Sopliców, do wsi, gruntów zasianych, ugoru,
Słowem cum gais, boris et graniciebus,
Kmetonibus, scultetis, et omnibus rebus
Et quibusdam aliis. Jak tam wiesz tak szczekaj,
Nie nie opuszczaj. — Panie Kluczniku, zaczekaj,

Rzekł śmiało, ręce za pas włożywszy Protazy,
 Gotów jestem wypełniać wszelkie stron roskazy,
 Ale ostrzegam że akt nie będzie miał mocy,
 Wymuszony przez gwałty, ogłoszony w nocy.
 — Co za gwałty, rzekł Klucznik, tu niema napaści,
 Wszak proszę Pana grzecznie; jeśli ciemno Waści,
 To szczyrykiem skrzeseam ognia, że Waszeci
 Zaraz w ślepiach, jak w siedmiu kościołach zaświeci.

— Gerwazeńku, rzekł Woźny, po co się tak dąsać?
 Jestem Woźny, nie moja rzecz sprawę rostrząsać,
 Wszak wiadomo że strona Woźnego zaprasza
 I dyktuje mu co chce, a Woźny ogłasza.
 Woźny jest posłem prawa, a posłów niekarzą,
 Niewiem tedy za co mnie trzymacie pod strażą;
 Wnet akt spiszę, niech mi kto latarkę przyniesie,
 A tym czasem ogłaszam: Bracia uciszcie się!

I by donośniej mówić, wstąpił na stos wielki
 Belek (pod płotem sadu suszyły się belki)
 Wlazał na nie, i zarazem jakby go wiatr zdmuchnął, —
 Zniknął z oczu; słyszano jak w kapustę buchnął;

Widziano, po konopiach ciemnych jego biała
 Konfederatka, niby gołab przeleciała.
 Konewka strzelił w czapkę, ale chybił celu,
 W tém zatrzeszczały tyki, już Protazy w chmielu,
 « Protestuję » zawołał; pewny był uciezki,
 Bo za sobą miał łożę i bagniska rzeczki.

Po téj protestacyi, która się ozwała
 Jak na zdobytych wałach ostatni strzał działa,
 Ustał już wszelki opór w Soplicowskim dworze;
 Szlachta głodna plądruje, zabiera co może.
 Kropiciel stanowisko zająwszy w oborze,
 Jednego wołu i dwa cielce w łby zakropił,
 A Brzytewka im szablę w gardzielach utopił.
 Szydełko równie czynnie używał swéj szpadki,
 Kabany i prosięta koląc pod łopatki.
 Już rzeź zagraża ptastwu, — czujne gęsi stado
 Co niegdyś ocaliło Rzym przed Gallów zdradą,
 Darmo gęga o pomoc; zamiast Manliusza,
 Wpada w kotuch Konewka, jedne ptaki zdusza,
 A drugie żywcem wiąże do pasa kontusza.
 Próżno gęsi szyjami wywijając chrypią,

Próżno gęsiory sycząc napastnika szczypią.
On bieży; osypany iskrzącym się puchem,
Unoszony jak kółmi gęstych skrzydeł ruchem,
Zdaje się być Chochlikiem, skrzydlatym złym duchem.

Ale rzeź najstraszniejsza, chociaż najmniej krzyku,
Między kurami. Młody Sak wpadł do kurniku,
I z drabinek, stryczkami śłowiac, ciągnie z góry
Kogutki i szurpate i czubate kury,
Jedne po drugich dusi i składa do kupy,
Ptastwo piękne, karmione perłowemi krupy.
Niebaczny Saku, jakież zapał cię unosi!
Nigdy już odtąd gniewnej nie przebłagasz Zosi.

Gerwazy przypomina starodawne czasy,
Każe sobie podawać od kontuszów pasy,
I niemi s Soplicowskiej piwnicy dobywa
Beczki starej siwuchy, dębniaku i piwa.
Jedne wnet odgwoźdzono, a drugie ochoczo
Szlachta gęsta jak mrówie, porywają, toczą
Do zamku; tam na nocleg cały tłum się zbiera
Tam założona główna Hrabiego kwatery.

Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzą, pieką,
Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką;
Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać.—
Lecz powoli zaczęli drzémac i poziewać,
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada,
Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci.
Tak Zwycięzców, zwyciężył w końcu sen, brat śmierci.



Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,
Gdy się stał, gdy powstał, kiedy był ten świat,
Czas, kiedy był ten świat, kiedy był ten świat,
Lecz powoli ten świat przemija i powoli,
Oto koniec ten świat, i to jest koniec,
Rzecz słowna, rzecz, która nie ma końca,
Ten świat, ten świat, ten świat, ten świat,
Ten świat, ten świat, ten świat, ten świat.

KSIEGA DZIEWIĄTA.

BITWA.

TREŚĆ.

O niebezpieczeństwach wynikających z nieporządnego obozowania —
Odsiecz nie spodziana — Smutne położenie szlachty — Odwiedziny Kwe-
starskie są wróżbą ratunku — Major Płut zbytnią zalotnością ściąga na
siebie burzę — Wystrzał s króciocy, hasło boju — Czyny Kropiciela,
czyny i niebezpieczeństwa Maćka — Konewka zasadzką ocala So-
plicowo — Posiłki jezdne, atak na piechotę — Czyny Tadeusza —
Pojedynek dowódców przerwany zdradą — Wojski stanowczym
manewrem przechyla szalę boju — Czyny krwawe Ger-
wazego — Podkomorzy zwycięzca wspaniało-
myślny.

A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi
Blask latarek i wniście kilkudziesiąt ludzi,
Którzy wpadli na szlachtę, jak pająki ścienne
Nazwane *kosarzami* na muchy wpółśenne ;

Zaledwie która bzyknie, już długiemi nogi
 Obejmuje ją w koło i dusi mistrz srogi.
 Sen szlachecki był jeszcze twardszy niż sen muszy,
 Żaden nie bzyka, leżą wszyscy jak bez duszy;
 Chociaż byli chwytni silnemi rękoma
 I przewracani jako na przewiasłach słoma.

Tylko jeden Konewka, któremu w powiecie
 Nie znajdziesz równie mocnej głowy przy bankiecie,
 Konewka co mógł wypić lipcu dwa antały,
 Nim mu splątał się język i nogi zachwiały,
 Ten choć długi ucztował i usnął głęboko,
 Dawał przecie znak życia; przemknął jedno oko,
 I widzi! istne zmory! dwie okropne twarze
 Tuż nad sobą, a każda ma wąsów po parze,
 Dyszą nad nim, ust jego tykają wąsami,
 I czworgiem rąk w około wiją jak skrzydłami;
 Zląkł się, chciał przeżegnać się, darmo rękę chwytą,
 Ręka prawa jak gdyby do boku przybita;
 Ruszył lewą, niestety! czuje że go duchy
 Spowiły ciasno jako niemowlę w pieluchy;
 Zląkł się jeszcze okropnie, wnet oko zawiera,

Leży nie dysząc, stygnie, ledwie nie umiera.

Lecz Kropiciel zerwał się bronić się, po czasie!
 Bo już był skrepowany we swym własnym pasie;
 Przecież zwinął się, i tak sprężyste podskoczył,
 Że padł na piersi sennych, po głowach się toczył,
 Miotał się jako szczupak gdy się w piasku rzuca,
 A ryczał jako niedźwiedź, bo miał silne płuca.
 Ryczał: zdrada! — Wnet cała zbudzona gromada
 Chorem odpowiedziała: zdrada! gwałtu! zdrada!

Krzyk dochodzi echemi zwierciadlanej sali,
 Kędy Hrabia, Gerwazy i dżokeje spali;
 Przebudza się Gerwazy, darmo się wydziera
 Związany w kij do swego własnego rapiera:
 Patrzy, widzi przy oknie ludzi uzbrojonych,
 W czarnych krótkich kaszkietach, w mundurach zielonych,
 Jeden z nich opasany szarfą, trzymał szpadę
 I ostrzem jej kierował swych drabów gromadę
 Szepecząc: wiąż! wiąż! Do koła leżą jak barany
 Dżokeje w pętach, Hrabia siedzi nie związany
 Lecz bezbronny, przy nim dwaj z gołemi bagnety

Stoją drabi — poznał ich Gerwazy, niestety!
Moskale !!!

Nie raz Klucznik był w podobnych trwogach,
Nie raz miewał powrozy na rękę i nogach,
A przecież się uwalniał, wiedział o sposobie
Rwania więzów, był silny bardzo, ufał sobie.
Przemyślał ratować się milczkiem; oczy zmrużył,
Niby śpi, zwolna ręce i nogi przedłużył,
Dech wciągnął, brzuch i piersi ścisnął co najwężej;
Aż jednym razem kurczy, wydyma się, pręży,
Jak wąż głowę i ogon gdy chowa w przeguby,
Tak Gerwazy z długiego stał się krótki gruby;
Rosciągnęły się, nawet skrzypnęły powrozy,
Ale nie pękły! Klucznik ze wstydu i zgrozy
Przewrócił się i w ziemię schowawszy twarz gniewną
Zamknawszy oczy leżał nieczuły jak drewno.

Wtém ozwały się bębny, naprzód zrzadka, potem
Coraz gęstszym i coraz głośniejszym łoskotem;
Na ten appel, rozkazał officer Moskali,
Dżokejów z Hrabią zamknąć pod strażą na sali,

Szlachtę wieść na dwór, kędy stała druga rota.
Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Sztab stał we dworze, a z nim zbrojnej szlachty wiele,
Podhajscy, Birbaszowie, Hreczechy, Biergele,
Wszyscy Sędziego krewni albo przyjaciele.
Na odsiecz mu przybiegli słysząc o napadzie,
Zwłaszcza że z Dobrzyńskimi byli z dawna w zwadzie.

Kto z wiosek batalion Moskalów sprowadził?
Kto tak prędko sąsiedztwo z zaścianków zgromadził?
Assessor-li, czy Jankiel? różnie słyhać o tém,
Lecz nikt pewnie niewiedział ni wtenczas ni potem.

Już też i słońce wschodzi, krwawo się czerwieni,
Brzegiem tęym jak gdyby odartym s promieni
Na wpół widne, na wpół w czarnych chmurach się chowa,
Jak rozżarzona w węglach kowalskich podkowa.
Wiatr wznagał się i pędził obłoki ze wschodu
Gęste i poszarpane jako bryły lodu;
Každy obłok w przelocie deszczem zimnym pruszy,
S tyłu za nim wiatr leci i deszcz znowu suszy,

Za wiatrem znowu obłok nadbiega wilgotny :
I tak dzień naprzemiany był chłodny i słotny.

Tymczasem Major belki schnące pode dworem
Każe wlec , w każdej belce wysiekać toporem
Półokrągłe otwory, w te otwory wtyka
Nogi więźniów, i drugą belką je zamyka.
Oba drewna goździami przebite po rogach
Scisnęły się, jako psie paszczęki, na nogach.
Zaś powrozami mocniej sznurowano ręce
Na plecach szlachty; Major ku większej ich męce
Kazał pierwój poździerać z głów konfederatki,
S pleców płaszcze, kontusze, nawet taratki,
Nawet żupany. I tak szlachta skuta w kłódzie
Siedziała rzędem; dzwoniąc zębami na chłodzie
I na deszczu, bo coraz wzmagała się słota.
Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Darmo Sędzia za szlachtą instancję wnosi,
I Telimena łączy proźby do łez Zosi,
Ażeby miano większy wzgląd na niewolników.
Wprawdzie officer rotny Pan Nikita Rykow,

Moskał, lecz dobry człowiek, dał się udobruchać,
Cóż kiedy sam Majora Płuta musiał słuchać.

Ten Major, Polak rodem z miasteczka Dzierowicz,
Nazywał się (jak słysząc) po polsku Płutowicz,
Lecz przechrcił się; łotr wielki, jak się zwykle dzieje
S Polakiem, który w Carskiej służbie zmoskwicuje.
Płut stał s fajką przed frontem, w boki się podpierał,
I gdy mu kłaniano się, nos w górę zadzierał,
A za odpowiedź na znak gniewnego humoru,
Wypuścił z ust kłęb dymu i poszedł do dworu.

A tymczasem Rykowa Sędzia ułagadza,
I Assessora także na bok odprowadza;
Przemysłają jakby rzecz zakończyć bez sądu,
A co jeszcze ważniejsza bez mieszań się rządu.
Więc do Majora Płuta rzekł kapitan Ryków :

Panie Major! co nam s tych wszystkich niewolników?
Oddamy pod sąd! będzie szlachcie wielka bieda,
A Panu Majorowi nikt za to nie nieda.
Wiész co Major? ot lepiej tę sprawę zagodzić,

Pan Sędzią Majorowi musi trud nagrodzić,
 My powiemy, że my tu przyszli dla wizyty,
 A tak i kozy całe i wilk będzie syty.
 Przysłowie ruskie : wszystko można lecz ostrożnie,
 I to przysłowie : sobie piec na Carskim rożnie,
 I to przysłowie : lepsza zgoda od niezgody;
 Zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody.
 Raportu nie podamy, tak się nikt niedowie.
 Bóg dał ręce żeby brać ; to ruskie przysłowie.

Słyszac to Major wstaje i od gniewu parska.
 « Czy ty oszalał Ryków? to służba Cesarska,
 A służba nie jest družba, stary głupi Ryków!
 Czy ty oszalał? ja mam puszczać buntowników!
 W takim wojennym czasie! Ha Pany Polaki
 Ja was nauczę buntu! Ha szlachta fajdaki
 Dobrzyńscy, oj ja znam was, niech fajdaki mokną!
 (I zaśmiał się na całe gardło, patrząc w okno)
 Wszakże ten sam Dobrzyński co siedzi w surducie,
 Hej zdiać mu surdut; w roku przeszłym na reducie,
 Zaczął ze mną tę kłótnię, kto zaczął? on, nie ja.
 On gdy tańczyłem, krzyknął, precz za drzwi złodzieja!

Że wtenczas za pułkowej okradzenie kassy
 Byłem pod śledztwem, miałem wielkie ambarasy,
 A jemu co do tego? ja tańczę mazura,
 On krzyczy s tyłu: złodziei! szlachta za nim ura!
 Skrzywdzili mnie—a co? wpadł w me szpony szlachiura.
 Mówiłem : ej Dobrzyński! ej przyjdzie do woza
 Koza — a co? Dobrzyński widzisz! będzie łoża.

Potém Sędziemu szepnął schyliwszy się w ucho;
 Jeśli chcesz Sędzio żeby to uszło na sucho,
 Za każdą głowę tysiąc rubelków gotówką.
 Tysiąc rubelków Sędzio, to ostatnie słówko.

Sędzia chciał targować się; lecz Major nie słucał,
 Znowu biegał po izbie, dymem gęsto bucał,
 Podobny do szmermelu albo do rakiety.
 Chodziły za nim prosząc i płacząc kobiety.
 Majorze, mówił Sędzia, choć pozwiesz do prawa,
 Cóż wygrasz, tu nie zaszła żadna bitwa krwawa,
 Nie było rana, że zjedli kury i pułgąski,
 Za to wedle statutu zapłacą nawiąski;
 Ja na Pana Hrabiego nie zanoszę skargi,

To tylko były zwykłe sąsiedzkie zatargi.

— A czy Sędzia, rzekł Major, żółtą księgę czytał?

— Co to za żółta księga, Pan Sędzia zapytał?

— Księga, rzekł Major, lepsza niż wasze statuty,

A w niej pisze co słowo, stryczek, sybir, knuty;

Księga ustaw wojennych, teraz w Litwie całej
Ogłoszonych; już pod stół wasze trybunały.

Podług ustaw wojennych, za takową psotę,

Pójdziecie już to najmniej w sybirną robotę.

— Appelluję, rzekł Sędzia, do Gubernatora,

— Appelluj, rzekł Płut choćby do Imperatora.

Wiesz że gdy Imperator zatwierdza ukazy,

Z łaski swój, często karę powiększa dwa razy.

Appellujcie, ja może wynajdę w potrzebie,

Mospanie Sędzio, dobry kruczek i na ciebie.

Wszak Jankiel szpieg którego już rząd dawno śledzi,

Jest twoim domownikiem, w karczmie twojej siedzi.

Mogę teraz was wszystkich wziąć w areszt od razu.

— Mnie, rzekł Sędzia, brać w areszt? jak śmiesz bez rozkazu?

I przychodziło coraz do żywszego sporu;

Gdy nowy gość zajechał na dziedziniec dworu.

Wjazd tłumny, dziwny. Przodem niby laufer, bieży

Ogromny czarny baran, a łeb mu się jeży

Czterma rogami, s których dwa jako kabłaki

Kręcą się koło uszu, ubrane we dzwonki;

A dwa od czoła na bok wysuwając końce,

Wstrząsają kulki krągłe, mosiężne, brzęczące.

Za baranem szły woły, trzoda owiece, kozy,

Za bydłem cztery ciężko pakowane wozy.

Wszyscy odgadli że to wjazd księdza Kwestarza.

Więc Pan Sędzia powinność znając gospodarza,

Stał w progu, witać gościa. Książd na pierwszej bryce

Jechał kapturem na wpół zasłoniwszy lice,

Ale go wnet poznano, bo gdy więźniów minął,

Zwrócił się ku nim twarzą, palcem na znak skinął.

I drugiej bryki furman, równie był poznany,

Stary Maciek — Rózczecka, za chłopą przebrany;

Szlachta zaczęła krzyżeć skoro się pokazał,

On rzekł: głupi! — i ręką milczenie nakazał.

Na trzecim wozie Prusak w kubraku wytartym,

A Pan Zan z Mickiewiczem jechali na czwartym.

A tymczasem Podhajscy i Jsajewicze,
 Birbasze, Wilbikowie, Biérgele, Kotwicze,
 Widząc szlachtę Dobrzyńskich w tej ciężkiej niewoli,
 Zaczęli z dawnych gniewów ostygąć powoli.
 Bo szlachta Polska chociaż niezmiernie kłótniwa
 I porywczą do bitew, przecież nie jest mściwa.
 Biegą więc do Macieja starego po radę.
 On koło wozów całą ustawia gromadę,
 Każe czekać.

Bernardyn wstąpił do pokoju,
 Zaledwie go poznano choć nie zmienił stroju,
 Tak przybrał inną postać; zwyczajnie ponury,
 Zamyślony, a teraz głowę wzniosł do góry,
 I z miną rozjaśnioną jak kwestarz rubacha,
 Nim zaczął gadać, długo śmiał się:

— Cha, cha, cha, cha,
 Kłaniam, kłaniam! cha, cha, cha, wysmienicie, przednie!
 Panowie officery, kto poluje wednie,
 Wy w nocy! dobry połów, widziałem zwierzyne;
 Oj skubać, skubać szlachtę, oj drzeć z nich łupinę,

Oj weźcież ich na munsztuk, bo też szlachta bryka!
 Winszuję ci Majorze, żeś złowił Hrabika,
 To tłuścioszek, to bogacz, panicz z Antenatów,
 Nie wypuszczaj go s klatki bez trzystu dukatów;
 A jak weźmiesz, na klasztor daj jakie trzy grosze,
 I dla mnie, bo ja zawždy za twą duszę proszę.
 Jakem Bernardyn, bardzo myślę o twój duszy!
 Śmierć i sztabs-officerów porywa za uszy!
 Dobrze napisał Baka, że śmierć dźga za katy
 W szkarłaty, i po suknie nieraz dobrze stuknie,
 I po płućnie tak utnie jak i po kapturze,
 I po fryzurze równie jak i po mundurze.
 Śmierć matula, powiada Baka, jak cybula
 Łzy wyciska, gdy ściska, a równie przytula
 I dziecko co się lula, i zucha co hula!
 Ah! ah! Majorze, dzisiaj żyjem, jutro gnijem,
 To tylko nasze, co dziś zjemy i wypijem!
 Panie Sędzio wszakże to czas podobno śniadać?
 Siadam za stół, i proszę wszystkich ze mną siadać;
 Majorze, gdyby zrazów? Panie Poruczniku
 Co myślisz? gdyby wazę dobrego ponczyku?

— To prawda Ojeze, rzekli dwaj officerowie,
Czasby już zjeść i wypić Pana Sędzi zdrowic!

Zdziwili się domowi patrząc na Robaka,
Skąd mu się wzięła mina i wesołość taka.
Sędzia wnet kucharzowi powtórzył roskazy,
Wniesiono wazę, cukier, butelki i zrazy.
Płut i Ryków tak czynnie zaczęli się zwijać,
Tak ślakomie połykać i gęsto zapijać,
Że w pół godziny zjedli dwadzieścia trzy zrazy
I wychylili ponczu ogromne pół wazy.

Więc Major syt i wesoły w krześle się rozwalił,
Dobry fajkę, biletem bankowym zapalił,
I otarłszy śniadanie z ust końcem serwety,
Obrócił śmiejąc się oczy na kobiety
I rzekł: ja, piękne panie, lubię was jak wety!
Na me szlify Majorskie, gdy człek zjadł śniadanie,
Najlepszą jest po zrazach zakąska, gadanie
S paniami tak pięknymi jak wy piękne panie!
Wiecie co? grajmy w karty? w welba-cwelba? w wista?
Albo pójdźmy mazurka? he! do djabłów trzysta!

Wszak ja w jegierskim pułku pierwszy mazurzysta!
Zaczm ku damom bliżej chylił się wygięty,
I puszczał na przemiany dym i komplementy!

— Tańczyć! zawołał Robak, gdy wychyłę flaszę,
To i ja choć ksiądz habit czasami podkaszę
I potanczę mazurka! Ale wiesz Majorze
My tu pijem, a jegry tam zmarzną na dworze?
Hulać to hulać! Sędzio, daj beczkę siwuchy,
Major pozwoli, niechaj piją jegry zuchy!
— Prosiłbym, rzecz Major, lecz w tym niema musu.
— Daj Sędzio, szepnął Robak, beczkę spirytusu.
I tak kiedy we dworze sztab wesoły tyka,
Za domem zaczęła się w wojsku pijatyka.

Rykw kapitan mileżkiem kielichy wychylał,
Lecz Maior pił i razem damom się przymilał,
A wzmagal się w nim coraz tańcowania zapał,
Rzucił fajkę, i rękę Telimeny złapał,
Chciał tańczyć, lecz uciekła, więc podszedł do Zosi,
Kłaniając się słaniając do mazurka prosi.
• Hej ty Ryków, przestańże tam trąbić na fajce,

Precz fajka, wszak ty dobrze grasz na bałabajce,
Widziszno tam gitarę, pódzno weż gitarę
I mazurka! ja Major idę w pierwszą parę » —
Kapitan wziął gitarę i strony przykręcał,
Płut znowu Telimenę do tańca zachęcał. —

— Słowo Majorskie panno, nie rossyaninem
Jestem, jeżeli kłamie! chcę być sukinsynem,
Jeżeli kłamie, spytaj, a officerowie
Wszyscy poświadcza, cała armija to powie
Że w tej drugiej armii, w korpusie dziewiątym,
W drugiej pieszej dywizyi, w pułku piędziesiątym
Jegerskim, major Płut jest pierwszy mazurzysta.
Pódźże panienko! nie bądź taka narowista!
Bo ja po officersku ukarzę paniękę —

To mówiąc skoczył, chwycił Telineny rękę
I szerokim całusem w białe ramie klasnął;
Gdy Tadeusz przypadłszy z boku w twarz mu trzasnął.
I całus i policzek czwały się razem
Jeden za drugim, jako wyraz za wyrazem.

Maior osłupiał, oczy przetaił, z gniewu błady
Zawołał: bunt! buntownik! — i dobywszy szpady
Biegł przebieć; w tém ksiądz dostał z rękawa krócięcę,
Pal Tadeuszkowi krzyknął, pal jak w jasną świecę!
Tadeusz wnet pochwycił, wymierzył, wypalił,
Chybił, ale Majora zgłuszył i osmalił.
Porywa się z gitarą Ryków: bunt! bunt! woła,
Wpada na Tadeusza; lecz Wojski zza stoła
Machnął ręką na odlew, nóż w powietrzu świsnął
Między głowy i pierwój uderzył niż błysnął.
Uderza w dno gitary nawyłot ją wierci,
Schylił się na bok Ryków i tak uszedł śmierci,
Lecz strwożył się; krzyknawszy Jegry! bunt! Jój bogu!
Dobył szpady, broniąc się zbliżał się do progu.

W tém z drugiej strony izby wpada szlachty wiele
Przez okna, z rapierami, Rózczełka na czele.
Płut w sieni, Ryków za nim, wołają żołnierzy,
Już trzech najbliższych domu na pomoc im bieży;
Już przeze drzwi włazą trzy błyszczące bagnety,
A za niemi trzy czarne schylone kaszkiety.
Maciek stał u drzwi z różgą wzniesioną do góry,

Lgnąc do ściany, czatował jako kot na szczury,
 Aż ciął okropnie; może głowyby trzy zwałił,
 Lecz stary czy niedojrzał, czy zbyt się zapalił,
 Bo nim szyję wytknęli rąbnął po kaszkietach,
 Zdarł je; różga spadając brzękła po bagnetach —
 Moskale cofają się, Maciek ich wygania
 Na dziedziniec —

Tam jeszcze więcej zamieszania.

Tam stronnicy Soplców pracują w zawody
 Nad roskuciem Dobrzyńskich, rozrywają kłody;
 Widząc to jegry za broń porywają, biegą;
 Szerżant wpadłszy bagnetem przebił Podhajskiego,
 Dwóch drugich szlachty zranił, do trzeciego strzela,
 Uciekają; było to przy kłodzie Chrzyciela.
 Ten już miał ręce wolne, gotowe ku walce;
 Wstał podniósł dłoń i zwinął w kłębek długie palce,
 I z góry tak uderzył w grzbiet Rossyanina,
 Że twarz jego i skroń wbił w zamek karabina.
 Trzasł zamek, lecz zalany krwią proch już nie spalił;
 Szerżant u nóg Chrzyciela na swą broń się zwałił.
 Chrzyciel schyla się, chwytając karabin za rurę

I wijąc jak kropidłem podnosi go w górę,
 Robi młynka, dwóch zaraz szeregowych zwała
 Po ramionach, i w głowę ugadza kaprała,
 Reszta zlekła od kłody cała się s przestraczem :
 Tak Kropiciel ruchomym nakrył szlachtę dachem.

Zaczém rozbito kłodę, rozcięto powrozy,
 Szlachta już wolna wpada na kwestarskie wozy,
 Z nich dobywa rapiéry, pałasze, tasaki,
 Kosy, strzelby; Konewka znalazł dwa szturmaki
 I worek kul; wyspał je do swego szturmaka,
 Drugi równie nabiwszy ustąpił dla Saka.

Jegrów więcej przybywa, mieszają się, tłuką,
 Szlachta w zgiełku nie może ciąć krzyżową sztuką,
 Jegry nie mogą strzelać, jż walczą wręcz, z bliska—
 Już stał ząb za ząb o stal porwawszy się pryska,
 Bagnet o szablę, kosa o gifes się łamie,
 Pięść spotyka się s pięścią i z ramieniem ramie.

Lecz Ryków s częścią Jegrów, pobiegł gdzie stodoła
 Tyka płotów; tam staje, na żołnierzy woła

Ażeby zaprzestali bitwę tak bezładną,
 Gdzie nie używszy broni pod pięściami padną.
 Gniewny że sam nie może dać ognia, bo w tłumie
 Moskalów od Polaków rozróżnić nie umie,
 Woła: stroj się! (co znaczy formuj się do szyku)
 Ale komendy jego nie słyhać śród krzyku.

Stary Maciek do ręcznych zapasów nie zdolny,
 Rejterował się czyniąc przed sobą plac wolny
 Na prawo i na lewo; tu końcem szablicy
 Ociera bagnet z rury, jako knot ze świecy;
 Tam machnąwszy na odlew ścina albo kole.
 I tak ostróżny Maciek ustępuje w pole.

Lecz z największym na niego naciera uporem
 Stary Gifreiter, co był pułku instruktorem,
 Wielki mistrz na bagnety; zebrał się sam w sobie,
 Skurczył się, a karabin porwał w ręce obie,
 Prawą u zamka, lewą w pół rury porywa,
 Kręci się, podskakuje, czasem przysiadł,
 Lewą rękę opuszcza, a broń s prawej ręki
 Suwa naprzód, jak żądło z węzowej paszczęki,

I znowu ją w tył cofa, na kolanie wspiera,
 I tak kręcąc się, skacząc, na Macka naciera.

Ocenił przeciwnika zręczność Maciek stary,
 I lewą ręką włożył na nos okulary,
 Prawą, rękojeść różgi tuż przy piersiach trzyma,
 Cofa się, Gifrejtera ruch śledząc oczyma;
 Sam słania się na nogach, jakoby był pijany;
 Gifrejter bieży prędzej i pewny wygranej,
 Żeby uchodzącego tém łacniej dosięgnął,
 Powstał i całą prawą rękę wzdłuż wyciągnął
 Popychając karabin, a tak się wysilił
 Pchnięciem i wagą broni, że się aż pochylił;
 Maciek tam kędy bagnet wkłada się na rurę,
 Podstawia swą rękojeść, podbija broń w górę,
 I wnet spuszcza różgę, tnie Moskala w rękę
 Raz, i znowu na odlew przecina mu szczękę. —
 Tak padł Gifrejter, fehmistrz najpierwszy z Moskalów,
 Kawaler trzech krzyżyków i czterech medalów.

Tymczasem koło kłodek, lewe szlachty skrzydło
 Już jest bliskie zwycięstwa; tam walczył Kropidło

Widny z dala, tam Brzytwa wił się śród Moskali,
 Ten ich w pół ciała rzeza, tamten w głowy wali;
 Jako machina, którą Niemiec majstrowie
 Wymyślili i która młóćkarnią się zowie,
 A jest razem sieczkarnią, ma cepy i noże,
 Razem i słomę kraje i wybija zboże.
 Tak pracują Kropiciel i Brzytwa pospołu,
 Mordując nieprzyjaciół, ten z góry ten z dołu.

Lecz Kropiciel już pewne porzuca zwycięstwo,
 Bieży na prawe skrzydło gdzie niebezpieczeństwo
 Nowe grozi Maćkowi; śmierci Gifrejtera
 Mszcząc się Proporszczyk z długim szpontonem naciera
 (Szponton, jest to zarazem dzida i siekiera,
 Teraz już zaniedbany i tylko na flocie,
 Używają go — w ów czas służył i piechocie.)
 Proporszczyk człowiek młody zręcznie się uwijał,
 Ilekroć mu przeciwnik broń na bok odbijał,
 On cofał się, młodego nie mógł Maciek zgonić,
 I tak nieraniąc musiał tylko siebie bronić.
 Już mu Proporszczyk dzidą lekką ranę zadał,
 Już wznosząc w górę berdysz do cięcia się składał,

Chrzyciel nie zdoła dobieść, lecz staje w pół drogi,
 Okręca broń i ciska wrogowi pod nogi,
 Skruszył kość, już Proporszczyk szponton z rąk upuszcza,
 Słania się, wpada Chrzyciel, za nim szlachty tłuszcza,
 A za szlachtą Moskale od lewego skrzydła
 Biegają zmieszani, wszczął się bój koło Kropidła.

Chrzyciel który w obronie Maćka oręż stracił,
 Ledwie że tej przysługi życiem nie przypłacił,
 Bo przypadło nań s tyłu dwóch silnych Moskali,
 I czworo rąk zarazem we włos mu wplątali,
 Upiąwszy się nogami ciągną jako liny
 Spreżyste, uwiązane do masztu wiciny;
 Daremnie w tył Kropiciel ciska ślepe razy,
 Chwieje się — a w tém postrzegł że blisko Gerwazy
 Walczy; zawołał: Jezus Marya! Scyzoryku!

Klucznik trwożę Chrzyciela poznawszy po krzyku
 Odwrócił się, i spuścił ostrze pływkię stali
 Między głowę Chrzyciela i ręce Moskali;
 Cofnęli się wydawszy przeraźliwe głosy,
 Lecz jedna ręka mocniej wplątana we włosy,

Została się, wisząca i krwią buchająca,
 Tak orlik jedną szponę gdy wbije w zająca,
 Drugą, by wstrzymać zwierza, o drzewo uczepli,
 A zając targnąwszy się orła w pół rozszechpi,
 Prawa szpona u drzewa zostaje się w lesie,
 A lewą zakrwawioną, zwierza na pola niesie.

Kropiciel wolny oczy obraca do koła,
 Ręce wyciąga, broni szuka, broni woła,
 Tymczasem grzmi pięściami, stojąc mocno w kroku;
 I pilnując się z bliska Gerwazego boku,
 Aż Saka syna swego postrzeżga w natłoku.
 Sak prawą ręką szturmak wymierza, a lewą
 Ciągnie za sobą długie sążniowate drzewo,
 Uzbrojone w krzemienie i w guzy i sęki.
 (Nikt by go nie podźwignął prócz Chrzciciela ręki.)
 Chrzciciel gdy miłą broń swą, swe kropidło zoczył,
 Chwycił je, ucałował, z radości podskoczył,
 Zakręcił je nad głową i zaraz ubroczył.

Co potem dokazywał, jakie klęski szerzył,
 Daremnie śpiewać, niktby muzie nieuwierzył,

Jak nie wierzono w Wilnie ubogiej kobiecie,
 Która stojąc na świętej Ostrzej bramy szczycie,
 Widziała, jako Dejów Moskiewski Jenerał
 Wchodząc s półkiem kozaków, już bramę otwierał,
 I jak jeden mieszczanin, zwany Czarnabacki,
 Zabił Dejowa, i zniósł cały pułk kozacki.

Dosyć że się tak stało, jak przewidział Ryków;
 Jegry w tłumie, ulegli mocy przeciwników.
 Dwudziestu trzech na ziemi wala się zabitych,
 Trzydziestu kilku jęczy ranami okrytych,
 Wielu pierchło, skryło się w sad, w chmiele, nad rzekę,
 Kilku wpadło do domu pod kobiet opiekę.

Zwycięska szlachta biega z okrzykiem wesela,
 Ci do beczek, ci łupy rwą z nieprzyjaciela;
 Jeden Robak tryumfów szlachty nie podziela.
 On dotąd sam nie walczył (bo bronią kanony
 Księdzu bić się), lecz jako człowiek doświadczony
 Dawał rady, plac boju z różnych stron obchodził,
 Wzrokiem, ręką, walczących zachęcał, przywodził.
 I teraz woła, aby do niego się łączyć,

Uderzyć na Rykova, zwycięstwo dokończyć.
 Tymczasem przez posłańca wskazał do Rykova,
 Że jeżeli broń złoży, życie swe zachowa;
 Jeżeli zaś oddanie broni będzie zwlekać,
 Robak każe otoczyć resztę i wysiekać.

Kapitan Ryków wcale nie prosił pardonu;
 Zebrawszy koło siebie pół batalionu,
 Krzyknął: za broń! wnet szereg karabiny chwyta,
 Chrzęsnęła broń, a była już dawno nabita,
 Krzyknął: cel! rury rzędem zabłysnęły długim,
 Krzyknął: ognia kolej! grzmią jeden po drugim,
 Ten strzela, ten nabija, ten chwyta do ręki,
 Słychać świsty kul, zamków chrzęsty, szteflów dźwięki.
 Cały szereg zdaje się być ruchomym płazem,
 Który tysiąc błyszczących nóg wywija razem.

Prawda że Jegry byli mocnym trunkiem pijani,
 Zle mierzą i chybiają, rzadko który rani,
 Ledwie który zabije; przecież dwóch Maciejów
 Już zraniono, i poległ jeden z Bartłomiejów.
 Szlachta z niewiela rusznic z rzadka się odstrzela,

Chce szablami uderzyć na nieprzyjaciela,
 Ale starsi wstrzymują; kule gęsto świszczą,
 Rażą, spędzają, wkrótce dziedziniec oczyszczą,
 Już aż po szybach dworu zaczynają dzwonić.

Tadeusz który został w domu kobiet bronić
 Z rozkazu Stryja, słysząc że coraz to gorzej
 Wre bitwa, wybiegł, za nim wybiegł Podkomorzy,
 Któremu Tomasz wreszcie przyniosł karabelę,
 Spiesz, łącz się s szlachtą i staj na czele.
 Bieży broń wzniosłszy, szlachta rusza jego śladem,
 Jegry przypuściwszy ich, sypnęli kul gradem.
 Legł Isajewicz, Wilbik, Brzytewka raniony;
 Zaczem, wstrzymują szlachtę, Robak z jednej strony
 A z drugiej Maciej; szlachta ostyga w zapale,
 Ogląda się, cofa się; widzą to Moskale,
 Kapitan Ryków myśli ostatni cios zadać,
 Spędzić szlachtę z dziedzińca i dworem owładać.

— Formuj się do ataku! zawołał, na sztyki!
 Na przód! Wnet szereg rury wytknąwszy jak tyki,
 Schyla głowy, zrusza się i przyspiesza kroku,

Darmo szlachta wstrzymuje s przodu , strzela z boku ,
Szereg już pół dziedzińca przeszedł bez oporu ;
Kapitan pokazując szpadą na drzwi dworu ,
Krzyczy : Sędzio poddaj się , bo dwór spalić każe !
— Pal , woła Sędzia , ja cię w tym ogniu usmażę .

O dworze Soplicowski ! jeśli dotąd całe
Swiecą się pod lipami twoje ściany białe ,
Jeśli tam dotąd szlachty sąsiedzkiej gromada
Za gościnnemi stoły Sędziego zasiada ,
Pewnie tam piją często za Konewki zdrowie ,
Bez niego jużby było dziś po Soplicowie !

Konewka dotąd małe dał męstwa dowody ;
Choć najpierwszy ze szlachty uwolniony s kłody ,
Choć zaraz znalazł w wozie swą miłą konewkę ,
Swój szturmak faworytny , i z nim kul sakiewkę ,
Niechciał bić się ; powiadał , że sobie nieufa
Na czezo ; szedł więc gdzie stała spirytusu kufa ,
Ręką jak łyżką strumień do ust sobie chylił ;
Dopiero gdy się dobrze rozgrzał i posilił ,
Poprawił czapkę , s kolan wziął do rąk konewkę ,

Zmacał sztenlfem naboju , podsypał panewkę ,
I spojrział na plac boju ; widzi że błyszcząca
Fala bagnatów szlachtę bije i roztrąca ,
Przeciw tej fali płynie ; schyla się do ziemi
I nurkuje pomiędzy trawami gęstemi ,
Środkiem dziedzińca , aż tam gdzie rosła pokrzywa
Zasadza się , a Saka gestami przyzywa .

Sak broniąc dworu stanął s szturmakiem u proga ,
Bo w tym dworze mieszkała jego Zosia droga ,
Od której choć w zalotach został pogardzony ,
Kochał ją zawsze , zginąć rad dla jęj obrony .

Już szereg Jegrów w marszu na pokrzywę wkracza ,
Gdy Konew ruszył cyngla , i s paszczy garłacza
Tuzin kul rozsiekanych puszcza śród Moskali ,
Sak puszcza drugi tuzin , Jegry się zmieszali .
Przerażony zasadzką szereg w kłęb się zwija ,
Cofa się , rzuca rannych ; Chrzciciel ich dobija .

Stodoła już daleko ; bojąc się odvodu
Długiego , Ryków skoczył pod parkan ogrodu ,

Tam pierzchającą rotę zatrzymuje w biegu,
 Szykuje, lecz szyk zmienia; z jednego szeregu
 Robi trójkąt, klin ostry wystawując s przodu,
 A dwa boki opiera o parkan ogrodu.
 Dobrze zrobił, bo jazda nań od zamku wali.

Hrabia, który był w zamku pod strażą Moskali,
 Gdy pierzchała straż złęknona, dworzan na koń wsadził,
 I słysząc strzały, w ogień jazdę swą prowadził,
 Sam na czele z żelazem nad głowę wzniesionem.
 Wtém Ryków krzyknął: ognia pół batalionem!
 Przeleciała po zamkach wzdłuż nitka ognista,
 I s czarnych rur wytkniętych świsnęło kul trzysta.
 Trzech jezdnych padło rannych, jeden trupem leży.
 Padł koń Hrabi, spadł Hrabia; Klucznik krzycząc bieży
 Na ratunek, bo widzi, Jegry na cel wzięli
 Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli.
 Robak był bliższy, Hrabie ciałem swym zakrywa,
 Dostał za niego postrzał, spod konia dobywa,
 Uprowadza; a szlachcie każe się rozstąpić,
 Lepiej mierzyć, postrzałów nadaremnych skąpić,
 Kryć się za płoty, studnię, za ściany obory;

Hrabia z jazdą ma czekać sposobniejszej pory.

Plany Robaka pojął i wykonał cudnie
 Tadeusz, stał ukryty za drewnianą studnię:
 A że trzeźwy i dobrze strzelał z dubeltówki
 (Mógł trafić do rzuconej w powietrze złotówki),
 Okropnie razi Moskwę, starszyzną wybiera,
 Za pierwszym zaraz strzałem ubił Feldfebera.
 Potem z dwóch rur raz po raz dwóch szerszantów sprząta,
 Mierzy to po galonach, to w środek trójkąta
 Gdzie stał sztab; zaczęł Ryków gniewa się i dąsa,
 Tupa nogami, szpady swęj rękojeść kąsa.
 Majorze Płucie, woła, co to s tego będzie?
 Wkrótce tu nie zostanie nikt z nas przy komędzie!

Więc Płut na Tadeusza krzyknął z wielkim gniewem:
 Panie Polak, wstydz się Pan chować się za drzewem,
 Niebądź tchórz, wyjdź na środek, bij się honorowie
 Po żołniersku. — A na to Tadeusz odpowie:
 Majorze! jeśli jesteś tak śmiałym rycerzem,
 A czegoż ty się chowasz za Jegrów kołnierzem?
 Nie tchórzę ja przed tobą, wynidźno z za płotów,

Dostałeś w twarz, jam przecie bić się s tobą gotów!
 Po co krwi rozlew! między nami była zwada,
 Niechajże ją roztrzygnie pistolet lub szpada.
 Daję ci broń na wybor, od działa do szpilki;
 A nie, to was wystrzelam jako w jamie wilki.
 I to mówiąc wystrzelił, a tak dobrze mierzył
 Że Porucznika obok Rykowa uderzył.

Majorze, szepnął Ryków, wyjdź na pojedynek;
 I pomścij się za jego raniejszy uczynek.
 Jeśli tego szlachcica kto inny zabije,
 To Major widzi, Major hańby swój nie zmyje.
 Trzeba tego szlachcica na pole wywabić,
 Nie można s karabina, to choć szpadą zabić.
Co puka to nie sztuka, to wolę co kole,
 Mówił stary Suworów; wyjdź Majorze w pole,
 Bo on nas powystrzela, patrz, bierze do celu.
 Na to rzekł Major: Ryków! miły przyjacielu,
 Ty jesteś zuch na szpady, wyjdź ty bracie Ryków,
 Lub wiesz co, wysłem kogo z naszych poruczników.
 Ja Major, ja nie mogę odstąpić żołnierzy,
 Do mnie batalionu komęda należy. —

Słyszac to Ryków, szpadę podniosł, wyszedł śmiało,
 Kazał ognia zaprzestać, machnął chustką białą.
 Pyta się Tadeusza jaką broń podoba;
 Po układach, na szpady zgodzili się oba.
 Tadeusz broni nie miał; gdy szukano szpady,
 Wskoczył Hrabia zbrojny i zerwał układy.

— Panie Soplico! wołał, s przeproszeniem Pana,
 Pan wyzwałeś Majora! ja do Kapitana
 Mam dawniejszą urazę, on do zamku mego
 (Mów Pan, przerwał Protazy, do zamku naszego)
 On wpadł, rzekł kończąc Hrabia, na czele złodziejów,
 On, poznałem Rykowa, wiązał mych dżokejów.
 Skarzę go, jakom zbójców skarał pod opoką,
 Którą Sycylianie zwa Birbante - rokkó.

Uciszyli się wszyscy, ustało strzelanie,
 Wojska ciekawe patrzą na wodzów spotkanie:
 Hrabia i Ryków idą, obróćeni bokiem,
 Prawą ręką i prawém grożąc sobie okiem;
 W tém lewemi rękami odkrywają głowy
 I kłaniają się grzecznie (zwyczaj honorowy,

Nim przyjdzie do zabójstwa, naprzód się przywitać).
Już spotkały się szpady i zaczęły zgrzytać ;
Rycerze wznosząc nogi, prawemi kolany
Przyklękają, w przód i w tył skacząc naprzemiany.

Ale Płut Tadeusza widząc przed swym frontem,
Naradzał się po cichu z Gifrejterem Gontem,
Który w rocie uchodził za pierwszego strzelca.
Gonto, rzekł Major, widzisz ty tego wisielca, /
Jeśli mu wsadzisz kulę, tam pod piątym żebrem,
To dostaniesz odemnie cztery ruble srebrem.
Gont odwodzi karabin, do zamka się chyli,
Wierni go towarzysze płaszczami okryli,
Mierzy, nie w żebro, ale w głowę Tadeusza,
Strzelił i trafił, blisko, w środek kapelusza.
Określił się Tadeusz, aż Kropiciel wpada
Na Rykowa, a za nim szlachta krzycząc: zdrada!
Tadeusz go zasłania, ledwie zdołał Ryków
Zrejterować się i wpaść we środek swych szyków.

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w zawody,
I pomimo dawniejsze dwóch stronnictw niezgody

Walczą jak bracia, jeden drugiego zachęca.
Dobrzyńscy widząc jak się Podhajski wykrecą
Tuż przed szeregiem Jegrów i kosą ich kraje,
Zawołał z radością: Niech żyją Podhaje!
Naprzód bracia Litwini, górą, górą Litwa!
Skołubowie zaś widząc jak waleczny Brzytwa
Choć ranny, leci s szablą wzniesioną do góry,
Krzyknęli: górą Maćki, niech żyją Mazury!
Dodawszy wzajem serca biegną na Moskali,
Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymywali.

Gdy tak na rotę Jegrów uderzano s przodu,
Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu;
Przy boku jego stąpał ostróżny Protazy,
A Wojski mu po cichu wydawał rozkazy.

Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,
O który się opierał Ryków swym trójgranem,
Wielka stara sernica, budowana w kratki
Z balek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.
W niej świeciły się białych sów wiele kopy;
W koło zaś wahały się suszące się snopy

Szałwii, benedykty kardy, macierzanki,
 Cała zielna domowa apteka Wojszczanki.
 Sernica w górze miała wszere sążni pół czwarta,
 A u dołu na jednym wielkim słupie wsparta,
 Niby gniazdo bocianie. Stary słup dębowy
 Pochylił się, bo już był wygnił do połowy,
 Groził upadkiem. Nieraz Sędziemu radzono,
 Aby zrzucił budowę wickiem nadwątloną;
 Ale Sędzia powiadał, że woli poprawiać
 Anizeli rozrzucac, albo też przestawiać.
 Odkładał budowanie do sposobnej pory,
 Tymczasem pod słup kazał wetknąć dwie podpory.
 Tak pokrzepiona ale nie trwała budowa,
 Wyglądała za parkan nad trójkąt Rykowa.

Ku tej sernicy Wojski z Woźnym milczkiem idą,
 Każdy zbrojny ogromnym drągiem jakby dzidą;
 Za nimi ochmistrzyni dąży przez konopie
 I kucheik, małe ale bardzo silne chłopie.
 Przyszedłszy drągi wparli w wierzech słupa nadgniły,
 Sami u końców wisząc pchają s całej siły,
 Jako flisy uwięzłą na rapach wicinę

Długiemii drągi z brzegu pędzą na głębinię.

Trzasnął słup, już sernica chwieje się, i wali
 Z brzemieniem drzew i serow na trójkąt Moskali,
 Gniece, rani, zabija; gdzie stały szeregi,
 Leżą drwa, trupy, séry białe jako śniegi
 Krwią i mózgiem splamione. Trójkąt w sztuki pryska,
 A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa błyska,
 Siecze Różga, od dworu wpada szlachty tłuszcza,
 A Hrabia od bram jazdę na rozpierzchnych puszcza.

Już tylko ośmiu Jegrów s szerżantem na czele
 Bronią się, bieży Klucznik, oni stoją śmieie,
 Dziewięć rur wymierzyli prosto w łeb Kluczniaka,
 On leci na strzał, kręcąc ostrze scyzoryka.
 Widzi to Książdz, zabiega Klucznikowi drogę,
 Sam pada i podbija Gerwazemu nogę.
 Upadli, właśnie kiedy pluton ognia dawał;
 Ledwie ołów prześwisnął, już Gerwazy wstawał,
 Już wskoczył w dym; dwom Jegróm zaraz głowyzmiata,
 Uciekają strwożeni, Klucznik goni, płata;
 Oni biegną dziedzińcem, Gerwazy ich torem,

Wpadają we drzwi gumna stojące otworem,
 I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał,
 Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał,
 Bo przeze drzwi jęk słychać, wrzask i gęste razy.
 Wkrótce ucichło wszystko; wyszedł sam Gerwazy
 Z mieczem krwawym.

Już szlachta odzierżyła pole,
 Porozpędzanych Jegrów śiega, rąbie, kole;
 Ryków sam został, krzyczy że bronii nie złoży,
 Biję się, gdy ku niemu podszedł Podkomorzy
 I wznosząc karabellę, rzekł poważnym tonem:
 Kapitanie! nie splamisz czci twojej pardonem,
 Dałeś próby rycerzu nieszczesny lecz mężny
 Twojej odwagi, porzuc opór niedołężny,
 Złóż broń nim cię naszemi szablami rozbroim,
 Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!

Ryków Podkomorzego zwalczony powagą,
 Skłonił się i oddał mu swoją szpadę naga,
 Skrwawioną po rękojeść i rzekł: Lachy braty!
 Oj biada mnie żem nie miał choć jednej armaty!

Dobrze mówił Suworów: pomnij Ryków kamrat
 Żebyś nigdy na Lachów niechodził bez armat!
 Cóż! Jegry byli pjani, Major pić pozwolił!
 Oh Major Płut, on dzisiaj bardzo poswywolił!
 On odpowie przed Carem, bo on miał komędę.
 Ja, Panie Podkomorzy, wasz przyjaciel będę.
 Ruskie przystowie mówi: kto się mocno lubi,
 Ten Panie Podkomorzy i mocno się czubi.
 Wy dobrzy do wypitki, dobrzy do wybitki,
 Ale przestańcie robić nad Jegrami zbytki.

Podkomorzy słysząc to, karabellę wznasza
 I przez Woźnego pardon powszechny ogłasza,
 Każe rannych opatrzyć, s trupów czyścić pole,
 A Jegrów rozbrojonych prowadzić w niewolę.
 Długo szukano Płuta; on w krzaku pokrzywy
 Zarywszy się głęboko, leżał jak nieżywy;
 Wyszedł wreszcie ujrzawszy, że było po bitwie.
 Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.



KSIĘGA DZIESIĄTA.

EMIGRACYA. JACEK.

TREŚĆ.

Narada tycząca się zabezpieczenia losu zwycięzców — Układy z Rykowem — Pożegnanie — Ważne odkrycie — Nadzieja.

Owe obłoki ranne z razu rospierzchnione
Jak czarne ptaki, lecące w wyższą nieba stronę
Coraz się zgromadzały ; ledwie słońce zbiegło
S południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą ; wiatr ją pędził coraz chyżej,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej,
Aż jedną stroną na wpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszecz rozpostarta,

Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy; i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby s trwogi oniemiało.
I łany zbóż co wprzódki kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosaми złotemi
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I pogładają w niebo najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwć, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długimi kręciły ramiony,
Rospuszczając na wiatry warkocz posrebrzony;
Teraz jak martwe, z niemć wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów Sybilskiej Nioby.
Jedna osina drżąca, wstrząsa liście siwe.

Bydło zwykle do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając stawę do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogim.

Krowa coraz ku ziemi wznosi wjelkie oko,
Usta z dziwu otwiera, i wzdycha głębokoo;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwytą.

Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy;
Tylko wrony stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język s suchej szerokiej gardzieli
I skrzydła rostaczając czekają kąpieli;
Lecz i te przewidując nazbyt mocną burzę
Już w las ciągną, podobne wznoszącć się chmurze.
Ostatnia s ptaków lotem nieścigłym zuchwała
Jaskułka, czarny obłok przesywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula.

Właśnie w owej chwili

Szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyli,
I chronią się gromadnie w domy i stodoły,
Opuszczają plac boju, gdzie wkrótce żywioły
Stoczą walkę.

Na zachód, jeszcze ziemia słońcem ozłocona,
 Świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona;
 Już chmura rostaczając cienie nakształt sieci,
 Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
 Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
 Kilka wichrów raz poraz prześwisnęło spodem,
 Jeden za drugim lecą miecąc krople dżdżyste,
 Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
 Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
 Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
 Wpadli na łaki, świszczą po łozach i trawach,
 Pyskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
 Na wiatr, jako garściami wyrwane włosy,
 Zmieszane s kędziorami snopów; wiatry wyją
 Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
 Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu
 Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemiu,
 Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
 Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
 Co krok wszerez wydyma się, rostwiera ku górze,

I ogromną swą trąbą otrębuje burze.
 Aż s całym tym chaosem wody i kurzawy,
 Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
 Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
 Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy,
 Jak s sita, w gęstych kroplach; w tém rykły pioruny,
 Krople zlały się razem; to jak proste stróny,
 Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
 To jak z wiader buchają warstami całemi.
 Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
 Noc je z burzą od nocy ciemniejszą zaciemia.
 Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
 I anioł burzy nakształt niezmiernego słońca,
 Rozświeci twarz, i znowu okryty całunem
 Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
 Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
 I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
 Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę usnie;
 Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie.

Aż się uspokoiło wszystko; tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

W takim dniu, pożądany był czas najburzliwszy;
Bo nawałnica, boju plac mrokiem okrywszy,
Zalała drogi, mosty zerwała na rzece,
S folwarku niedostępną zrobiła fortecę.
O tém więc co się działo w obozie Soplecy,
Dziś nie mogła rozejść się wieść po okolicy,
A właśnie zawisł szlachty los od tajemnicy.

W izbie Sędziego ważne toczą się narady;
Bernardyn, leżał w łóżku, zmordowany, blady
I skrwawiony, lecz całkiem zdrowy na umyśle,
Daje rozkazy, Sędzia wypełnia je ściśle.
Prosi Podkomorzego, przyzywa Klucznika,
Każe przywieść Rykówna, potem drzwi zamyka.
Godzinę całą trwały tajemne rozmowy,
Aż je przerwał kapitan Rykowna temi słowy,
Rzucając na stół kiesę ciężką dukatami:
— Państwo Lachy, już jest ta gadka między wami,
Że każdy Moskal złodziej; powiedźcież, kto spyta

Że znaleźcie Moskala, który zwan Nikita
Nikitycz Ryków, rotny Kapitan, miał osim
Medalów i trzy krzyże, to pamiętać prosim.
Ten medal za Oczaków, ten za Izmajłów,
Ten za bitwę pod Nowi, ten za Preisiz—Hów,
Tamten za Korsakowa sławną rejteradę
S pod Zurich; a miał także i za męstwo szpadę,
Także od Feldmarszałka trzy zadowolnienia,
Dwie pochwały Cesarskie i cztery wspomnienia,
Wszystko na piśmie —

— Ale, ale Kapitanie,
Przerwał Robak, i cóż się tedy z nami stanie,
Jeśli niechcesz zgodzić się; wszakże dałeś słowo
Załatwić tę rzecz —

Prawda, słowo dam na nowo,
Rzecz Ryków, ot słowo! Co po waszej zgubie?
Ja człek poczciwy, ja was Państwo Lachy lubię,
Że wy ludzie weseli, dobrzy do wypitki,
I także ludzie śmiali, dobrzy do wybitki.
U nas Ruskie przysłowie: kto na wozie jedzie,

Bywa często pod wozem; kto dzisiaj na przedzie,
 Jutro w tyle; dziś bijesz, jutro ciebie biją;
 Czy o to gniew? tak u nas po żołniersku żyją.
 Skądby się człowiekowi tyle złości wzięło
 Gniewać się o przegranę! Oczakowskie dzieło
 Było krwawe, pod Zurich zbili nam piechotę,
 Pod Austerlicem całą utraciłem rotę;
 A pierwej wasz Kościuszko pod Racławicami,
 Byłem serżantem, wysiekł mój pluton kosami.
 I cóż stąd? to ja znowu u Maciejowiców
 Zabiłem własnym sztykiem dwóch dzielnych szlachciców,
 Jeden był Mokronowski, szedł s kosą przed frontem,
 I kanonierowi uciął rękę z lontem.
 Oj! wy Lachy! Ojczyzna! ja to wszystko czuję,
 Ja Ryków; Car tak każe, a ja was żałuję,
 Co nam do Lachów? Niechaj Moskwa dla Moskala,
 Polska dla Lacha; ale cóż? Car niepozwała!

— Sędzia mu na to rzecze: Panie Kapitanie
 Żeś człek poczciwy wiedzą to wszyscy ziemianie,
 U których na kwaterach stałeś od lat wielu;
 Za ten dar nie gniewaj się dobry przyjacielu,

Niecheieliśmy cię skrzywdzić; te oto dukaty,
 Smieliśmy złożyć wiedząc żeś człek niebogaty.

— Ach Jegry! wołał Ryków, cała rota skłuta!
 Moja rota! a wszystko z winy tego Płuta!
 On komendant, on za to przed Carem odpowie,
 A wy te grosze sobie zabierzcie panowie,
 U mnie jest kapitański mój żołd ladajaki,
 A dosyć mnie na ponczyk i lułkę tabaki.
 A was lubię, że z wami sobie zjem, popiję,
 Pohulam, pogawędzę, i tak sobie żyję;
 Oto ja was obronię, i jak będzie śledztwo,
 Słowo uczciwe, że dam za wami świadectwo,
 Powiem że my przyszli tu z wizytą, pili
 Sobie, tańczyli, trochę sobie podchmielili,
 A Płut przypadkiem ognia zakomęderował,
 Bitwa! i batalion tak jakoż zmarnował.
 Wy Pany tylko śledztwo pomazujecie złotem,
 Będzie kręcić się. Ale teraz powiem o tém
 Co już mówiłem temu szlachcicu, co długi
 Ma rapier, że Płut pierwszy komendant, ja drugi:
 Płut został żywy, może on wam zagiąć kruczka

Takiego, że zginiecie, bo to chytra sztuczka;
Trzeba mu gębę zatkać bankowym papierem.
No i cóż Panie szlacheic, ty z długim rapierem,
Czy już byłeś u Płuta? czyś się z nim naradził?

— Gerwazy obejrzał się, łysinę pogładził,
Kiwnął niedbale ręką, jak gdyby znać dawał
Że już wszystko załatwił.— Lecz Ryków nastawał:
Cóż czy Płut będzie milczeć, czy słowem zaręczył?
— Klucznik zły że go Ryków pytaniami dręczył,
Poważnie palec wielki ku ziemi naginał,
A potem, machnął ręką jak gdyby przecinał
Dalszą rozmowę, i rzekł: klnę się seyzorykiem
Że Płut nie wyda! gadać już nie będzie z nikim! —
Potem dłonie opuścił i palcami chrząsnął,
Jak gdyby tajemnicę całą z rąk wytrząsnął.

Ten ciemny giest pojęli słuchacze, i stali
Patrząc z dziwem na siebie, wzajem się badali,
I posępne milczenie trwało minut kilka.
Aż Ryków rzekł: nosił wilk, ponieśli i wilka!
— Requiescat in pace, dodał Podkomorzy!

— Jużci, zakończył Sędzia, był w tém palec Boży!
Lecz ja téj krwi nie winien, jam o tém nie wiedział—

Ksiądz porwał się s poduszek i posępny siedział.
Nakoniec rzekł, spójrząwszy bystro na Klucznika:
Wielki grzech bezbronego zabić niewolnika!
Chrystus zabrania mścić się nawet i nad wrogiem!
Oj Kluczniku! odpowiesz ty ciężko przed Bogiem.
Jedna jest restrykcya, jeśli popełniono
Nie z zemsty głupiej ale pro publico bono.
— Klucznik głową i ręką kiwał wyciągnioną,
I mrugając powtarzał: pro publico bono!

Więcej nie było mowy o Płucie Majorze;
Nazajutrz daremnie go szukano we dworze,
Daremnie wyznaczano za trupa nagrodę,
Major zginął bez śladu jak gdyby wpadł w wodę;
Co się z nim stało różnie powiadano o tém,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potem.
Daremnie pytaniami Klucznika dręczono;
Nic nie wyrzekł, prócz tych słów: pro publico bono.
Wojski był w tajemnicy, lecz słowem ujęty

Honorowém, staruszek milezał jak zakłęty.

Po zawarciu układów wyszedł z izby Ryków,
A Robak kazał wezwać szlachtę wojowników,
Do których Podkomorzy s powagą tak mowi:
—Bracia! Bóg dziś naszemu szczęścił orężowi,
Ale muszę Wać Państwu wyznać bez ogródki,
Że s tych niewczesnych bojów złe wynikną skutki;
Zbłądziliśmy, i nikt tu z nas nie jest bez winy;
Książd Robak że zbyt czynnie rozszerzał nowiny,
Klucznik i szlachta że je pojęła opacznie.

Wojna z Rossyą jeszcze nie prędko się zacznie,
Tymczasem kto miał udział najczynniejszy w bitwie,
Ten nie może bezpieczny zostać się na Litwie;
Musicie więc do Księstwa uciekać Panowie,
A mianowicie Macieź co się Chrzciciel zowie,
Tadeusz, Konew, Brzytew, niech unoszą głowy
Za Niemen, gdzie ich czeka zastęp narodowy;
My na was nieobecnych całą winę zwalim,
I na Płuta, tak resztę rodzeństwa ocalim.
Żegnam was nie nadługo; są pewne nadzieje,
Że nam z wiosną swobody zorza zajaśnieje,

I Litwa co was teraz żegna jak tułaczy,
Wkrótce jako zwycięskich swych zbawców zobaczy.
Sędzia wszystko co trzeba zgotuje na drogę.
I ja pieniędzmi ile zdołam, dopomogę. —

Czuła szlachta, że mądrze Podkomorzy radził;
Wiadomo że kto z Ruskim Carem raz się zwadził,
Ten już z nim na téj ziemi nie zgodzi się szczerze,
I musi albo bić się, albo gnić w Sybirze.
Więc nie nie mówiąc, smutnie po sobie spojrzeli,
Westchnęli; na znak zgody głowami skinęli.

Polak chociaż stąd między narodami słynny,
Że bardziej niżli życie kocha kraj rodzinny,
Gotów zawždy rzucić go, puścić się w kraj świata,
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu sród burzy
Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy.

Oświadczyli, że zaraz wyjeżdżać gotowi.
Tylko się to nie zdało Panu Buchmanowi:
Buchman człowiek rozsądny w bitwę się nie wmixsał,

Ale słysząc że radzą, głosować pośpieszał,
 Znajdował projekt dobrym, lecz chciał przeinaczyć,
 Dokładniej go rozwinąć, jaśniej wytłómaczyć,
 A naprzód Komisyją legalnie wyznaczyć
 Któraby rozważyła Emigracji cele,
 Środki, sposoby, tudzież innych względów wiele;
 Nieszczęściem krótkość czasu była na zawadzie,
 Że się niestało zadość Buchmanowej radzie.
 Szlachta żegna się śpiesznie i już w drogę rusza.

Ale Sędzia zatrzymał w izbie Tadeusza,
 I rzekł do Księdza: Czas już żeby ci powiedział
 To o czémem s pewnością wczoraj się dowiedział,
 Że nasz Tadeusz szczerze zakochany w Zosi,
 Niechajże przed odjazdem o rękę jej prosi;
 Mówiłem s Telimeną, już nam nieprzeszkadza,
 Zosia także się z wolą opiekunów zgadza.
 Jeśli dziś ślubem pary nie mogę uwięzić,
 Toćby ich panie bracie, przynajmniej zaręczyć
 Przed odjazdem; bo serce młode i podróżne,
 Wiesz dobrze jako miewa tentacyjne różne.
 A wszakże, kiedy okiem rzuci na pierścionek

I przypomni młodzieniec, że już jest małżonek,
 Zaraz wnim obcych pokus ostyga gorączka.
 Wierzaj mi wielką siłę ma ślubna obrączka.

Ja sam przed lat trzydziestu, wielki affekt miałem
 Ku Pannie Marcie, której serce pozyskałem;
 Byliśmy zaręczeni, Bóg nie błogosławił
 Zwiąskowi temu, i mnie sierotą zostawił,
 Wziąwszy do chwwały swojej nadobną Wojszczankę,
 Przyjaciela mojego córę Hreczeszankę.
 Pozostała mi tylko pamiątka jej cnoty,
 Jej wdzięków, i ten oto ślubny pierścień złoty.
 Ilekroć nań spójrzałem, zawsze ma nieboga
 Stawała przed oczyma; i tak z łaski Boga,
 Dotąd mój narzeczonej dochowałem wiary,
 I niebyszy małżonkiem, jestem wdowiec stary,
 Chociaż Wojski ma drugą córę dość nadobną,
 I do mojej kochanej Marty dość podobną!

To mówiąc na pierścionek s czułością spozierał,
 I odwróconą ręką łzy z oczu ocierał,
 — Bracie, kończył, co myślisz? zrobim zaręczyny?

On kocha, a mam słowo ciotki i dziewczyny.

Lecz Tadeusz podbiega i z żywością mowi :
 Czemże zdołam odwzajemnić dobremu stryjowi,
 Który tak o me szczęście ustawnie się truzdi!
 Ach dobry stryju! byłbym najszczęśliwszy z ludzi,
 Gdyby mi Zosia była dzisiaj zaręczona,
 Gdybym wiedział że to jest moja przyszła żona,
 Przecież powiem otwarcie, dziś te zaręczyny
 Do skutku przyjść nie mogą, są różne przyczyny...
 Nie pytaj więcéj, jeśli Zosia czekać raczy,
 Może mnie w krótcie lepszym, godniejszym obaczy,
 Może stałością na jéj wzajemność zarobię,
 Może troszeczką sławy me imie ozdobię,
 Może wkrótcie w ojczyste wrócim okolice;
 Wtenczas stryju wspomnę ci twoje obietnice,
 Wtenczas na klęczkach drogą powitam Zosienkę,
 I jeśli będzie wolna, poproszę o rękę;
 Teraz porzucam Litwę może na czas długi,
 Może Zosi tymczasem podobać się drugi;
 Więzić jéj woli niechcę, prosić o wzajemność
 Na którąm nie zasłużył, byłaby nikczemność.

Gdy te słowa z uczuciem mówił chłopiec młody,
 Zaświeciły mu, jako dwie wielkie jagody
 Pereł, dwie łzy na wielkich błękitnych źrenicach,
 I stoczyły się szybko po rumianych licach.

Ale Zosia ciekawa z głębin alkowy
 Śledziła przez szczelinę tajemne rozmowy,
 Słyszała jak Tadeusz po prostu i śmiało
 Opowiedział swą miłość, serce w niéj zadrżało,
 I widziała tych wielkich dwoje łez w źrenicach.
 Choć dojsć nie mogła wątku w jego tajemnicach,
 Dla czego ją pokochał? dla czego porzucą?
 Gdzie odjeżdża? przecież ją ten odjazd zasmuca.
 Pierwszy raz posłyszała w życiu z ust młodziana,
 Dziwną i wielką nowość, że była kochana.
 Biegła więc gdzie stał mały domowy ołtarzyk,
 Wyjęła zeń obrazek i relikwiarzyk,
 Na obrazku tym była święta Genowefa,
 A w relikwii, suknia świętego Józefa
 Oblubieńca, patrona zaręczonéj młodzi,
 I s temi świętościami do pokoju wchodzi.

— Pan odjeżdżasz tak prędko? ja Panu na drogę
 Dam podarunek mały i także przestroge :
 Niechaj Pan zawsze s sobą relikwie nosi
 I ten obrazek, a niech pamięta o Zosi.
 Niech Pana Pan Bóg w zdrowiu i szczęściu prowadzi
 I niech prędko szczęśliwie do nas odprowadzi —
 Umilkła, i spuściła głowę; oczki modre
 Ledwie stuliła, z rzęsów pobiegły źry szczodre,
 A Zosia z zamkniętymi stojąc powiekami,
 Milczała, sypiąc łzami jako brylantami.

Tadeusz biorąc dary i całując rękę
 Rzekł : Pani! już ja muszę pożegnać panienkę,
 Bądź zdrowa, wspomnij o mnie, i racz czasem zmówić
 Pacierz za mnie! Zofio!... więcej nie mógł mówić.

Lecz Hrabia, s Telimeną wszedłszy niespodzianie,
 Uważał młodej pary czułe pożeganie,
 Wzruszył się i rzuciwszy wzrok ku Telimencie,
 He! rzekł, jest piękności choć w tej prostej scenie!
 Kiedy dusza pasterki z wojownika duszą,
 Jak łódź z okrętem w burzy rozłączyć się muszą!

Zaiste! nie tak uczuć w sercu nie rozpala,
 Jako kiedy się serce od serca oddala.
 Czas jest to wiatr, on tylko małą świecę zdmuchnie,
 Wielki pożar od wiatru tém mocniej wybuchnie.
 I moje serce zdolne mocniej kochać zdala.
 Panie Soplico! miałem ciebie za rywala;
 Ten błąd był jedną s przyczyn naszej smutnej zwady,
 Która mię przymusiła dostać na was szpady.
 Postrzegam błąd mój; boś ty wzdychał ku pasterce,
 Ja zaś tej pięknej Nimfie oddałem me serce.
 Niech we krwi wrogów nasze utoną urazy,
 Niebędziem się zbójczemi rozpierać żelazy.
 Niech się inaczej spór nasz zalotny roztrzygnie,
 Walczmy! kto kogo czuciem miłości wyścignie!
 Zostawim oba drogie serc naszych przedmioty,
 Pośpieszmy obadwa na miecze na groty;
 Walczmy s sobą stałością, żalem i cierpieniem,
 A wrogów naszych mężném ścigajmy ramieniem.
 — Rzekł i na Telimenę spojrzął, ale ona
 Nic nieodpowiadała strasznie zadziwiona.

Mój Hrabio, przerwał Sędzia, poco chcesz koniecznie

Wyjeżdżać, wierz mi, w twoich dobrach siedź bezpiecznie.
 Szlachtę biedną rząd mógłby odrzucić i przechłostać,
 Ale ty Hrabio pewien jesteś cały zostać;
 Wiesz w jakim rządzie żyjesz, jesteś dość bogaty,
 Wykupisz się od więzień połową intraty.

— To nie zgodna, rzekł Hrabia, z moim charakterem,
 Nie mogę być kochankiem, będę bohaterem;
 W miłości troskach, sławy zwę pocieszycielki,
 Gdy jestem nędzarz sercem, będę ręką wielki.

Telimena pytała: kóż Panu przeszkadza
 Kochać i być szczęśliwym! — Mych przeznaczeń władza,
 Rzekł Hrabia; ciemność przeczuć, które ruchem tajnym
 Rwą się ku stronom obcym, dziełom nadzwyczajnym.
 Wyznaję, że dziś chciałem na cześć Telimenie
 U ołtarzów Hymena zapalić płomień,
 Ale mi dał zbyt piękny przykład ten młodzieniec,
 Sam dobrowolnie ślubny swój zrywając wieniec,
 I biegnąc serca swego doświadczać w przeszkodach
 Zmiennych losów, i w krwawych wojennych przygodach.
 Dziś otwiera się nowa i dla mnie Epoka!

Brzmiała odgłosem broni méj Birbante-roka,
 Oby ten odgłos równie w Polsce się rozszerzył!
 — Skończył, i dumnie szpady rękojeść uderzył.

Jużci, rzekł Robak, trudno ganić tę ochotę;
 Jedź, weź pieniądze, możesz uszyftować rotę
 Jak Włodzimierz Potocki, co Francuzów zdziwił
 Dając na skarb milion, jak książę Radziwiłł
 Dominik, co zastawił dobra swe i sprzęty
 I dwa uzbroił nowe konne regimenty.
 Jedź, jedź, a weź pieniądze; ręk tam dosyć mamy,
 Ale grosza brak w Księstwie, jedź Wasze, żegnamy.

Telimena smutnemi rzuciwszy oczyma,
 Niestety, rzekła, widzę że cię nie wstrzyma!
 Rycerzu mój, w wojenne kiedy wstąpisz szranki,
 Obróć czułe spójnienie na kolor kochanki
 (Tu wstążkę oderwawszy od sukni, zrobiła
 Kokardę i na piersiach Hrabi przyszpiliła)
 Niech cię ten kolor wiedzie na dzieła ogniste,
 Na kopje błyszczące i deszcze siarczyste,
 A kiedy się rozstawisz walecznemi czyny,

I gdy nieśmiertelnymi przesłonił wawrzyny
 Skrwawiony szyszak i hełm twój zwycięstwem hardy,
 I wtenczas jeszcze oko zwróć do tej kokardy.
 Wspomnij czyja ten kolor przyszpiliła ręka —
 Tu mu podała rękę — Pan Hrabia przykleka,
 Całuje, Telimena zbliżyła do oka
 Chustkę, a drugim okiem ogląda z wysoka
 Na Hrabie, który żegnał ją mocno wzruszony.
 Ona wdychała, ale ruszyła ramiony.

Lecz Sędzia rzekł: mój Hrabio, śpiesz się, bo już późno —
 A ksiądz Robak — dość tego — wołał z miną groźną,
 Spiesz się Wasze. — Tak rozkaz Sędziego i Księdza
 Rozdziela czułą parę i z izby wypędza.

Tymczasem Pan Tadeusz stryja obejmował
 Ze łzami, i Robaka w rękę pocałował,
 Robak ku piersiom chłopca przycisnąwszy skronie
 I na głowie mu na krzyż położywszy dłońie,
 Spójrzył ku niebu i rzekł: Synu! s Panem Bogiem —
 I zapłakał... A już był Tadeusz za progiem.
 — Jakto? zapytał Sędzia, nic mu brat nie powie?

I teraz? biedny chłopiec, jeszcze się nie dowie
 O niczym! przed odjazdem? — Nie, rzekł Ksiądz, o niczym.
 (Płacząc długo z zakrytymi rękami obliczem)
 I pocóż by miał wiedzieć biedny, że ma ojca
 Który się skrył przed światem, jak łotr, jak zabojeca?
 Bóg widzi jak pragnąłbym, ale s tej pociechy
 Zrobię Bogu ofiarę, za me dawne grzechy.

Więc, rzecze Sędzia, teraz czas myśleć o sobie,
 Uważ że człowiek w twoim wieku i chorobie
 Nie zdołałby z innymi razem emigrować;
 Mówiłeś że wiesz domek, gdzie się masz przechować,
 Powiedz gdzie? spieszmy, czeka zaprzężona bryka,
 Czy nie najlepiej w puszcze, do chaty leśnika.

Robak kiwając głową, rzekł: do jutra rana
 Mam czas, teraz mój bracie poslij do Plebana
 Aby tu jak najrychlej przybył z wiatykiem,
 Oddalstąd wszystkich, zostań tylko sam s Klucznikiem.
 Zamknij drzwi. —

Sędzia spełnił Robaka rozkazy

I usiada na łóżko przy nim ; a Gerwazy,
Stoi , łokieć przytwierdza na główni rapiera,
A czołło pochylone na dłoniach opiera.

Robak nim zaczął mówić, w Klucznika oblicze
Wzrok utkwił , i milczenie chował tajemnicze.
A jako Chirurg naprzód miękką rękę składa
Na ciele chorującym, nim ostrzem raz zada ;
Tak Robak wyraz bystrych oczu swych zflagodził,
Długo nimi po oczach Gerwazego wodził ,
Nakoniec jakby ślepym chciał uderzyć ciosem ,
Zasłonił oczy ręką , i rzekł mocnym głosem :

Jam jest Jacek Soplica...

Klucznik na to słowo ,

Pobladał , pochylił się , i ciała połową
Wygięty naprzód , stanął , zwił na jednej nodze,
Jak głąz lecący z góry zatrzymany w drodze.
Oczy rozziwiał , usta szeroko rozszerzał
Grożąc białemi zębami , a wąsy najeżał ,
Rapier z rąk upuszczony , przy ziemi zatrzymał

Kolanami , i głównie prawą ręką miał
Cisnąć ją ; rapier s tyłu za nim wyciągniony,
Długim czarnym swym końcem chwiał się w różne strony.
I Klucznik był podobny rysiowy rannemu ,
Który z drzewa ma skoczyć w oczy myśliwemu ,
Wydyma się kłębuszkiem , mruczy , krwawe ślepie
Wyiskrza , wąsy rusza , i ogonem trzepie.

Panie Rębajło , rzekł Ksiądz , już mię nie zatrwożą
Gniewy ludzkie , bo jestem już pod ręką Bożą ;
Zaklinam cię na imie Tego co świat zbawił
I na krzyżu zabójcom swoim błogosławił ,
I przyjął prośbę łotra ; byś się udobruchał ,
I to co mam powiedzieć , cierpliwie wysłuchał ;
Sam przyznałem się , muszę dla ulgi sumienia
Pozyskać , a przynajmniej prosić przebaczenia,
Posłuchaj mej spowiedzi ; potem zrobisz sobie
Ze mną , co chcesz . — I tu złożył ręce obie
Jak do pacierza ; Klucznik cofnął się zdumiony ,
Uderzał ręką w czołło i ruszał ramiony .

A Ksiądz zaczął swą dawną z Horeszką zażyłość

Opowiadać i swoją z jego córką miłość,
 I swe s tego powodu s Stolnikiem zatargi.
 Lecz mówił nieporządnie, często mięszał skargi
 I żale we swą spowiedź, często rzecz przecinał
 Jak gdyby już ją kończył, i znowu zaczynał.

Klucznik dzieje Horeszków znający dokładnie,
 Całą tę powieść chociaż splątana bezładnie,
 Porządkował w pamięci i dopełniać umiał;
 Lecz Sędzia wielu rzeczy zgoła nierozumiał.
 Oba pilnie słuchali pochyliwszy głowy,
 A Jacek mówił coraz wolniejszemi słowy
 I często zarywał się.

* * *

Wszak sam wiesz Gerwazeńku, jak Stolnik zapraszał
 Często mnie na biesiady; zdrowie moje wnaszał,
 Krzyczał nieraz do góry podniosłszy szklenicę,
 Że niemiał przyjaciela nad Jacka Soplicę;
 Jak on mnie ścisnął! Wszyscy którzy to widzieli
 Myślili, że on zemną duszą się podzieli.

On przyjaciel? on wiedział, co się wtenczas działo
 W duszy mojej!

* * *

Tymczasem już szeptała o tém okolica,
 Jaki taki gadał mi: ej Panie Soplica
 Daremnie konkurujesz, dygnitarskie progi
 Zawysokie na Jacka Podczaszycza nogi.
 Ja śmiałem się, udając że drwiłem z magnatów
 I s córek ich, i niedbam o arystokratów,
 Że jeśli bywam u nich, s przyjaźni to robię,
 A za żonę nie pojmem tylko równą sobie.
 Przecież bodły mi duszę do żywca te żarty;
 Byłem młody, odważny, świat był mnie otwarty
 W kraju gdzie jako wiecie szlachcic urodzony
 Jest za równo s Panami kandydat korony!
 Wszakże Tęczyński niegdyś s królewskiego domu
 Żądał córy, a król mu oddał ją bez sromu.
 Sopliców czyż nierówne Tęczyńskim zaszczyty
 Krwią, herbem, wierną służbą Rzeczypospolitęj!

* * *

Jak łatwo może człowiek popsuć szczęście drugim
 W jednej chwili ; a życiem nie naprawi długiem !
 Jedno słowo Stolnika, jakżebyśmy byli
 Szczęśliwi ! kto wie , może dotąd byśmy żyli ,
 Może i on przy swoim kochaném dziecięciu,
 Przy swojej pięknej Ewie, przy swym wdzięcznym zięciu
 Zestarzałby spokojny! może wnuki swoje
 Kołysałby! teraz co? nas zgubił oboje,
 I sam — i to zabójstwo — i wszystkie następstwa
 Tęj zbrodni, wszystkie moje biedy i przestępstwa!
 Ja skarżyć nie mam prawa, ja jego modera,
 Ja skarżyć nie mam prawa, przebaczam mu s serca,
 Ale i on....

* * *

Żeby już raz otwarcie był mnie zrekuzował,
 Bo znał nasze uczucia; gdyby nieprzyjmował

Mych odwiedzin ; to kto wie? możebym odjechał ,
 Pogniewał, połajał, w końcu go zaniechał ;
 Ale on chytrze dumny, wpadł na koncept nowy,
 Udawał że mu nawet nieprzyszło do głowy
 Żeby ja mógł się starać o związek takowy.
 A byłem mu potrzebnym, miałem zachowanie
 U szlachty, i lubili mnie wszyscy ziemianie.
 Więc on niby miłości mojej niedostrzegał,
 Przyjmował mnie jak dawniej, a nawet nalegał
 Abym częściej przyjeżdżał ; a ilekroć sami
 Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami
 I pierś zbyt pełną i już wybuchnąć gotową,
 Chytry starzec , wnet wrzucił obojętne słowo
 O processach, sejmikach, łowach —

* * *

Ach nie raz przy kieliszkach , gdy się tak rozrzewniał,
 Gdy mię tak ścisnął i o przyjaźni zapewniał
 Potrzebując mej szabli, lub kreski na sejmie ,
 Gdy musiałem nawzajem ścisnąć go uprzejmie,
 To tak we mnie złość wrzała , że ja obracałem

Slinę w gębie, a dłońią rękojeść sciskałem,
 Chcąc plunąć na tę przyjaźń i wnet szabli dostać;
 Ale Ewa zważając mój wzrok i mą postać,
 Zgadywała niewiem jak, co się we mnie działo,
 Patrzyła błagająca, lice jej bledniało,
 A był to taki piękny gołąbek, łagodny,
 I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny!
 Taki anielski, że już niewiem, już nie miałem
 Odwagi zagniewać ją, zatrwożyć — milezałem.
 I ja zawadżając sławny w Litwie całej,
 Co przedemną największe Pany nieraz drżały,
 Com nieżył dnia bez bitki, co nie Stolnikowi
 Ale bym się pokrzywdzić nie dał i królowi;
 Co we wściekłość najmniejsza wprawiała mnie sprzeczką,
 Ja wtenczas zły i pijany, milezał jak owieczka!
 Jak gdybym sanktissimum ujrzał!

* * *

Ileż to razy chciałem serce me otworzyć,
 I już się nawet przed nim do proźb upokorzyć,
 Lecz spojrzawszy mu w oczy, spotkawszy wejrzenia

Zimne jak lód, wstyd mi był mego wzruszenia;
 Spieszyłem znowu jak najzimniej dyskurować
 O sprawach, o sejmikach, a nawet żartować.
 Wszystko to prawda s pychy, żeby nie ubliżyć
 Imieniowi Sopliców, żeby się nie zniżyć
 Przed Panem proźbą próżną, nie dostać odmowy,
 Bo jakieżby to były między szlachtą mowy,
 Gdyby wiedziano, że Jacek....

* * *

Soplicy Horeszkowię odmówili dziewkę!
 Ze mnie Jackowi czarną podano polewkę!

W końcu sam już nie wiedząc jak sobie poradzić,
 Umyśliłem ze szlachty mały półk zgromadzić
 I opuścić na zawsze powiat i Ojczyznę,
 Wynieść się gdzie na Moskwę lub na Tatarszczyznę
 I zacząć wojnę. Jadę pożegnać Stolnika,
 W nadziei że gdy ujrzy wiernego stronnika,
 Dawnego przyjaciela, prawie domownika,
 S którym pił i wojował przez tak długie lata,

Teraz żegnającego i kędyś w kraj świata
 Jadącego — że może starzec się poruszy
 I pokaże mi przecież trochę ludzkiej duszy,
 Jak ślimak rogów!

Ach! kto choć na dnie serca ma dla przyjaciela
 Choćby iskierkę uczucia, gdy się z nim rozdziela,
 Dobędzie się iskierka ta przy pożegnaniu
 Jako ostatni płomyk życia przy skonaniu!
 Raz ostatni dotknąwszy przyjaciela skroni,
 Częstokroć najzimniejsze oko łzę uroni!

* * *

Biedna słysząc o moim odjeździe, pobladała
 Bez przytomności, ledwie że trupem niepadała,
 Nie mogła nic przemówić, aż się jej rzuciły
 Strumieniem łzy — poznałem jak byłem jej miły!

* * *

Pomnę pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał

Z radości i z rozpacz, zapomniał się, szalał,
 Już chciałem znów upaść ojcę jej pod nogi,
 Wić się jak wąż u kolan, wołać: ojcze drogi
 Weź za syna lub zabij! Wtém Stolnik posepny
 Zimny jako słupek soli, grzeczny, obojętny,
 Wszczął dyskurs, o czém? o czém? o córki weselu!
 W téj chwili! o Gerwazy? uważaj przyjacielu,
 Masz ludzkie serce!

. Stolnik rzekł: Panie Soplica,
 Właśnie przyjechał do mnie swat Kasztelanica,
 Ty jesteś mój przyjaciel, cóż ty mówisz na to?
 Wiesz Wasze, że mam córkę piękną i bogatą,
 A Kasztelan Witepski! wszakże to w Senacie
 Niskie, drażkowe krzesło, cóż mi radzisz bracie?
 Nie pamiętam już zgoła co mu na to rzekłem,
 Podobno nic — na konia wsiałem i uciekłem!

* * *

Jacku! zawołał Klucznik, mądre ty przyczyny
 Wynajdujesz, cóż? one nie zmniejszą twój winy!

Bo wszakże zdarzało się już nie raz na świecie,
 Że kto pokochał pańskie lub królewskie dziecko,
 Starał się gwałtem zdobyć, przemyślał wykradać,
 Mścić się otwarcie — ale tak chytrze śmierć zadać!
 Panu Polskiemu! w Polsce, i w zмовie z Moskalem!

— Nie byłem w zмовie, Jacek odpowiedział z żalem.
 Gwałtem porwać? wszak mógłbym, z za krat i za klamek
 Wydarłbym ją, rozbiłbym w puch ten jego zamek!
 Miałem za sobą Dobrzyn i cztery Zaścianki.
 Ach gdyby ona była jak nasze szlachcianki!
 Silna i zdrowa! gdyby ucieczki, pogoni
 Nie zlekła się, i mogła służyć szczęku broni!
 Lecz ona biedna! tak ją rodzice pieścili,
 Słaba, lękliwa! był to robaczek motyli,
 Wiosenna gąsieniczka! i tak ją zagrabić,
 Dotknąć ją zbrojną ręką, byłoby ją zabić,
 Nie mogłem. Nie.

Mścić się otwarcie, szturmem zamek zwalić w gruzy,
 Wstyd, boby powiedziano że mścił się rekuzy!
 Kluczniku, twoje serce poczciwe nie umie

Uczuć, ile jest piekła w obrażonej dumie.

Szatan dumy zaczął mi lepsze plany rać,
 Zemścić się krwawo, ale powód zemsty tać,
 Nie bywać w zamku, miłość s serca wykorzenieć,
 Puścić w niepamięć Ewę, z inną się ożenieć,
 A potem, potem jaką wynaleść zaczepkę,
 Pomścić się.

I zdało mi się z razu że już serce zmienił,
 I rad byłem z wymysłu i — jam się ożenił,
 S pierwszą którą napotkał dziewczyną ubogą!
 Złem zrobił — jakże byłem ukarany srogo!
 Nie kochałem jej, biedna matka Tadeusza
 Najprzywiązawsza do mnie, najpoczciwsza dusza —
 Ale ja dawną miłość i złość w sereu dusił,
 Byłem jako szalony, darmom siebie musiał
 Zająć się gospodarstwem albo interessem,
 Wszystko na próżno, zemsty opętany biesem,
 Zły, opryskliwy, znaleźć niemożem pociechy
 W niczem na świecie — i tak z grzechów w nowe grzechy,
 Zacząłem pić.

I tak niedługo żona ma z żalu umarła,
Zostawiwszy to dziecko, a mnie rospacz żarła!

* * *

Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę,
Tyle lat! gdzieś ja niebył, a dotąd niemogę
Jęj zapomnieć, i zawsze jęj postać kochana
Stoi mi przed oczyma, jakby malowana!
Piłem, nie mogłem zapisać pamięci na chwilę,
Ani pozbyć się, chociaż przebiegłem ziem tyle!
Teraz oto w habicie jestem Bożym sługą,
Na łożu, we krwi — O niej mówiłem tak długo —
W tej chwili, o tych rzeczach mówić? Bóg wybaczy!
Musicie wiedzieć, w jakim żalu i rospaczy
Popełniłem...

Było to właśnie wkrótce po jęj zaręczynach;
Wszędzie gadano tylko o jęj zaręczynach,
Powiadano, że Ewa gdy brała obrączkę
Z rąk Wojewody, mdlała, że wpadła w gorączkę,
Że ma początki suchot, że ustawnie szlocha,

Zgadywano, że kogoś potajemnie kocha —
Ale Stołnik jak zawsze, spokojny, wesoły,
Dawał na zamku bale, zbierał przyjaciół,
Mnie już nie prosił — na cóż byłem mu potrzebny?
Mój bezład w domu, bieda, mój nałóg haniebny,
Podały mnie na wzgardę i na śmiech przed światem!
Mnie, com niegdyś, rzecz mogę, trząsł całym powiatem!
Mnie, którego Radziwił nazywał: kochanku!
Mnie com kiedy wyjeżdżał z mojego zaścianku,
To liczniejszy dwór miałem niżeli książęcy!
Kiedym szablę dostawał, to kilka tysięcy
Szabel błyszczało w koło, strasząc zamki pańskie —
A potem ze mnie dzieci śmiały się włościańskie!
Tak zrobiłem się nagle w oczach ludzkich lichy!
Jacek Soplica! — kto zna co jest czucie pychy...

Tu Bernardyn osłabiał i upadł na łożu,
A Klucznik rzekł wzruszony: Wielkie sądy Boże!
Prawda! prawda! więc to ty? i tyżeśto Jacku!
Soplico? pod kapturem? żyłeś po żebracku!
Ty którego pamiętam, gdy zdrowy, rumiany,
Piękny szlachcie, gdy tobie pochlebiali pany,

Gdy za tobą kobiety szalały! Wąsalu!
 Nie tak to dawno! takeś zestarzał się z żalu!
 Jakżem ciebie nie poznał po owym wystrzale,
 Kiedyś tak do niedźwiedzia trafił doskonale?
 Bo nad ciebie nie miała strzelca Litwa nasza,
 Byłeś także po Maćku pierwszy do pałasza!
 Prawda! o tobie niegdyś śpiewały szlachcianki:
*Oto Jacek wąs kręci, trzęsą się Zaścianki,
 A komu na swym wąsie węzełek zawiąże,
 Ten zadrży, choćby to był sam Radziwił książę.*
 Zawiązałeś ty węzeł i mojemu Panu!
 Nieszczęśniku! i tyżes? do takiego stanu?
 Jacek Wąsal Kwestarzem! wielkie sądy Boże!
 I teraz! ha! beskarnie ujść tobie nie może,
 Przysiągłem, kto Horeszków krwi kroplę wysączył...

Tymczasem Książdz na łożu usiadł, i tak kończył:
 Jeździłem koło zamku; ile biesów w głowie
 I w sercu miałem, kto ich imiona wypowie!
 Stolnik? zabija dziecię własne, mnie już zabił,
 Zniszczył? — jadę pod bramę, szatan mnie tam wabił.
 Patrz jak on hula! co dzień w zamku pijatyka,

Ile świec w oknach, jaka brzmi w salach muzyka!
 I ten zamek na łysą głowę mu nie runie —
 Pomyśl o zemście, to wnet szatan broń podsunie.
 Ledwie pomyślił, szatan nasyła Moskali,
 Stałem patrząc; wiesz jak wasz zamek szturmowali.

* * *

Bo fałsz, żebym był w jakiej z Moskalami zmowie.

* * *

Patrzyłem; różne myśli snuły się po głowie.
 Z razu z uśmiechem głupim iak na pożar dziecko
 Patrzyłem, potem radość ucułem zbojecką,
 Czekając rychło zacnie palić się i walić,
 Czasem myśl przychodziła skoczyć, ją ocalić,
 Nawet Stolnika —

* * *

Broniliście się, ty wiesz, dzielnie i przytomnie,
 Zdziwiłem się; Moskale padali w koło mnie,
 Bydłęta, źle strzelają — na widok ich kłęski

Złość mię znowu porwała — Ten Stolnik zwycięski!
 I także mu na świecie wszystko się powodzi?
 I s tej strasznej napaści s tryumfem wychodzi?
 Odjeżdżałem ze wstydem — właśnie był poranek,
 W tém ujrzałem, poznałem, wystąpił na ganek,
 I brylantową szpinką ku słońcu migotał,
 I wąs pokręcał dumnie, i wzrok dumny miotał,
 I zdało mi się że mnie szczególnież urągał,
 Że mnie poznał, i ku mnie rękę *tak* wyciągał,
 Szydząc i grożąc — Chwytam karabin Moskala,
 Ledwiem przyłożył, prawie niemierzył — wypala!
 Wiesz!

Przeklęta broń ognista! kto mieczem zabija,
 Musi składać się, natrzeć, odbija, wywija,
 Może rozbroić wroga, miecz w pół drogi wstrzymać;
 Ale ta broń ognista, dosyć zamek imać,
 Chwila, jedna iskierka...

* * *

Czyż uciekałem, kiedyś mierzył do mnie z góry?

Utkwiłem oczy we dwie twojej broni rury,
 Rospacz jakaś! żal dziwny do ziemi mnie przybił!
 Czemuż? ach mój Gerwazy, czemuś wtenczas chybił?
 Łaskę byś zrobił! widać za pokutę grzechu
 Trzeba było... —

Tu znowu brakło mu oddechu.

—Bóg widzi, rzeczce Klucznik, szczerze trafić chciałem!
 Ileż ty krwi wylałeś twoim jednym strzałem,
 Ileż klęsk spadło na nas i na twą rodzinę,
 A wszystko to przez Waszą Panię Jacku winę.
 A wszakże gdy dziś Jegry Hrabie na cel wzięli,
 Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli,
 Tyś go zasłonił, i gdy Moskal do mnie palił,
 Tyś mnie rzucił o ziemię, tak nas dwóch ocalił.
 Jeśli prawda że jesteś księdzem zakonnikiem,
 Jużci sukienka broni cię przed scyzorykiem.
 Bądź zdrów, więcej na waszym nie postanę progę,
 Z nami kwita, — zostawmy resztę Panu Bogu.

Jacek rękę wyciągnął, — cofnął się Gerwazy,
 Nie mogę, rzekł, bez mego szlactwa obraży

Dotykać rękę, takim morderstwem skrwawioną
S prywatnej zemsty, nie zaś pro publico bono.

Ale Jacek s poduszek na łożu upadłszy,
Zwrócił się ku Sędziemu, a był coraz bladzi,
I niespokojnie pytał o Księdza Plebana,
I wołał na Klucznika : zaklinam Wacpana
Abyś został, wnet skończę, ledwie mam dość mocy
Zakończyć — Panie Klucznik — ja umrę téj nocy !

Co bracie? krzyknął Sędzia, widziałem, wszak rana
Nie wielka, co ty mówisz? po Księdza Plebana;
Może źle opatrzone — zaraz po doktora,
W apteczce jest... Ksiądz przerwał: bracie już nie pora.
Miałem tam strzał dawniejszy, dostałem pod Jena,
Źle zgojony, a teraz draśniono — gangrena
Już tu — znam się na ranach, patrz jaka krew czarna
Jak sadza, co tu doktor, ale to rzecz marna,
Raz umieramy, jutro czy dziś oddać duszę —
Panie Klucznik, przebaczysz mnie, ja skończyć muszę!

* * *

Jest w tém zasługa niechcieć zostać winowajcą
Narodowym, choć naród okrzyczy cię zdrajcą!
Zwłaszcza w kim taka jaka była we mnie duma!

* * *

Imię zdrajcy przylgnęło do mnie jako dżuma.
Odwracali odemnie twarz obywatele,
Uciekali odemnie dawni przyjaciele,
Kto był łękliwy, zdala witał się i stronił;
Nawet lada chłop, lada żyd, choć się pokłonił,
To mię z boku szyderskim przebijał uśmiechem;
Wyraz zdrajca brzmiał w uszach, odbijał się echem
W domie, w polu, ten wyraz od rana do zmroku
Wił się przedemną, jako plama w chorym oku.
Przecież niebyłem zdrajcą kraju.

Moskwa mnie uważała gwałtem za stronnika,
Dano Soplicom znaczną część dóbr nieboszczyka,

Targowiczanie potem chcieli mnie zaszczyć
 Urzędem—Gdybym wtenczas chciał się przemoskwicie!
 —Szatan radził — już byłem możny i bogaty,
 Gdybym został Moskalem? najpierwsze magnaty
 Szukałyby mych względów; nawet szlachta braty,
 Nawet gmin, który swoim tak łacnie uwłacza,
 Tym którzy Moskwie służy, szczęśliwszym przebacza!
 Wiedziałem to, a przecież — niemogłem.

* * *

Uciekłem s kraju!
 Gdziem niebył! com nie cierpiał!

* * *

Aż Bóg raczył lekarstwo jedyne objawić.
 Poprawić się potrzeba było, i naprawić
 Jle możliwości to....

* * *

Córka Stolnika ze swym mężem Wojewodą,
 Gdzieś w Sybir wywieziona, tam umarła młodo,
 Zostawiła tę w kraju córkę, małą Zosię,
 Kazałem ją hodować.

* * *

Bardziej niżli z miłości, może z głupiej pychy
 Zabiłem; więc pokora, wszedłem między muichy,
 Ja niegdyś dumny z rodu, ja com był junakiem,
 Spuściłem głowę, kwestarz, zwałem się Robakiem
 Że jako Robak w prochu...

Zły przykład dla Ojczyzny, zachętę do zdrady
 Trzeba było okupić dobremi przykładami,
 Krwią, poświęceniem się...

Biłem się za kraj; gdzie? jak? zmilczę; nie dla chwały
 Ziemińskiej, biegłem tyle kroć na miecze, na strzały.
 Milęj sobie wspominam, nie dzieła waleczne
 I głośne, ale czyny ciche, użyteczne.
 I cierpienia których nikt...

Udało mi się nie raz do kraju przedzierać,
 Roskazy wodzów nosić, wiadomości zbierać,
 Układać zмовy — znają i Galicyanie
 Ten kaptur mnisi — znają i Wielkopolanie!
 Pracowałem przy taczkach rok w pruskiej fortecy,
 Trzy razy Moskwa kijmi zraniła me plecy,
 Raz już wiedli na Sybir; potem Austryjacy,
 W Szpilbergu zakopali mnie w lochach do pracy,
 W Carcer durum, — A Pan Bóg wybawił mnie cudem
 I pozwolił umierać między swoim ludem
 S sakramentami.

Może i teraz, kto wie? może znowu zgrzeszyłem!
 Może nad rozkaz wodzów powstanie przyśpieszyłem;
 Ta myśl że dóm Sopliców pierwszy się uzbroi,
 Że pierwszą Pogoń w Litwie zatkną krewni moi!...
 Ta myśl... zdaje się czysta...

Chciałeś zemsty? masz! boś ty był narzędziem kary
 Bożej! twoim Bóg mieczem rozciął me zamiary.
 Tyś wątek spisku tyle lat snowany spletał!
 Cel wielki, który całe życie me zaprzętał,

Ostatnie moje ziemskie uczucie na świecie,
 Którem tulił, hodował, jak najmilsze dziecko,
 Tyś zabił w oczach ojca, a jam ci przebaczyłem!
 Ty!...

— Oby tylko równie Bóg przebaczyć raczył,
 Przerwał Klucznik; jeżeli masz przyjąć wijatyk
 Księżę Jacku, toć ja nie luter, nie szymatyk!
 Kto umierającego smuci, wiem że grzeszy.
 Powiem tobie coś, pewnie to ciebie pocieszy.
 Kiedy nieboszczyk Pan mój upadał zraniony,
 A ja klęcząc nad jego piersią pochylony,
 I krew maczając w ranę, zemstę zaprzysięgnął,
 Pan głowę wstrząsnął, rękę ku bramie wyciągnął
 W stronę gdzie stałeś, i krzyż w powietrzu naznaczył;
 Mówić nie mógł, lecz dał znak, że zbójcy przebaczył.
 Ja też pojąłem, ale tak się z gniewu wścieklełem,
 Że o tym krzyżu nigdy i słowa nierzekłem.

Tu rozmowę przerwały chorego cierpienia,
 I nastąpiła długa godzina milczenia.
 Oczekują Plebana — Podkowy zagrzmiały,

Zastukał do komnaty Arędarz zdyszały,
 List ma ważny, samemu Jackowi pokaże ;
 Jacek bratu oddaje, głośno czytać każe.
 List od Fiszera, który był natenczas Szefem
 Sztabu armii Polskiej pod Księciem Józefem.
 Donosi, że w Cesarskim tajnym gabinecie,
 Stała wojna ; Cesarz już po całym świecie
 Ogłasza ją ; Sejm walny w Warszawie zwołany,
 I skonfederowane Mazowieckie Stany
 Wyrzeką uroczycie przyłączenie Litwy.

Jacek słuchając, cicho odmówił modlitwy,
 Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę
 Podniósł w niebo zatłone nadzieją źrenice,
 I zalał się ostatnich łez rokosznych zdrojem.
 — Teraz, rzekł, Panie, sługę twego puść s pokojem !

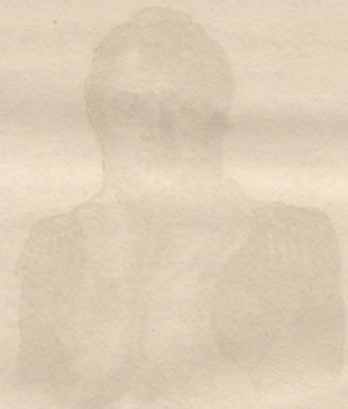
Wszyscy uklękli ; a w tém ozwał się pod progiem
 Dzwonek, znak że przyjechał Pleban s Panem Bogiem.

Właśnie już noc schodziła, i przez niebo mleczone
 Różowe, biegą pierwsze promyki słoneczne,

Wpadły przez szyby jako strzały brylantowe,
 Odbiły się na łożu o chorego głowę,
 I ubrały mu złotem oblicze i skronie,
 Że błyszczał jako święty w ognistej koronie.



Wszystko, co jest w tej książce, jest
długość, w której jest to dzieło
I dalej, co jest w tej książce, jest
do dzisiaj, co jest w tej książce, jest



KSIĘGA JEDENASTA.

ROK 1812.

TREŚĆ.

Wrózby wiosenne — Wkroczenie wojsk — Nabożeństwo — Rehabilitacya urzędowa s. p. Jacka Soplicy — Z rozmow Gerwazego i Protazego wnosić można bliski koniec processu — Umizgi ulana z dziewczyną — Rostrzyga się spor o Kusego i Sokoła — Zaczem goście zgromadzają się na biesiadę — Przedstawienie wodzom par narzeczonych.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny: dotąd lubią starzy
O tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy.
Z dawna byłś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;

Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
 Jakieś dziwne przecucie, jak przed światła końcem,
 Jakieś oczekiwanie tęskne i radośne.

Kiedy pierwszy raz było wygnano na wiosnę,
 Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
 Nie biegło na ruń co już umiała grude,
 Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy,
 Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy ciągnący na jarzynę pługi
 Nie cieszą się jak zwykle s końca zimy długiej,
 Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo,
 Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
 Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
 I poglądają s trwogą ku zachodniej stronie,
 Jakby s tej strony miał się objawić cud jaki.
 I uważają s trwogą wracające ptaki.
 Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny
 I rospiał skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
 A za nim krzykliwemi nadciągnawszy pułki,
 Gromadziły się po nad wodami jaskułki,

I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
 W wieczor słychać w zarosłach szept ciągnącej słomki;
 I stada dzikich gęsi szumią po nad lasem,
 I znużone na popas spadają z hałasem,
 A w głębi ciemnej nieba, wciąż jęczą żurawie.
 Słyszac to nocni stróże pytają w obawie,
 Skąd w królestwie skrzydlatém tyle zamieszania,
 Jaka burza te ptaki tak wczesnie wygania.

Aż oto nowe stada, jakby gilów, siewek,
 I szpakow, stada jasnych kit i chorągiewek
 Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie.
 Konnica! dziwne stroje, niewidziane bronie,
 Półk za półkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
 Płyną drogami kute żelazem szeregi;
 Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska,
 Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na północ: rzekłbyś że w on czas z wyraju
 Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,
 Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konic, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i ówdzie łuny,
Ziemia drży, słychać biją stronami pioruny —

Wojna! wojna! Niebyło w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł; pomiędzy ciemnymi
Puszczami, chłop którego dziady i rodzice
Pomarli nie wyjrawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz spółleśników;
Teraz widzi na niebie, dziwna łuna pała,
W puszczy łoskot, to kula od jakiegoś działa
Zbłądziwszy s pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr brodacz sędziwy
Zadrzał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje na wół, na przednich nogach się opiera,
I potrząsając brodą zdziwiony spoziera,
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,
Pękł zhukiem jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszym schować się ukryciu.

Bitwa! gdzie? w której stronie? pytają młodzieńce,
Chwytają broń, kobiety wznoszą w niebo ręce,
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju,
O wiosno, kto cię widział jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę piękna maro senna!
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

Soplicowo leżało tuż przy wielkiej drodze,
Którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze:
Nasz Książę Józef i król Westfalski Hieronim.
Już zajęli część Litwy od Grodna po Słonim,
Gdy król rozkazał wojsku dać trzy dni wytchnienia.
Ale polscy żołnierze mimo utrudzenia,
Skarżyli się, że król im marszu niedozwala,
Tak radziły co prędzej doścignąć Moskała.

W mieście pobliskim stanął główny sztab książęcy,
 A w Soplicowie oboz czterdziestu tysięcy,
 I ze sztabami swemi Jenerał Dąbrowski,
 Kniaziewicz, Małachowski, Giedrojc i Grabowski.

Późno było gdy weszli; więc każdy gdzie może,
 Zabierają kwatery w zamczysku, we dworze;
 Skoro dano rozkazy, rosstawiono czaty,
 Każdy strudzony poszedł spać do swój komnaty.
 Z nocą wszystko ucichło: oboz, dwór i pole;
 Widać tylko jak cienie, błędzące patrole,
 I gdzie nie gdzie błyskania ognisk obozowych,
 Słychać kolejne hasła stanowisk wojskowych.

Spali, gospodarz domu, wodze i żołnierze;
 Oczu tylko Wojskiego sen słodki nie bierze;
 Bo Wojski ma na jutro biesiadę wyprawić,
 Którą chce dom Sopliców na wiek wieków wślawić:
 Biesiadę godną miłych sercom polskim gości,
 I odpowiedną wielkiej dnia uroczystości,
 Co jest świętem kościelnym i świętem rodziny;
 Jutro odbyć się mają trzech par zaręczyny.

Zaś Jenerał Dąbrowski oświadczył z wieczora,
 Że chce mieć obiad polski.

Choć spóźniona pora,
 Wojski zebrał co prędzej s sąsiedztwa kucharzy;
 Pięciu ich było, służą, on sam gospodarzy.
 Jako kuchmistrz białym się fartuchem opasał,
 Wdział szlafinycę a ręce do łokciów zakasał;
 W rękę ma plackę muszą, owad ładajaki
 Odpędza, wpadający chciwie na przysmaki;
 Drugą ręką przetarte okulary włożył,
 Dobył z zanadru księgę, odwinął, otworzył.

Księga ta miała tytuł: *Kucharz doskonały*.
 W niej spisane dokładnie wszystkie specyały
 Stołów polskich; podług niej Hrabia na Tęczynie
 Dawał owe biesiady we Włoskiej krainie,
 Którym się Ojciec święty Urban siódmy dziwił;
 Podług niej później Karól-Kochanku-Radziwił,
 Gdy przyjmował w Nieświżu króla Stanisława,
 Sprawił pamiętną ową ucztę, której sława
 Dotąd żyje na Litwie we gminnój powieści.

Co Wojski wyczytawszy pojmie i obwieści,
 To natychmiast Kucharze robią umiejętni.
 Wre robota, pięćdziesiąt nożów w stoły tętni,
 Zwijają się kuchciki czarne jak szatany:
 Ci niosą drwa, ci z mlekiem i z winem sagany,
 Leją w kotły, skowrody, w ładu, dym wybucha;
 Dwóch kuchcików przy piecu siedzi, w mieszki dmucha,
 Wojski ażeby ogień tém łacniej rozpalać,
 Roskazał stopionego masła na drwa nalać.
 (Zbytek ten dozwolony jest w dostatnim domu)
 Kuchciki sypią w ogień suche pęki łomu.
 Inni na różny sadzą ogromne pieczenie
 Wołowe, sarnie, cąbry dzicze i jelenie;
 Ci skubią stopy ptastwa, lecą puchów chmury,
 Obnażają się głuszcze, cietrzewie i kury.
 Lecz kur nie wiele było; od owój wyprawy
 Którą w czasie zajazdu, Dobrzyński Sak krwawy
 Zrobił na kurnik, kędy Zosi gospodarstwo
 Zniszczył, nie zostawiwszy sztuki na lekarstwo:
 Jeszcze nie mogło ptastwem zakwitnąć na nowo,
 Sławne niegdyś ze drobiu swego Soplicowo.
 Z resztą zaś mięs wszelakich był wielki dostatek,

Co się zgromadzić dało i z domu i z jatek,
 I z lasów i s sąsiedztwa, zbliska i z daleka:
 Rzekłbyś, ptasiego tylko niedostaje mleka.
 Dwie rzeczy których hojny Pan do uczy szuka,
 Łączą się w Soplicowie: dostatek i sztuka.

Już wschodził uroczysty dzień *Najświętszej Panny
 Kwietniej*; pogoda była prześliczna, czas ranny,
 Niebo czyste w około ziemi obciągnięte,
 Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
 Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
 Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna,
 Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
 Podobne do niknących piór Anioła stróża,
 Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
 Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły, i na dnie
 Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie,
 Prawą skronią złożone na w głowiu cieni
 Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
 A dalej okrąg jakby powieka szeroka

Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,
 Widać tęczę, źrenicę — już promień wytrysnął,
 Po okrągłych niebiosach wygięty przebiegł,
 I w białej chmurce jako złoty grot zawisnął.
 Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
 Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
 A oko słońca weszło — jeszcze nieco senne
 Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzesy promienne,
 Siedmią barw błyszczy razem : szafirowe razem,
 Razem krwawi się w rubin i żółtknie topazem,
 Aż rozlśniło się jako kryształ przezroczyste,
 Potém jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
 Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające :
 Tak po niezmierném niebie szło samotne słońce.

Dziś pospólstwo Litewskie s całej okolicy
 Zebrało się przed wschodem w około kaplicy,
 Jak gdyby na nowego ogłoszenie cudu.
 Zbiór ten pochodził w części s pobożności ludu,
 A w części s ciekawości : bo dziś w Soplicowie
 Na nabożeństwie mają być Jenerałowie,
 Sławni dowódcy owi naszych legionów,

Których lud znał imiona i cześć jak patronów,
 Których wszystkie tułactwa, wyprawy i bitwy
 Były ewangelią narodową Litwy.

Już przyszło officerów kilku, tłum żołnierzy;
 Lud ich otacza, patrzy, ledwie oczom wierzy,
 Oglądając rodaków mundury noszących,
 Zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących.

Wyszła msza — nieobejmie świątynia małeńka
 Całego zgromadzenia; lud na trawie klęka,
 Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy :
 Włos Litewskiego ludu biały albo płowy,
 Pozłacał się jako łan dojrzałego żyta;
 Gdzie niegdzie kraśna główka dziewicza wykwita,
 Ubrana w świeże kwiaty, albo w pawie oczy,
 I wstęgi rosplecione, ozdoby warkoczy,
 Śród głów męskich jak w zbożu bławat i kąkole.
 Klęczący różnobarwy tłum okrywa pole,
 A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
 Chylą się wszystkie głowy jak kłosa na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela,
Niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela;
Wszystko w koło ubrane w bukiety i w wianki,
Ołtarz, obraz, a nawet dzwoniczka i ganki.
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,
I rozlewa jak s mszalnej kadzielnicy wonie.

A gdy w kościele było po mszy i kazaniu,
Wyszedł przewodniczący całemu zebraniu
Podkomorzy, niedawno przez Powiatu Stany
Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.
Miał mundur Województwa, żupan złotem szyty,
Kontusz gredyturowy s frendzlą i pas lity,
Przy którym karabella z głównią jaszczurową,
Na szyi świecił wielką szpilką brylantową,
Konfederatka biała, a na niej pęk grubych
Drogich piórek, były to białych czapel czuby.
(Na fest kładnie się tylko kitka tak bogata,
Któręj każde pióreczko kosztuje dukata.)
Tak ubrany, na wzgórek wstąpił przed kościołem,
Wieśniacy i żołnierstwo scisnęło się kołem,

On rzekł :

— Bracia! ogłosił wam Ksiądz na Ambonie
Wolność, którą Cesarz-Król przywrócił Koronie,
A teraz Litewskiemu Księstwu, Polszcze całej
Przywraca; słyszeliście rządowe uchwały
I zwołujące Walny Sejm uniwersały.
Ja tylko mam słów parę przemówić do gminy,
W rzeczy, która się tyczy Sopliców rodziny,
Tutejszych panów.

Cała pomni okolica;
Co tu zbroił nieboszczyk — Pan Jacek Soplica,
Ale kiedy o grzechach wszyscy wiecie,
Czas i zasługi jego ogłosić na świecie:
Obecni tu są naszych Wojsk Jenerałowie,
Od których usłyszałem wszystko co wam mówię.
Ten Jacek nie był umarł (jak głoszono) w Rzymie,
Tylko odmienił życie dawne, stan i imię;
A wszystkie przeciw Bogu i Ojczyźnie winy
Zgładził, przez żywot święty i przez wielkie czyny.

On to pod Hohenlinden, gdy Ryszpans Jenerał
 Na pół pobity już się do odwrotu zbierał
 Nie wiedząc że Kniaziewicz ciągnie ku odsieczy,
 On to Jacek, zwan Robak, wśród grotów i mieczy
 Przenosił od Kniaziewicza listy Ryszpansowi,
 Donoszące że nasi biorą tył wrogowi.
 On potem w Hiszpanii, gdy nasze ułany
 Zdobyły Samosyery grzbiet oszańcowany,
 Obok Kozietulskiego był ranny dwa razy!
 Następnie, jak wysłaniec s tajnemi rozkazy
 Biegał po różnych stronach ducha ludzi badać,
 Towarzystwa tajemne wiązać i zakładać;
 Nakoniec, w Soplicowie w swém ojczystém gnieździe
 Gdy gotował powstanie, zginął na zajęczdzie.
 Właśnie o jego śmierci nadeszła wiadomość
 Do Warszawy w tę chwilę, gdy Cesarz Jegomość
 Raczył mu dać za dawne czyny bohaterskie
 Legji honorowej znaki kawalerskie.

Owoż te wszystkie rzeczy mając na uwadze,
 Ja Reprezentujący Województwa władzę,
 Moją Konfederacką ogłaszam wam łaską :

Że Jacek wierną służbą i Cesarską łaską
 Znosił infamii plamę, powraca do cześci,
 I znowu się w rząd prawych patriotów mieści;
 Więc kto będzie śmiał Jacka zmarłego rodzinie
 Wspomnieć kiedy o dawniej zagładzonej winie,
 Ten podpadnie za karę takiego wyrzutu,
Gravis nota macula; wedle słów Statutu
 Karzących tak militem jak i skartabella,
 Coby siał infamiją na obywatela;
 A że teraz jest równość, więc artykuł trzeci
 Obowiązuje równie i mieszczan i kmieci.
 Ten wyrok Marszałkowski, pan Pisarz umieści
 W aktach Jeneralności, a Woźny obwieści.

Co się tycze legji honorowej krzyża,
 Że późno przyszedł, nic to sławie nieubliża;
 Jeśli Jackowi nie mógł służyć ku ozdobie,
 Niech służy ku pamiętce, wieszam go na grobie.
 Trzy dni tu będzie wisiał, potem do kaplicy
 Złoży się, jako wotum dla Boga-Rodzicy.

To powiedziawszy, order wydobyl s pokrowca,

I zawiesił na skromnym krzyżyku grobowca
 Uwiązaną w kokardę wstążeczkę czerwoną
 I krzyż biały gwiazdzisty ze złotą koroną ;
 Przeciw słońcu promienie gwiazdy zajaśniały,
 Jako ostani odbłysek ziemskiej Jacka chwały.
 Tymczasem lud na klęczkach Anioł Pański mowi
 Upraszając o wieczny pokój grzesznikowi,
 Sędzia obchodzi gości i wiejską gromadę,
 Wszystkich do Soplicowa wzywa na biesiadę.

Ale na przyźbie domu usiedli dwaj starce,
 Mając u kolan pełne miodu dwa półgarce ;
 Patrzą w sad, gdzie wśród pączków barwistego maku
 Stał ułan jak słońceznik, w błyszczącym kołpaku
 Strojnym blachą złocistą i piórem koguta,
 Przy nim dziewcze w zielonej sukience jak ruta
 Pozioma, wznosi oczki błękitne jak bratki
 Ku oczom chłopca, dalej Panny rwały kwiatki
 Po ogrodzie, umyślnie odwracając głowy
 Od kochanków, żeby im nie mięszać rozmowy.

Ale starce miód piją, tabakierką s kory

Częstując się nawzajem, toczą rozmowy.

Tak, tak, mój Protazeńku, rzekł Klucznik Gerwazy.
 Tak, tak, mój Gerwazeńku, rzekł Woźny Protazy,
 Tak to, tak! powtórzyli zgodnie kilka razy
 Kiwając w takt głowami; wreszcie Woźny rzecze:
 Iż proces nasz skończy się dziwnie, ja nie przeczę;
 Wszakże były przykłady; pamiętam processy,
 W których się działy gorsze niż u nas excessy,
 A intercyza cały zakończyła kłopot:
 Tak z Borzdobohatymi pogodził się Łopot,
 Krepsztulowie s Kupściami, Putrament s Pikturą,
 Z Odyńcami Mackiewicz, s Kwileckimi Turno.
 Co mówię! wszak Polacy miewali zamieszki
 Z Litwą, gorsze niżeli s Soplicą Horeszki,
 A gdy na rozum wzięła królowa Jadwiga,
 To się bez sądów owa skończyła intryga.
 Dobrze gdy strony mają panny albo wdowy
 Na wydaniu, to zawsze kompromis gotowy.
 Najdłuższy proces zwykle bywa z duchowieństwem,
 Bo wtenczas sprawy skończyć nie można małżeństwem.
 Stąd to Lachy z Russami w sporach nieskończonych,

Idąc z Lécha i Russa, dwu braci rodzonych ;
 Stąd się tyle processów Litewskich ciągnęło
 Długo s księżmi Krzyżaki, aż wygrał Jagieło.
 Stąd nakoniec pendebat długo przed aktami
 Sławny ów process Rymszów z Dominikanami,
 Aż wygrał wreszcie Syndyk klasztorny Książd Dymsza,
 Skąd jest przysłowie: większy Pan Bóg niż Pan Rymsza;
 Ja zaś dołożę, lepszy miód od scyzoryka —
 To mówiąc półgarcówką przepił do Klucznika.

Prawda! prawda! rzekł na to Gerwazy wzruszony!
 Dziwnec to były losy tej naszej Korony
 I naszej Litwy! wszakto jak małżonków dwoje!
 Bóg złączył, a czart dzieli, Bóg swoje, czart swoje!
 Ach bracie Protazeńku! że to oczy nasze
 Widzą! że znowu do nas ci Koroniasze
 Zawitali! służyłem ja z nimi przed laty,
 Pamiętam, dzielne były z nich konfederaty!
 Gdyby nieboszczyk Pan mój Stolnik dożył chwili!
 O Jacku! Jacku! — lecz cóż będziemy kwilili?
 Skoro dziś znowu Litwa łączy się s Koroną,
 Toć tém samém już wszystko zgodzono, zgładzono.

I to dziw, rzekł Protazy, że o tej to Zosi,
 O której rękę teraz nasz Tadeusz prosi,
 Było przed rokiem, omen, jakoby znak z nieba!
 — Panną Zosią, przerwał Klucznik, zwać ją trzeba,
 Bo już dorosła, nie jest dziewczyną maluczką,
 Przytém s krwi dygnitarskiej, jest Stolnika wnuczką.
 — Owoż, kończył Protazy, był to znak proroczy
 O jej losie, widziałem znak na własne oczy.
 Przed rokiem tu siedziała w święto czeladź nasza
 Pijąc miód, alic patrzym: pęc, pada s poddasza
 Dwóch wróblow bijących się, oba samcy stare,
 Jeden młodszy cokolwiek miał podgarle szare,
 Drugi czarne; dalejże tłuc się po podwórzu,
 Przewracać kulki, że aż zaryli się w kurzu;
 My patrzym, a tymczasem szepcą sobie sługi
 Ze ten czarny niech będzie Horeszko, a drugi
 Soplica; więc ilekroć szary był na górze
 Krzyczą, wiwat Soplica, pfe Horeszki tchórze!
 A gdy spadał wołali, popraw się Soplica,
 Niedaj się magnatowi, to wstyd na szlachcica.
 Tak śmiejąc się czekamy, kto kogo pokona;
 Wtém Zosieńka nad ptaństwem litością wzruszona

Podbiegła i nakryła rączką te rycerze,
 Jeszcze się w rękę bili, aż leciało pierze,
 Taka była zawziętość w tém małym licha.
 Baby patrząc na Zosię, gadały po eichu,
 Że pewnie przeznaczeniem będzie téj dziewczyny
 Pogodzić dwie oddawna zwaśnione rodziny.
 A widzę że się dzisiaj ziścił omen babi.
 Prawdać to, że naonczas myślano o Hrabi
 Nie zaś o Tadeuszu —

Na to Klucznik rzecze:

Dziwne są sprawy w świecie, kto wszystko dociecze!
 Ja też powiem Waszeci rzecz choć nie tak cudną
 Jak ów omen, a przecież do pojęcia trudną.
 Wiesz iż dawniej radbym był Sopliców rodzinę
 W łyszcze wody utopić; a tego chłopczynę
 Tadeusza, od dziecka niezmiernie polubił.
 Uważałem że gdy się s chłopiętami czubił,
 Zawsze ich zbił; więc ilekroć do zamku biegał,
 Jam go zawsze do trudnych imprezów podzegał.
 Wszystko mu się udało; czy wydrzeć gołębie
 Na wieży, czy jemiołę oberwać na dębie,

Czyli z najwyższej sosny złupić wronie gniazdo,
 Wszystko umiał; myślałem: pod szczęśliwą gwiazdą
 Urodził się ten chłopiec, szkoda że Soplica!
 Któżby zgadł, że w nim zamku powitam dziedzica!
 Męża Panny Zofii, mój Wielmożnej Pani.

Tu skończyli rozmowę, piją zadumani,
 Słychać tylko niekiedy te krótkie wyrazy:
 Tak, tak, Panie Gerwazy, — tak Panie Protazy.

Przyzba tykała kuchni, której okna stały
 Otworem i dym jako s pożaru buchały,
 Aż s kłębów dymu niby biała gołębica,
 Mignęła świecąca się Kuchmistrza szlafmyca.
 Wojski przez okno kuchni, po nad starców głowy,
 Wytknąwszy głowę, milczkiem słuchał ich rozmowy,
 I podał im nareszcie filiżanki spodek,
 Pełen biszkoktów, mówiąc: Zakąście wasz miodek.
 A ja wam też opowiem historią ciekawą
 Sporu, który miał bitwą zakończyć się krwawą,
 Gdy polujący w głębi Nalibockich lasów
 Rejtan, wypłatał sztukę ksiąźciciu Denassów.

Tęj sztuki omal własnym nieprzypłacił zdrowiem ;
Jam kłótnię Panów zgodził, jak to wam opowiem.
— Ale Wojskiego powieść przerwali kucharze,
Pytając komu serwis ustawiać rozkaże.

Wojski odszedł, a starcy zaczępnawszy miodu,
Zadumani zwrócili oczy w głąb ogrodu,
Gdzie ów dorodny Ułan rozmawiał s Panienką.
Właśnie Ułan ujawszy jej dłoń lewą ręką,
(Prawą miał na temlaku, widać że był ranny)
S takimi odezwał się słowami do Panny :

Zofio musisz to mnie koniecznie powiedzieć,
Nim zamienim pierścionki, muszę o tém wiedzieć.
I cóż że przeszłej zimy byłaś już gotowa
Dać słowo mnie? ja wtenczas nie przyjąłem słowa:
Bo i cóż mnie po takim wymuszonym słowie.
Wtenczas bawiłem bardzo krótko w Soplicowie,
Niebyłem taki próżny ażebym się łudził,
Żem jednym mem spójrzeniem miłość w tobie wzbudził;
Ja nie fanfaron, chciałem mą własną zasługą
Zyskać twe względy, choćby przyszło czekać długo.

Teraz jesteś łaskawa twe słowo powtórzyć :
Czémże na tyle łaski umiałem zasłużyć?
Może mnie bierzesz Zosiu nie tak s przywiązania,
Tylko że stryj i ciotka do tego cię skłania ;
Ale małżeństwo Zosiu jest rzecz wielkiej wagi,
Radź się serca własnego, nieczyjjej powagi
Tu nie słuchaj, ni stryja groźb ni namów cioci ;
Jeśli nie czujesz dla mnie nic oprócz dobroci,
Możem te zaręczyny czas jakiś odwlekać,
Więzić twój woli niechęć, będziem Zosiu czekać.
Nic nas nienagli, zwłaszcza że wczora wieczorem,
Dano mi rozkaz zostać w Litwie instruktorem
W półku tutejszym, nim się z mych ran nie wyleczę.
I cóż kochana Zosiu ?

Na to Zosia rzecze,

Wznosząc głowę i patrząc w oczy mu nie śmiało :
Nie pamiętam już dobrze co się dawniej działo,
Wiem że wszyscy mówili iż za mąż iść trzeba
Za Pana ; ja się zawsze zgadzam z wolą nieba
I z wolą starszych — potem spuściwszy oczęta
Dodała: przed odjazdem jeśli Pan pamięta,

Kiedy umarł Książd Robak w ową burzę noczą,
 Widziałam, że Pan jadąc żałował nas mocno,
 Pan żył miał w oczach, te żył powiem Panu szczerze,
 Wpadły mnie aż do serca; odtąd Panu wierzę
 Że mnie lubisz; ilekroć mówiłam pacierze
 Za Pana powodzenie, zawsze przed oczami
 Stał Pan s temi dużemi błyszczącemi łzami.
 Potem Podkomorzyna do Wilna jeździła,
 Wzięła mnie tam na zimę, alem ja tęskniła
 Do Soplicowa i do tego pokoiku,
 Gdzie mnie Pan naprzód w wieczor spotkał przy stoliku,
 Potem pożegnał; niewiem skąd pamiątka Pana,
 Coś niby jak rossada w jesieni zasiana,
 Przez całą zimę w mojem sercu się krzewiła,
 Że jako mówię Panu — ustawniem tęskniła
 Do tego pokoiku, i coś mi szeptało,
 Że tam znów Pana znajdę, i tak się też stało.
 Mając to w głowie, często też miałam na ustach
 Imie Pana — było to w Wilnie na zapustach;
 Panny mówiły że ja jestem zakochana:
 Jużci jeżeli kocham, to już chyba Pana.
 —Tadeusz rad s takiej miłości dowodu,

Wziął ją pod rękę, ścisnął, i wyszli z ogrodu
 Do pokoju damskiego, do owéj komnaty
 Kędy Tadeusz mieszkał przed dziesięcią laty.

Teraz bawił tam Rejent cudnie wystrojony,
 I usługiwał damie swojej narzeczonej,
 Biegając i podając sygnety, łańcuszki,
 Słoiki i flaszeczki i proszki i muszki,
 Wesół, na pannę młodą patrzył tryumfalnie.
 Panna młoda kończyła robić gotowalnię;
 Siedziała przed zwierciadłem radząc się bóstw wdzięku;
 Pokojowe zaś, jedne z żelaskami w ręku
 Odświeżają nadstygłe warkoczów pierścionki,
 Drugie klęcząc pracują około falbonki.

Gdy się tak Rejent bawi ze swą narzeczoną,
 Kuchcik stuknął doń wokno; kota postrzeżono.
 Kot wykradłszy się z łoży prześmignął po łące
 I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące,
 Tam siedzi, wystraszyć go łatwo z rosadniku
 I uszezuć postawiwszy charty na przesmyku.
 Bieży Assesor ciągnąc za obróż Sokoła,

Pośpiesza za nim Rejent i Kusęgo woła.
 Wojski obu s chartami przy płocie ustawił,
 A sam się s placką muszą do sadu wyprawił,
 Depcąc, świszcząc i klaszcząc, bardzo źwierz trwoży;
 Szczwacze trzymając każdy charta na obroży,
 Ukazują palcami skąd zając wyruszy,
 Cmokają scicha; charty nadstawiły uszy,
 Wytknęły pyski na wiatr i drżą niecierpliwie
 Jak dwie strzały złożone na jednej cięciwie.
 W tém Wojski krzyknął: wycz ha! zając smyk z za płotu
 Na łakę, charty za nim, i wnet bez obrotu,
 Sokoł i Kusy razem spadli na szaraka
 Ze dwóch stron w jednej chwili, jak dwa skrzydła ptaka,
 I zęby mu jak szpony zatopili w grzbiecie.
 Kot jęknął raz, jak nowo narodzone dziecko,
 Żałośnie! biegą szczwacze: już leży bez ducha,
 A charty mu sierć białą targają spod brzucha.

Szczwacze pogłaskali psy, a Wojski tym czasem
 Dobył nożyk strzelecki wiszący za pasem,
 Oderznął skoki i rzekł: dziś równą odprawę
 Wezmą pieski, bo równą pozyskali sławę,

Równa ich była ręczość, równa była praca,
 Godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca,
 Godni są szczwacze chartów, godne szczwaczów charty;
 Otoż skończony spór wasz długi i zażarty,
 Ja któregoście Sędzią zakładu obrali,
 Wydaję wreszcie wyrok: obaście wygrali,
 Wracam fanty, niech każdy przy swoim zostanie,
 A wy podpiszcie zgodę. — Na starca wezwanie,
 Szczwacze zwrócili na się rozjaśnione lice
 I długo rozdzielone złączyli prawice.

W tém rzekł Rejent: stawiłem niegdyś konia z rzędem,
 Opisałem się także przed ziemskim urzędem
 Iż pierścień mój Sędziemu w salarium złożę;
 Fant postawiony w zakład, wracać się nie może.
 Pierścień niechaj Pan Wojski na pamiątkę przymie,
 I każe na nim wyryć albo swoje imię
 Lub gdy zechce, herbowne Hreczechów ozdoby;
 Krwawnik jest gładki, złoto jedenastej próby.
 Konia teraz Ułani pod jazdę zabrali,
 Rzęd został przy mnie, każdy znawca ten rząd chwali
 Iż jest wygodny, trwały, a piękny jak cacko:

Kulbaczka wąska modą s turecka kozacką,
 Kula na przodzie, w kuli są drogie kamienie,
 Poduszczyk z rubrontu wyścieła siedzenie.
 A kiedy na fęk wskoczysz, na tym miękkim puszkę
 Między kulami siedzisz wygodnie jak w łóżku;
 A gdy w galop puścisz się (tu Rejent Bolesta
 Który jako wiadomo, bardzo lubił gesta,
 Rosstawił nogi jakby na konia wskakiwał,
 Potem galop udając powoli się kiwał)
 A gdy w galop puścisz się, natenczas s czapraka
 Blask bije, jakby złoto kapało z rumaka,
 Bo tabenki są gęsto złotem nakrapiane,
 I szerokie strzemiona srebrne pozłacane;
 Na rzemieniach musztuka i na uździenicy
 Połyskają guziki perłowej macicy,
 U napierśnika wisi księżyc w kształt Leliwy,
 To jest w kształt nowiu. Cały ten sprzęt osobliwy,
 Zdobyty (jak wieść) niesie w boju Podhajeckim
 Na jakimś bardzo znacznym szlachcicu tureckim,
 Przyjm Assesorze w dowód mojego szacunku.

 A na to rzekł Assesor wesoł s podarunku:

Ja niegdyś darowan od Księcia Sanguszkii
 Stawiłem w zakład moje prześliczne obróżki,
 Jaszczurem wykładane s kołcami ze złota,
 I utkaną z jedwabiu smycz, której robota
 Równie droga jak kamień co się na niej świeci.
 Chciałem sprzęt ten zostawić w dziedzictwie dla dzieci;
 Dzieci pewnie mieć będą, wiesz że się dziś żenię;
 Ale ten sprzęt Rejencie, proszę uniżenie
 Bądź łaskaw przyjąć w zamian za twój rząd bogaty,
 I na pamiątkę sporu, co długimi laty
 Toczył się, i nareszcie zakończył zaszczytnie
 Dla nas obu — Niech zgoda między nami kwitnie.

Więc wracali do domu oznajmić za stołem,
 Że się skończył spór między Kusym i Sokołem.

Była wieść, że zająca tego Wojski w domu
 Wyhodował i w ogród puścił pokryjomu,
 Ażebyszczwaczów zgodzić zbyt ławą zdobyczą.
 Staruszek tak swą sztukę zrobił tajemniczo,
 Że oszukał zupełnie całe Soplicowo.
 Kuchcik w lat kilka później szepnął o tém słowo,
 Chcąc Assesora skłócić z Rejentem na nowo;

Ale próżno krzywdzące chartów wieści szerzył,
Wojski zaprzeczył, i nikt kucheie niewierzył.

Już goście zgromadzeni w wielkiej zamku sali,
Czekając uczyły w koło stołu rozmawiali,
Gdy Pan Sędzia w mundurze Wojewódzkim wchodzi,
I Pana Tadeusza z Zofią przywodzi.
Tadeusz lewą dłonią dotykając głowy,
Pozdrowił swych dowódców, przez ukłon wojskowy.
Zofia z opuszczonem ku ziemi wejrzeniem,
Zapłoniwszy się, gości witała dygnieniem;
(Od Telimeny pięknie dygać wyuczona.)
Miała wianek na głowie jako narzeczona,
Z resztą ubior ten samy w jakim dziś w kaplicy
Składała snop wiosenny dla Boga Rodzicy.
Ujęła znów dla gości nowy snopek ziela;
Jedną ręką zeń kwiaty i trawy rozdziela,
Drugą swój sierp błyszczący poprawia na głowie:
Brali ziółka całując jej ręce wodzowie.
Zosia znowu dygała w koleż zapłonią.

W tém Jenerał Kniaziewicz wziął ją za ramiona,

I złożywszy ojcowski całus na jej czole,
Podniósł w górę dziewczynę, postawił na stole:
A wszyscy klaszcząc w dłonie zawołali brawo!
Zachwyceni dziewczyny urodą, postawą,
A szczególniej jej strojem Litewskim, prostaczym;
Bo dla tych wodzów, którzy w swém życiu tułaczym
Tak długo błakali się w obcych stronach świata,
Dziwne miała powaby narodowa szata,
Która im wspominała i młode ich lata
I dawne ich miłostki; więc ze łzami prawie
Skupili się do stołu, patrzyli ciekawie.
Ci proszą aby Zosia wzniosła nieco czoło
I oczy pokazała, ci ażeby w koło
Raczyła się obrócić — dziewczyna wstydliva
Obraca się lecz oczy rękami zakrywa.
Tadeusz patrzył wesoł i zacierał ręce.

Czy ktoś Zosi poradził wyjść w takiej sukience,
Czy instynktem wiedziała (bo dziewczyna zgadnie)
Zawsze instynktem, co jej do twarzy przypadnie)
Dostyc że Zosia piérwszy raz w życiu dziś z rana
Była od Telimeny za upor łajana,

Niechając modnego stroju, aż wymogła płaczem
 Że ją tak zostawiono, w ubraniu prostaczem.

Spodniczkę miała długą, białą; suknię krótką
 Z zielonego kamlotu z różową obwódką;
 Gorset także zielony, różowemi wstęgi
 Od łona aż do szyi sznurowany w pęgi;
 Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.
 Od ramion świecą białe rękawy koszuli,
 Jako skrzydła motyle do lotu wydęte,
 U dłoni skarbowane i wstążką opięte;
 Szyja także koszulką obcisłona wąską,
 Kołnierzyk zadzierzgniony różową zawiąską;
 Zauszniczki wyrzuńnię sztucznie s pestek wiszni,
 Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni
 (Były tam dwa serduszka z grotami i płomykiem
 Dane dla Zosi, gdy Sak był jej zalotnikiem);
 Na kołnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu,
 Na skroniach zielonego wianek rozmarynu,
 Wstążki warkoczów Zosia rzuciła na barki,
 A na czoło włożyła zwyczajem żniwiarki
 Sierp krzywy, świeżym żęciem traw oszlifowany,
 Jasnym, jak nów miesięczny nad czołem Dyany.

Wszyscyę chwałą, klaskają. Jeden z officerów
 Dobył s kieszeni *portefeuille* s plikami papierów,
 Rozłożył je, ołówkę przyciął, w ustach zmoczył,
 Patrzy w Zosię, rysuje. Ledwie Sędzia zoczył
 Papiery i ołówki, poznał rysownika,
 Choć go bardzo odmienił mundur pułkownika,
 Bogate szlify, mina prawdziwie ułańska,
 I wąsik poczerniony i bródka hiszpańska.
 Sędzia poznał: Jak się masz mój Jaśnie Wielmożny
 Hrabio, i w ładownicy masz twój sprzęt podróży
 Do malarstwa! — W istocie był to Hrabia młody,
 Nie dawny żołnierz, lecz że wielkie miał dochody
 I swoim kosztem cały pułk jazdy wystawił
 I w pierwszej zaraz bitwie wybornie się sprawił,
 Cesarz go półkownikiem dziś właśnie mianował:
 Więc Sędzia witał Hrabie i rangi winszował,
 Ale Hrabia nie słucał, a pilnie rysował.

Tym czasem weszła druga para narzeczona:
 Assesor niegdyś Cara, dziś Napoleona
 Wierny sługa; żandarmów oddział miał w komedzie,
 A choć ledwie dwadzieścia godzin był w urzędzie,

Już włożył mundur siny s Polskiem i wyłogi
 I ciągnął krzywą szablę i dzwonił w ostrogi.
 Obok poważnym krokiem szła jego kochanka
 Ubrana bardzo strojnie, Tekla Hreczeszanka ;
 Bo Assesor już dawno Telimenę rzucił,
 I aby tę kokietkę tém mocniej zasmucił,
 Ku Wojszczance affekty serdeczne obrócił.
 Panna nie nadto młoda, już pono pół-wieczna,
 Lecz gospodyni dobra, osoba stateczna
 I posażna, bo oprócz swęj dziedzicznej wioski
 Sumką z daru Sędziego powiększała wnioski.

Trzeciej pary daremnie czekają czas długi.
 Sędzia niecierpliwi się, i wysyła sługi;
 Wracają: powiadają że trzeci małżonek
 Pan Rejent, szczując kota, zgubił swój pierścionek
 Słubny, szuka na łące; a Rejenta dama
 Jeszcze u gotowalni, choć spieszy się sama
 I choć jęj pomagają słuźebne kobiety,
 Nie mogła w żaden sposób skończyć toalety :
 Ledwie będzie gotowa na godzinę czwartą.

KSIĘGA DWUNASTA.

KOCHAJMY SIĘ.

TREŚĆ.

Ostatnia Uczta staropolska — Arcy-serwis — Objasnienie jego figur —
Jego ruchy — Dąbrowski udarowany — Jeszcze o Szczyrzyku —
Kniaziwicz udarowany — Pierwszy akt urzędowy Tadeusza
przy objęciu dziedzictwa — Uwagi Gerwazego — Kon-
cert nad koncertami — Polonez — Kochajmy się!

Nakoniec s trzaskiem, sali drzwi na wściąg otwarto.
Wchodzi Pan Wojski w czapce i z głową zadartą,
Nie wita się i miejsca za stołem nie bierze,
Bo Wojski występuje w nowym charakterze
Marszałka dworu; laskę ma na znak urzędu,
I tą laską s kolei jako mistrz obrzędu,

Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.
 Naprzód, jako najpierwsza Województwa władza,
 Podkomorzy-Marszałek wziął miejsce zaszczytne,
 Ze słońciowym poręczem krzesło aksamitne,
 Obok na prawej stronie Jenerał Dąbrowski,
 Na lewej siadł Kniaziwicz, Pac i Małachowski.
 Śród nich Podkomorzyna, dalej inne panie,
 Officerowie, Pany, szlachta i ziemianie,
 Mężczyźni i kobiety na przemian po parze
 Usiadają porządkiem gdzie Wojski ukaże.

Pan Sędzia skłoniwszy się opuścił biesiadę;
 On na dziedzińcu włościach traktował gromadę,
 Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długi,
 Sam siadł na jednym końcu, a Pleban na drugim.
 Tadeusz i Zofia do stołu nie siedli,
 Zajęci częstowaniem włościach, chodząc jedli.
 Starożytny był zwyczaj, iż dziedzice nowi
 Na pierwszej uczcie sami służyli ludowi.

Tymczasem goście potraw czekający w sali,
 Z zadziwieniem na wielki serwis poglądali,

Którego równie drogi kruszec jak robota.
 Jest podanie, że Książę Radziwiłł-Sierota
 Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić,
 I wedle własnych planów po polsku ozdobić.
 Serwis potem zabrany czasu wojny szwedzkiej
 Przeszedł, niewiedzieć jaką drogą, w dom szlachecki,
 Dziś ze skarbca dobytey zajął środek stoła
 Ogromnym kręgiem, naksztaft karetnego koła.

Serwis ten był nalany ode dna po brzegi
 Piankami i cukrami białymi jak śniegi,
 Udawał przewybornie krajobraz zimowy;
 W środku czerniał ogromny bór konfiturowy,
 Stronami domy, niby wioski i zaścianki,
 Okryte zamiast sronu, cukrowemi pianki;
 Na krawędziach naczynia, stoją dla ozdoby,
 Niewielkie s porcelany wydęte osoby
 W Polskich strojach; jakoby aktory na scenie,
 Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;
 Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,
 Tylko głosu im braknie, z resztą gdyby żywe.

Cóż przedstawiają? goście pytali ciekawi,
 Zaczém Wojski podnosi laskę i tak prawi:
 (Tymczasem podawano wódkę przed jedzeniem)
 — Za mych Wielce Mościwych Panów pozwoleniem:
 Te persony których tu widzicie bez liku,
 Przedstawiają Polskiego historyą sejmiku,
 Narady, wotowanie, tryumfy i waśnie,
 Sam tę scenę odgadłem i Państwu objaśnię.

Oto na prawo widać liczne szlachty grono:
 Pewnie ich przed sejmikiem na ucztę sproszono,
 Czekają nakryty stół; nikt gości nie sadza,
 Stoją kupkami, każda kupka się naradza.
 Patrzcie iż w każdej kupce stoi w środku człowiek,
 S którego ust otwartych, s podniesionych powiek,
 Rąk niespokojnych, widać — mówca, coś tłumaczy,
 I palcem *explikuje* i na dłoni znaczy.
 Ci mowcy zalecają swoich kandydatów
 Z różnym skutkiem; jak widać z miny szlachty bratów.

W prawdzie tam w drugiej kupie szlachta pilnie słuca,
 Ten ręce za pas zatknął i przyłożył ucha,

Ów dłoń przy uchu trzyma, i milczkiem wąż kręci,
 Zapewne słowa zbiera i niżej w pamięci;
 Cieszy się mowca widząc że są nawróceni,
 Gładzi kieszeń, bo kreski ich już ma w kieszeni.

Lecz za to w trzecim gronie dzieje się inaczej:
 Tu mówca musi łowić za pasy słuchaczy,
 Patrzcie, wyrrywają się i cofają uszy;
 Patrzcie jako ten słuchacz od gniewu się puszy,
 Wznosił ręce, grozi mówcy, usta mu zatyka,
 Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika;
 Ten drugi pochyliwszy czoło naksztął byka,
 Powiedziałbyś że mówcę pochwyci na rogi,
 Ci biorą się do szabel, tamci poszli w nogi.

Jeden między kupkami szlachcie cichy stoi,
 Widac że człek bezstronny, waha się i boi,
 Za kim dać kreskę! nie wie i sam s sobą w walce,
 Pyta losu, wznosił ręce, wytknął wielkie palce,
 Zmrużył oczy, paznokciem do paznokcia mierzy,
 Widać że kreskę swoją kabale powierzy;
 Jeśli palce trafią się, da afirmatywę,

A jeżeli się chybią, rzuci negatiwę.

Na lewej druga scena; refektarz klasztoru

Obrócony na salę szlacheckiego zboru.

Starsi rzędem na ławach siedzą, młodszy stają

I ciekawi przez głowy w środek zaglądną;

W środku Marszałek stoi, wazon w ręku trzyma,

Liczy gałki, szlachta je pożera oczyma,

Właśnie wytrząsł ostatnią; Woźni ręce wznoszą

I imię obranego urzędnika głoszą.

Jeden szlachcic na zgodę powszechną nie zważa,

Patrz, wytknął głowę oknem s kuchni refektarza,

Patrz jak oczy wytrzeszczył, jak pogląda śmiało,

Usta otworzył, jakby chciał zjeść izbę całą;

Łatwo zgadnąć, że szlachcic ten zawołał: weto! —

Patrzcie jak za tą nagłą do kłótni podnieta,

Tłoczy się do drzwi ciżba, pewnie idą w kuchnię,

Dostali szable, pewnie krwawy bój wybuchnie.

Lecz tam na korytarzu, Państwo uważacie

Tego starego księdza co idzie w ornacie,

To Przeor, Sanktissimum z ołtarza wynosi,

A chłopiec w komży dzwoni i na ustęp prosi;

Szlachta wnet szable chowa, żegna się i klęka,

A ksiądz tam się obraca gdzie jeszcze broń szczeka,

Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi.

Ach! wy niepamiętacie tego Państwo młodzi!

Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej,

Zbrojnej, nietrzeba było policyi żadnej;

Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,

Była wolność s porządkiem i z dostatkiem sława!

W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,

Policyantów różnych, żandarmów, konstabów.

Ale jeśli niecz tylko bezpieczeństwa strzeże,

Żeby w tych krajach była wolność — nie uwierzę.

W tém dzwoniąc w tabakierę, rzekł Pan Podkomorzy:

Panie Wojski, niech Wasze na potem odłoży

Te historye, prawda że sejmik ciekawy,

Ale my głodni, każ Wać przynosić potrawy.

Na to Wojski, skłaniając aż do ziemi łaskę:

Jaśnie Wielmożny Panie, zróbże mi tę łaskę,
 Zaraz dokończę scenę ostatnią sejmików;
 Oto nowy Marszałek na ręku stronników
 Wyniesion z refektarza, patrz, jak szlachta braty,
 Rzucają czapki, usta otwarli, — wiwaty!
 A tam po drugiej stronie Pan przekręskowany
 Sam jeden, czapkę wcisnął na łeb zadumany,
 Żona przed domem czeka, zgadła co się dzieje,
 Biedna! oto na ręku pokojowej mdleje,
 Biedna! Jaśnie Wielmożnej tytuł przybrać miała,
 A znów tylko Wielmożną na lat trzy została!

Tu Wojski skończył opis, i łaską znak daje,
 I wnet zaczęli wchodzić parami lokaje
 Roznoszący potrawy; barszcz królewskim zwany,
 I rosół staro - polski sztucznie gotowany,
 Do którego Pan Wojski z dziwnymi sekretami
 Wrzucił kilka perełek i sztukę monety,
 Taki rosół krew czyści i pokrzepia zdrowie —
 Dalej inne potrawy, a któż je wypowie!
 Kto zrozumie nieznaną już za naszych czasów,
 Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,

Z ingrediencyami pomuchł, figatelów,
 Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunellów;
 Owe ryby! Łososie suche, dunajeckie,
 Wyżyny, kawiary weneckie, tureckie,
 Szczuki główne i szczuki podgłówne, Łokietne,
 Flądry, i karpie ćwiki i karpie szlachetne!
 W końcu sekret kucharski: ryba nie krojona,
 U głowy przysmażona, we środku pieczona,
 A mająca potrawkę s sosem u ogona.

Goście ani pytali nazwiska potrawy,
 Ani ich zastanowił ów sekret ciekawy,
 Wszystko prędko z żołnierskim jedli apetytem,
 Kieliszki napełniając węgrzynem obfitym.

Ale tymczasem, wielki serwis barwę zmienił,
 I odarty ze śniegu już się zazielenił,
 Bo lekka, ciepłem letniem powoli rozgrzana
 Rostopiła się lodu cukrowego piana,
 I dno odkryła, dotąd zatąjone oku;
 Więc krajobraz przedstawił nową porę roku,
 Zabłyśnąwszy zieloną, różnofarbną, wiosną.

Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosną,
 Pszenicy szafranowej buja kłos złocisty,
 Żyto ubrane w srebra malarskiego listy,
 I gryka wyrabiana sztucznie s czekolady,
 I kwitnące gruszkami i jabłkami sady.

Ledwie mają czas goście darów lata użyć
 Darmo proszą Wojskiego żeby je przedłużyć,
 Już serwis jak planeta koniecznym obrotem,
 Zmienia porę, już zboża malowane złotem,
 Nabrawszy ciepła w izbie powoli topnieją,
 Już trawy pożółkniały, liścia czerwienieją,
 Sypią się, rzekłbyś iż wiatr jesienny powiewa,
 Nakoniec owe chwilę przedtym strojne drzewa,
 Teraz jakby odarte od wichrów i śronu
 Stoją nagie; były to laski cynamonu,
 Lub udające sosnę gałąski wawrzynu,
 Odziane zamiast kolców ziarenkami kminu —

Goście pijący wino, zaczęli gałąski
 Pnie i korzenie zrywać i gryść dla zakąski.
 Wojski obchodził serwis i pełen radości,

Tryumfujące oczy obracał na gości.

Henryk Dąbrowski udał wielkie zadziwienie
 I rzekł: mój Panie Wojski, czy to Chińskie cienie?
 Czy to Pinety Panu dał w służbę swe bisy?
 Czy dotąd u was w Litwie są takie serwisy
 I wszyscy takim starym uczują zwyczajem?
 Powiedz mi, bo ja życie strawiłem za krajem.

Wojski rzekł kłaniając się: Nie, Jaśnie Wielmożny
 Jenerale, nie jest to żaden kunszt bezbożny!
 Jest to pamiątka tylko owych biesiad sławnych,
 Które dawano w domach panów starodawnych,
 Gdy Polska używała szczęścia i potęgi!
 Com zrobił, tom wyczytał s tej tu oto księgi.
 Pytasz czy wszędzie w Litwie ten się zwyczaj chowa,
 Niestety! już i do nas wchodzi moda nowa.
 Nie jeden Panicz krzyczy że nie eierpi zbytów,
 Jje jak żyd, skąpi gościom potraw i napitków,
 Węgrzyna pożałuje, a pije szatańskie
 Fałszywe wino modne moskiewskie szampańskie;
 Potém w wieczor na karty tyle złota straci,

Że za nie dałbyś ucztę na stu szlachty braci,
 Nawet (bo co na sercu mam, dziś powiem szczerze,
 Niech tego Podkomorzy za złe mi nie bierze)
 Kiedym ten serwis cudny ze skarbeca dobywał,
 To nawet Podkomorzy i on mnie przedrwiwał!
 Mówiąc że to machina zmusna, staroświecka,
 Że to ma pozor niby zabawki dla dziecka
 Nieprzyzwoitej dla tak znakomitych ludzi!
 Sędzio! i Sędzia mówił że to gości znudzi!
 A przecież ile wnoszę s Panów zadziwienia,
 Widzę iż ten kunszt piękny, godzien był widzenia!
 Niewiem czy się podobna okazya zdarzy
 Częstować w Soplicowie takich dignitarzy.
 Widzę że Pan Jenerał na biesiadach zna się,
 Niechaj przyjmie tę książkę, ona Panu zda się
 Gdy będziesz dla monarchów zagranicznych grona
 Dawał ucztę, ba nawet dla Napoleona.
 Ale pozwól nim księgę tę Panu poświęcę,
 Niech powiem jakim trafem wpadła w moje ręce.

W tém szmer powstał za drzwiami, razem głosów wiele
 Zawołało: niech żyje Kurek na kościele!

Ciżba tłoczy się w salę, a Maciej na czele,
 Sędzia gościa za rękę do stołu prowadził,
 I wysoko pomiędzy wodzami posadził,
 Mówiąc: Panie Macieju, niedobry sąsiedzie,
 Przyjeżdżasz bardzo późno, prawie po obiedzie.
 — Jem wcześniej, rzekł Dobrzyński, ja tu nie dla jadła
 Przybyłem, tylko że mnie ciekawość napadła,
 Obejrzed z bliska naszą armię narodową,
 Wieleby gadać — jest to ani to ni owo!
 Szlachta mnie obaczyła i gwałtem tu wiedzie,
 A Waszeć za stół sadzasz — dziękuję sąsiedzie —
 To wyrzekłszy, przewrócił talerz dnem do góry
 Na znak że jeść niebędzie, i milczał ponury.

— Panie Dobrzyński, rzekł mu Jenerał Dąbrowski,
 Tyż to jesteś ów sławny rębacz Kościuszkowski,
 Ów Maciej, zwany Różga! znam ciebie ze sławy.
 I proszę, takiś dotąd czerstwy, taki żwawy!
 Ileż to lat minęło! Patrz, jam się podstarzał,
 Patrz i Kniaziewiczowi już się włos poszarzał,
 A ty jeszcze z młodszymi mógłbyś pójść w zapasy.
 I różga twoja kwitnie pono jak przed czasy;

Słyszałem, żeś niedawno Moskalów oćwicył.
 Lecz gdzie są bracia twoi? Niezmierniebym życzył
 Widzieć te scyzoryki i te wasze brzytwy,
 Ostatnie exemplarze starodawnéj Litwy.
 — Jenerale, rzekł Sędzia, po owém zwycięstwie,
 Prawie wszyscy Dobrzyńscy schronili się w Księstwie,
 Zapewne do którego weszli legionu.
 — W istocie, odpowiedział młody Szef szwadronu,
 Mam w drugiej kompanii wasate straszdyło
 Wachmistrza Dobrzyńskiego, co się zwie Kropidło,
 A mazury zowią go Litewskim niedźwiedziem.
 Jeśli Jenerał każe, to go tu przywiedziem.
 — Jest, rzekł Porucznik, kilku innych rodem z Litwy,
 Jeden żołnierz znajomy pod imieniem Brzytwy,
 I drugi co s tromblonem jeździ na flankiery,
 Są także w półtku strzelców dwa grenadiery
 Dobrzyńscy.

— Ale, ale o ich naczelniku,
 Rzekł Jenerał, chcę wiedzieć o tym Scyzoryku,
 O którym mnie Pan Wojski tyle prawił cudów,
 Jakby o jednym z owych dawnych wielkoludów.

— Scyzoryk, rzeczce Wojski, choć nie exulował,
 Ale bojąc się śledztwa, przed Moskwą się schował,
 Całą zimę nieborak tułał się po lasach,
 Teraz dopiero wyszedł; w tych wojennych czasach
 Mógłby się na co przydać, jest rycerskim człekiem,
 Szkoda tyko, że trochę przyciśniony wiekiem.
 Lecz owóż on!... Tu Wojski palcem wskazał w sieni
 Gdzie czeladź i wieśniacy stali natłoczeni.
 A nad wszystkich głowami łysina błyszcząca,
 Ukazała się nagle jak pełnia miesiąca,
 Trzykroć weszła i trzykroć znikła w głów obłoku,
 Klucznik idąc kłaniał się, aż dobył się s tłoku,
 I rzekł:

Jaśnie Wielmożny Koronny Hetmanie
 Czy Jenerale, mniejsza o tytułowanie,
 Jam jest Rębajło, staję na tve zawołanie
 S tym moim scyzorykiem, który nie z oprawy
 Ani z napisów, ale z hartu nabył sławy,
 Że nawet o nim Jaśnie Wielmożny Pan wiedział.
 Gdyby on gadać umiał, możeby powiedział
 Cokolwiek na pochwałę i téj staréj ręki,

Która służyła długo, wiernie Bogu dzięki,
 Ojezyźnie, tudzież Panów Horeszków rodzinie,
 Czego pamięć dotychczas między ludźmi sływie.
 Mopanku! rzadko który pisarz prowentowy
 Tak zręcznie temperuje pióra jak on głowy,
 Długo liczyć! A nosów i uszu bez liku!
 A niema żadnej szecerby na tym scyzoryku
 I żaden go nie splamił zbojecki uczynek;
 Tylko otwarta wojna, albo pojedynek.
 Raz tylko! Panie daj mu wieczny odpoczynek,
 Bezbronnego człowieka, niestety, sprzątniono!
 A i to Bóg mi świadkiem, pro publico bono.

— Pokażno, rzekł śmiejąc się Jenerał Dąbrowski,
 A to piękny scyzoryk, istny miecz katowski! —
 I z zadziwieniem wielki rapier opatrywał
 I innym officerom w kolej pokazywał;
 Probowali go wszyscy, ale ledwie który
 Z officerów, mógł podnieść ten rapier do góry.
 Mówiono że Dembiński sławny ręki siłą
 Podźwignąłby szablicę, lecz go tam niebyło.
 Z obecnych zaś, tylko szef szwadronu Dwernicki

I dowódca plutonu Porucznik Różycki,
 Potrafili obracać tym żelaznym dramięt:
 I tak rapier na próbę szedł z rąk do rąk ciągiem.

Lecz Jenerał Kniaziewicz wzrostem najsłuszniejszy
 Pokazało się iż był w ręku najsilniejszy,
 Ująwszy rapier lekko jakby szpadę dźwignął
 I nad głowami gości błyskawicą mignął,
 Przypominając Polskie fechtarskie wykręty,
Krzyżową sztukę, młyńca, cios krzywy, raz cięty,
Cios kradziony, i tempy kontrapunktów, tercetów,
 Które też umiał, bo był ze szkoły kadetów.

Gdy śmiejąc się fechtował, Rębajło już klęczał,
 Objął go za kolana i ze łzami jęczał;
 Za każdym zwrotem miecza — pięknie! Jenerale
 Czyś był konfederatem? pięknie, doskonale!
 To sztych Puławskich! tak się Dzierżanowski składał,
 To sztych Sawy! Któż Panu tak rękę układał,
 Chyba Maciej Dobrzyński! a to? Jenerale
 Mój wynalazek, dalbóg mój, ja się niechwałę,
 To cięcie znane tylko w Rębajłów zaścianku,

Od mojego imienia zwane *Cios mopanku*,
 Któż to Pana nauczył? to jest moje cięcie.
 Moje! — Wstał, Jenerała porwawszy w objęcie.
 — Teraz umrę spokojny! jest przecie na świecie
 Człowiek, który przytuli moje drogie dziecko;
 Bo wszak na tym oddawna dzień i noc boleję,
 Czy po śmierci ten rapier mój nie zerdzewieje!
 Otoż nie zerdzewieje! Mój Jaśnie Wielmożny
 Jenerale, wybacz mi, porzućcie te różny
 Niemieckie szpadki, to wstyd szlacheckiemu dziecku
 Nosić ten kijek; weźmij szablę po szlachecku,
 Oto ten mój scyzoryk u nóg twoich składam,
 To jest co najdroższego na świecie posiadam,
 Niemiałem nigdy żony, niemiałem dziecięcia,
 On był żoną i dzieckiem; z mojego objęcia
 Nigdy on niewychodził; od rana do mroku
 Pieściłem go, on w nocy sypiał przy mym boku!
 A kiedym się zestarzał, nad łóżkiem na ścianie
 Wisiał, jako nad żydem boże przykazanie!
 Myślałem zakopać go razem z ręką w grobie,
 Lecz znalazłem dziedzica — Niechaj służy Tobie!

Jenerał w pół śmiejąc się a na w pół wzruszony,
 Kolego, rzekł, jeżeli ustąpisz mnie żony
 I dziecka, to zostaniesz przez resztę żywota
 Bardzo samotny, stary, wdowice i sierota!
 Powiedz, czém ci ten drogi dar mam wynagrodzić,
 I czém twoje sieroctwo i wdowstwo osłodzić!
 — Czy ja Cybulski? rzece na to Klucznik z żalem,
 Co żonę przegrał, grając w Maryasza z Moskałem,
 Jak o tém pieśń powiada — Ja mam dosyć na tém
 Że mój scyzoryk jeszcze zabłyśnie przed światem
 W takim ręku — Niech tylko Jenerał pamięta,
 Aby tasiemka była długa rozciągnięta,
 Bo to długie; a zawsze od lewego ucha
 Ciąć oburącz, to przetniesz od głowy do brzucha.

Jenerał wziął scyzoryk, lecz że bardzo długi,
 Niemógł nosić, w furgonie schował go sługi.
 Co się z nim stało, różnie powiadają o tém,
 Lecz nikt pewnie niewiedział ni wtenczas ni potem
 Dąbrowski rzekł do Maćka: A ty co Kolego?
 Zdaje się że ty nie rad s przybycia naszego?

Milczysz kwaśny ? i jakże serce ci nie skacze,
 Gdy widzisz orły złote, srebrne? gdy trębacze
 Pobudkę Kościuszkowską trąbią ci nad uchem?
 Maćku! myślałem że ty większym jesteś zuchem;
 Jeśli szabli nie weźmiesz i na koń niesiedziesz,
 Przynajmniej s kolegami wesoło pić będziesz
 Zdrowie Napoleona i Polski nadzieje!

— Ha! rzekł Maciej, słyszałem, widzę co się dzieje!
 Ale Panie dwóch orłów razem się nie gnieździ!
 Łaska Pańska Hetmanie, na pstrym koniu jeździ!
 Cesarz wielki bohater! gadać o tém wiele!
 Pamiętam że Puławscy moi przyjaciele
 Mawiali pogładając na Dymuriera,
 Że dla Polski, Polskiego trzeba bohatera,
 Nie Francuza ani też Włocha, ale Piasta,
 Jana albo Józefa, lub Maćka — i basta.
 Wojsko! mówią że polskie! lecz te fizyliery,
 Sapery, grenadiery i kanoniery!
 Więcej słyhać niemieckich tytułów w tym tłumie
 Niżeli narodowych! Kto to już zrozumie!
 A muszą też być z wami turki czy tartary

Czy szymatyki, co ni Boga ani wiary:
 Sam widziałem, kobiety w wioskach napastują,
 Przechodniów odzierają, kościoły rabują!
 Cesarz idzie do Moskwy! daleka to droga
 Jeśli Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga,
 Słyszałem że już podpadł pod klątwy biskupie;
 Wszystko to jest... Tu Maciej chleb umoczył w supie
 I jedząc nie dokończył ostatniego słowa.

Nie w smak Podkomorzemu poszła Maćka mowa,
 Młodzię zaczęła szemrać; Sędzia przerwał swary,
 Głosząc przybycie trzeciej narzeczonej pary.

Był to Rejent, sam siebie Rejentem ogłosił,
 Nikt go niepoznał; dotąd Polskie suknie nosił,
 Lecz teraz Telimena, przyszła żona; zmusza
 Warunkiem intercyzy, wyrzec się kontusza;
 Więc się Rejent rad nie rad po francusku przebrał.
 Widno że mu frak duszy połowę odebrał,
 Stapa jakby kij połknął, prosto, nie ruchawo,
 Jak żóraw; nie śmie spojrzeć ni w lewo ni w prawo;
 Mina gęsta, lecz z miny widać że jest w męce,

Nie wie jak się pokłonić, gdzie ma podziąć ręce,
 On co tak gesty lubił! ręce za pas sadził —
 Nie masz pasa — tylko się po żółądku gładził;
 Postrzegł omyłkę; bardzo zmieształ się, spiekł raka,
 I ręce obie schował w jedną kieszeń fraka.
 Idzie jakby przez różgi wśród szeptów i drwinek,
 Wstydząc się za frak jakby za niecny uczynek;
 Aż spotkał oczy Maćka, i zadrżał z bojaźni.

Maciej dotąd z Rejentem żył w wielkiej przyjaźni,
 Teraz wzrok nań obrócił tak ostry i dziki
 Że Rejent zbladnął, zaczął zapinać guziki,
 Myszając że Maciej wzrokiem suknie z niego złupi;
 Dobrzyński tylko dwakroć wyrzekł głośno: głupi!
 I tak strasznie zgorszył się z Rejenta przebrania
 Że zaraz wstał od stołu, i bez pożegnania
 Wymknąwszy się, wsiadł na koń, wrócił do Zaścianka.

A tymczasem Rejenta nadobna kochanka,
 Telimena, roztacza blaski swój urody,
 I ubior od stóp do głów co najświeższej mody.
 Jaką miała sukienkę, jaki strój na głowie,

Daremnie pisać, pióro tego nie wypowie,
 Chyba pędzelby skryślił te tiule, ptyfenie,
 Blondyny, kaszemiry, perły i kamienie
 I oblicze różane i żywe wejrzenie.

Poznał ją zaraz Hrabia, z zadziwienia blady
 Wstał od stołu i szukał kogoś siebie szpady,
 — I tyżes to! zawołał, czy mnie oczy łudzą?
 Ty? w obecności mojej? ściskasz rękę cudzą?
 O niewierna istoto, o duszo zmiennicza!
 I nie skryjesz ze wstydu pod ziemię oblicza?
 Takeś twojej tak świeżej nie pomna przysięgi?
 O łatwowierny! pocóż nosiłem te wstęgi!
 Lecz biada rywalowi, co mię tak znieważa!
 Po moim chyba trupie pójdzie do ołtarza!

Goście powstali, Rejent okropnie się zmieształ,
 Podkomorzy rywalów zagodzić pośpieszał,
 Lecz Telimena wzięwszy Hrabiego na stronę,
 Jeszcze, szepnęła, Rejent nie wziął mię za żonę,
 Jeżeli Pan przeszkadzasz, odpowiedź na to,
 A odpowiedz mi zaraz, krótko, węzłowato:

Czy mnie kochasz, czyś dotąd serca nie odmienił,
 Czy gotów żebys zemną zaraz się ożenił,
 Zaraz, dziś? — jeśli zechcesz odstąpię Rejenta, —
 — Hrabia rzekł: O kobieto dla mnie niepojęta!
 Dawniej w uczuciach twoich byłaś poetyczną,
 A teraz mi się zdajesz całkiem prozaiczną,
 Cóż są wasze małżeństwa, jeśli nie łańcuchy,
 Które związują tylko ręce a nie duchy?
 Wierzaj, są oświadczenia, nawet bez wyznania,
 Są obowiąski nawet bez obowiązania!
 Dwa serca pałające na dwóch końcach ziemi,
 Rozmawiają jak gwiazdy promieniami drżącemi,
 Kto wie! może dla tego ziemia tak do słońca
 Dąży, i tak jest zawsze miłą dla miesiąca,
 Że wiecznie patrzą na się, i najkrótszą drogą
 Biegą do siebie! ale zbliżyć się nie mogą!
 — Dość już tego, przerwała, nie jestem planetą
 Z łaski bożej, dość Hrabio, ja jestem kobietą,
 Już wiem resztę, przestań mi pleść ni to ni owo.
 Teraz ostrzegam, jeśli pśniesz jedno słowo
 Ażeby ślub mój zerwać, to jak Bóg na niebie
 Że s temi paznokciami przyskoczę do ciebie

I... — Niebęde rzekł, Hrabia, szczęścia Pani kłócił —
 I oczy pełne smutku i wzgardy odwrócił,
 I ażeby ukarać niewierną kochankę,
 Za przedmiot stałych ogniów wziął Podkomorzanke.

Wojski pragnął młodzieńców poróżnionych zgodzić
 Przykładami mądrymi, więc zaczął wywodzić
 Historią o dziku nalibockich lasów,
 I o kłótni Rejtana s Książęciem Denassów,
 Ale goście tymczasem skończyli jeść lody,
 I z zamku na dziedziniec wyszli dla ochłody.

Tam włość już kończy ucztę, krążą miodu dzbany,
 Muzyka już się stroi i wzywa na tany,
 Szukają Tadeusza, który stał na stronie
 I coś pilnego szeptał swojej przyszłej żonie.

« Zofio! muszę ciebie w bardzo ważnej rzeczy
 Radzić się; już pytałem stryja, on nie przeczy.
 Wiesz iż znaczna część wiosek które mam posiadać,
 Wedle prawa na ciebie powinny spaść.
 Ci chłopi są nie moi lecz twoi poddani,

Nie śmiałbym ich urządzić bez woli ich Pani.
 Teraz kiedy już mamy Ojczyznę kochaną,
 Czyliż wieśniacy zyszcą s tą szczęśliwą zmianą
 Tyle tylko, że Pana innego dostaną?
 Prawda że byli dotąd rządzeni łaskawie,
 Lecz po mej śmierci Bóg wie komu ich zostawię;
 Jestem żołnierz, jesteśmy śmiertelni oboje,
 Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję,
 Bspieczniej zrobię kiedy władzy się wyrzekę,
 I oddam los włościanów pod prawa opiekę.
 Sami wolni uczynmy i włościan wolnemi,
 Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi
 Na której się zrodzili; którą krwawą pracą
 Zdobyli, s której wszystkich żywią i bogacą.
 Lecz muszę ciebie ostrzedz że tych ziem nadanie
 Zmniejszy nasz dochod, w miernym musimy żyć stanie.
 Ja przywykłem do życia oszczędnego z młodu,
 Lecz ty Zofio jesteś z wysokiego rodu,
 W stolicy przepędziłaś twoje młode lata,
 Czyż zgodzisz się żyć na wsi? zdaleka od świata!
 Jak ziemianka!

A na to Zosia rzekła skromnie :
 Jestem kobieta, rządy nie należą do mnie,
 Wszakże Pan będziesz mężem ; ja do rady młoda,
 Co Pan urządzisz, na to całym sercem zgoda!
 Jeśli włość uwalniając zostaniesz uboższy,
 To Tadeuszu będziesz sercu memu droższy.
 O moim rodzie mało wiem, i niedbam o to ;
 Tyle pomnę, że byłam ubogą, sierotą,
 Że od Sopliców byłam za córkę przybrana,
 W ich domu hodowana i za mąż wydana.
 Wsi nie lękam się ; jeśli w wielkim mieście żyłam,
 To dawno ; zapomniałam , wieś zawsze lubiłam ;
 I wierz mi, że mnie moje kogutki i kurki
 Więcej bawiły niżli owe Peterburki,
 Jeśli czasem tęskniłam do zabaw, do ludzi,
 To z dzieciństwa, wiem teraz że mnie miasto nudzi ;
 Przekonałam się zimą po krótkim pobycie
 W Wilnie, że ja na wiejskie urodzona życie ;
 Pośród zabaw tęskniłam znów do Soplicowa.
 Pracy też nie lękam się bom młoda i zdrowa,
 Umiem chodzić około domu, nosić klucze ;
 Gospodarstwa, obaczysz, jak ja się wyuczę!

Gdy Zosia domawiała ostatnie wyrazy,
 Podszedł ku niej zdziwiony i kwaśny Gerwazy,
 Już wiem! rzekł, Sędzia mówił już o tej wolności!
 Lecz nie pojmuję co to ściąga się do włości!
 Boję się żeby to coś niebyło z niemiecka!
 Wszak wolność nie jest chłopowska rzecz ale szlachecka!
 Prawda że się wywodzim wszyscy od Adama,
 Ale słyszał że chłopci pochodzą od Chama,
 Żydowie od Jafeta, my szlachta od Sema,
 A więc panujem jako starsi nad obiema.
 Jużci Pleban inaczej uczy na ambonie...
 Powiada że to było tak w starym zakonie,
 Ale skoro Chrystus Pan choć s królów pochodził
 Między żydami w chłopskiej stajni się urodził,
 Odtąd więc wszystkie stany porównał i zgodził;
 Niech i tak będzie, kiedy inaczej nie można!
 Zwłaszcza że jako słyszę, i Jaśnie Wielmożna
 Pani moja Zofia na wszystko się zgadza,
 Jej rozkazać, mnie słuchać, jużci przy niej władza.
 Tylko ostrzegam byśmy wolności nie dali
 Pustej i słownej tylko, jako za Moskali,
 Kiedy Pan Karp' nieboszczyk włością wyswobodził,

A Moskał ich podatkiem potrójnym ogłodził.
 Radzę więc aby chłopów starym obyczajem
 Uszlachcić i ogłosić że im herb nasz dajem.
 Pani udzieli jednym wioskom Półkozica,
 Drugim niech swą Leliwę nada Pan Soplica.
 Natenczas i Rębajło uzna chłopów równym,
 Gdy go ujrzy szlachcicem Wielmożnym, herbownym.
 Sejm potwierdzi.

A niech się mąż Pani nietrwoży,
 Iż oddanie ziem, Państwo tak bardzo zuboży;
 Nie da Bóg, abym rączki córy dygnitarskiej
 Widział umozolone w pracy gospodarskiej.
 Jest na to sposób; — w zamku wiem ja pewną skrzynię,
 W której jest Horeszkowskie stołowe naczynie,
 Przytém, różne sygnety, kanaki, manele,
 Kity bogate, rzędy, cudne karabele,
 Skarbezyk Stolnika, w ziemi skryty od grabieży;
 Pani Zofii jako dziedzicze należy;
 Pilnowałem go w zamku jako oka w głowie,
 Od Moskałów i od was Państwo Soplicowie.
 Mam także spory worek mych własnych talarów,

Uzbieranych z wysługi, tudzież s pańskich darów,
 Myśliłem, gdy nam zamek wróconym zostanie,
 Obrócić grosz na murów wyreperowanie;
 Nowemu gospodarstwu dziś zda się w potrzebie; —
 A więc Panie Sopolco, wnoszę się do ciebie,
 Będę żył u méj Pani na łaskawym chlebie,
 I kołysząc Horeszków pokolenie trzecie,
 Wprawiać do seczoryka Pani mojej dziecie
 Jeśli syn, a syn będzie, bo wojny nadchodzą,
 A w czasie wojny zawsze synowie się rodzą.

Ledwie ostatnie słowa domowił Gerwazy,
 Gdy poważnemi kroki przystąpił Protazy,
 Skłonił się, i wydobył z zanadru kontusza
 Panegiryk ogromny, w pół trzecia arkusza.
 Skomponował go rymem podofficer młody,
 Który niegdys w stolicy sławne pisał ody
 Potem wdział mundur, lecz i w wojsku belletrysta,
 Wiersze rabił — już Woźny przeczytał ich trzysta,
 Aż gdy przyszedł do miejsca: *O ty której wdzięki!*
Budzą bolesną radość i roskoszne męki!
Która na szyk Bellony gdy zwrócisz twarz piękną,

Złamią się wnet oszczepy i tarcze rozpękną,
Zwalcz dziś Marsa Hymenem; srogiéj niezgod hydrze
Niech dłoń twoja sycejące s choła zmije wydrze!
 Tadeusz i Zofia ustawnie klaskali
 Niby chwając, w istocie niechcąc słuchać dalej;
 Już z rozkazu Sędziego Pleban stał na stole
 I ogłaszał włościanom Tadeusza wolę.

Zaledwie usłyszeli nowinę poddani,
 Skoczyli do Panicza, padli do nóg Pani,
 Zdrowie Państwu naszemu! ze łzami krzyknęli,
 Tadeusz krzyknął: Zdrowie Spółobywateli,
 Wolnych, równych, Polaków! — Wnoszę Ludu zdrowie!
 Rzekł Dąbrowski — lud krzyknął, niech żyją Wodzowie,
 Wiwat Wojsko, wiwat Lud, wiwat wszystkie Stany!
 Tysiącem głosów, zdrowia grzmiały na przemiany.

Tylko Buchman radości podzielać nie raczył,
 Pochwalał projekt lecz go radby przeinaczył,
 A naprzód, komissją legalną wyznaczył
 Któraby — Krótkość czasu była na zawadzie
 Że nie stało się zadość Buchmanowej radzie.

Bo na dziedzińcu zamku już stali parami,
 Oficery z damami, Wiara z wieśniaczkami:
 Poloneza! krzyknęli wszyscy w jedno słowo.
 Oficerowie wiodą muzykę wojskową;
 Ale Pan Sędzia w ucho rzekł do Jenerała:
 Każ Pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała,
 Wiesz że dzisiaj synowca mego zaręczyny,
 A dawnym obyczajem jest naszej rodziny,
 Zaręczać się i żenić przy wiejskiej muzyce.
 Patrz stoi Cymbalista, Skrzypak i kozice;
 Poczciwi muzykańci — już się Skrzypak żżyma,
 A Kobeźnik kłania się i żebrze oczyma,
 Jeżeli ich odprawię, biedni będą płakać;
 Lud przy innej muzyce nie potrafi skakać,
 Niechaj ci zaczną, niech się i lud podweseli,
 Potém będziem wybornęj twęj słuhać kapeli. —
 Dał znak.

Skrzypak u sukni zakasał rękawek,
 Scisnął gryf krzepko, oparł brodę o podstawek,
 I smyk jak konia w zawód puścił po skrzypicy.
 Na to hasło stojący obok Kobeźnicy

Jak gdyby w skrzydła bijąc, częstym ramion ruchem
 Dmą w miechy i oblicza wypełniają duchem,
 Myśliłbyś że ta para w powietrze uleci,
 Podobna do pyzatyh Boreasza dzieci:
 Brakło Cymbałów.

Było Cymbalistów wielu,
 Ale żaden z nich nieśmiał zagrać przy Jankielu;
 (Jankiel przez całą zimę niewiedząc gdzie bawił,
 Teraz się nagle z głównym Sztabem Wojska zjawił).
 Wiedzą wszyscy że mu nikt na tym instrumencie
 Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie.
 Proszą ażeby zagrał, podają cymbały,
 Żyd wzbrania się, powiada że ręce zgrubiałły,
 Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
 Kłaniając się umyka; gdy to Zosia widzi,
 Podbiega, i na białej podaje mu dłoni
 Drażki, któremi zwykle mistrz we stróny dzwoni;
 Drugą rączką po siwej brodzie starca głaśka,
 I dygając, — Jankielu, mówi, jeśli łaska,
 Wszak to me zaręczyny, zagrajże Jankielu,
 Wszak nie raz przyrzekałeś grać na mém weselu?

Jankiel niezmiernie Zosię lubił, kiwnął brodą
 Na znak że nieodmawia; więc go w środek wiedą,
 Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
 Kładą mu na kolanach, on patrzy z roskoszą
 I z dumą; jak weteran w służbę powołany,
 Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,
 Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
 Lecz uczuł że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach kłęczą,
 Stroją na nowo stróny i probując brzęczą;
 Jankiel s przymrużonemi na poły oczyma
 Mileczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.

Spuścił je, zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
 Potém gościć sickł stróny jak deszczem nawałnym,
 Dziwią się wszyscy — lecz to była tylko proba,
 Bo wnet przerwał, i w górę podniósł drążki oba.

Znowu gra : już drżą drążki tak lekkimi ruchy
 Jak gdyby zadzwoniło w stronę skrzydła muchy,
 Wydając ciche ledwie słyszalne brzęczenia.

Mistrz zawsze patrzył w niebo czekając natchnienia.
 Spójrzył z góry, instrument dumnym okiem zmierzył,
 Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył,
 Zdumieli się słuchacze —

Razem ze strón wiała

Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
 Ozwała się z dzwonekami z zelami z bębni. —
 Brzmi *Polonez Trzeciego Maja?* — Skoczne dźwięki
 Radością oddychają, radością słuch poją,
 Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu niedostoją —
 Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
 W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
 Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
 Zgodzone z narodem króla fetowali;
 Gdy przy tańcu śpiewano : *Wiwat Krol kochany!*
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża,
 A w tém puścił fałszywy akord jak syk węża,
 Jak zgrzyt żelaza po szkle — przejął wszystkich dreszczem
 I wesołość pomieszał przecuciem złowieszczem.

Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
 Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
 Nie zmylił się mistrz taki! on umyślnie trąca
 Wciąż tę zdradziecką stronę, melodyę zmaça,
 Coraz głośniej targając akkord rozdąsany,
 Przeciwno zgodzie tonów skonfederowany;
 Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
 I krzyknął: znam! znam głos ten! to jest TARGOWICA!
 I wnet pękła ze świstem strona złowróżąca;
 Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmaça,
 Porzuca primy, bieży z drążkami do bassów.

Słysząc tysiące coraz głośniejszych hałasów,
 Takt marszu, wojna, atak, szturm, słysząc wystrzały!
 Jęk dzieci, płacze matek — Tak mistrz doskonały
 Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały,
 Przypominając sobie ze łzami boleści
 Rzeź PRAGI, którą znały s pieśni i s powieści,
 Rade że mistrz nakoniec, strónami wszystkiemi
 Zagrzmał, i głosy zdusił jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,

Znowu muzyka inna — znów, zrazu brzęczenia
 Lekkie i ciche, kilka cienkich strónek jęczy,
 Jak kilka much gdy s siatki wyrwą się pajęczej.
 Lecz strón coraz przybywa, już rozpierchłe tony
 Łączą się i akordów wiążą legiony,
 I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
 Tworząc nótę żałosną tej sławnej piosenki
*O żołnierzu, tułacz, który borem, lasem
 Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
 Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
 A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.*
 Piosenka stara, wojsku Polskiemu tak miła!
 Poznali ją żołnierze, Wiara się skupiła
 W koło mistrza; słuchają, wspominają sobie,
 Ow czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
 Zanocili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
 Przywodzą na myśl długie swęj wędrówki lata,
 Po łądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
 Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
 Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
 Tak rozmyślając smutnie pochyliłi głowy!

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
 Natęża, takty zmienia, coś innego głosi,
 I znowu spójrzał z góry, okiem strony zmierzył,
 Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:
 Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
 Że stróny zadzwoniły jak trąby mosiężne,
 I s trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
 Marsz tryumfalny: *Jeszcze Polska nie zginęła.*
 Marsz Dąbrowski do Polski! — I wszyscy klasnęli,
 I wszyscy Marsz Dąbrowski, chorem okrzyknęli!

Muzyk jakby sam swojej dziwił się piosence,
 Upuścił drążki s palców, podniósł w górę ręce,
 Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
 Powiewała poważnie broda podniesiona;
 Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
 We wzroku ducha pełnym błyszczał żar młodzieńca,
 Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
 Zakrył rękami, s pod rąk łez potok się rzucił,
 Jenerale, rzekł, Ciebie długo Litwa nasza
 Czekwała — długo, jak my Żydzi Messyasza,
 Ciebie prorokowali dawno między ludem

Spiewaki, ciebie niebo obwieściło cudem,
 Żyj i wojuj, o ty nasz!... Mówiąc ciągle szlochał,
 Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał!
 Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
 On czapkę zdjawszy wodza rękę ucałował.

Poloneza czas zacząć — Podkomorzy rusza.
 I z lekka zarzuciwszy wyloty Kontusza
 I wasa pokręcając, podał rękę Zosi,
 I skłoniwszy się grzecznie w pierwszą parę prosi.
 Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi,
 Dano hasło, zaczęto taniec — on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskają buty,
 Bije blask s karabeli, świeci się pas suty,
 A on stąpa powoli, niby od niechcenia;
 Ale s każdego kroku s każdego ruszenia,
 Można tancerza czucia i myśli wyczytać: —
 Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,
 Pochyla ku niej głowę, chce szepnąć do ucha;
 Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha,
 On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,

Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;
 On krok zwalnia, oczyma jej spójrzenia śledzi,
 I zaśmiał się nakoniec — rad z jej odpowiedzi
 Stąpa prędzej, pogląda na rywalów z góry,
 I swą konfederatkę s czaplinemi pióry
 To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
 Aż włożył ją na bakier i pokreślił wąsa —
 Idzie, wszyscy zazdroszczą, bicą w jego ślady,
 Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady;
 Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,
 I żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
 Czasem zamysła zręcznie na bok się uchylić,
 Odmienia drogę, radby towarzyszków zmylić,
 Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty,
 I zewsząd obwijają tanecznemi skręty;
 Więc gniewa się, prawicę na rękojęść składa,
 Jakby rzekł: niedbam o was, zazdrośnikom biada!
 Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku,
 Prosto w tłum; tłum tancerzy nieśmić dostać w kroku,
 Ustępują mu z drogi, — i zniwniejszy szyki,
 Puszcza ją się znów za nim —

Brzmia zewsząd okrzyki:

« Ach to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,
 » Może ostatni co tak Poloneza wodzi! » —
 I szły pary po parach hucznie i wesoło,
 Roskręcało się, znowu skręcało się koło!
 Jak wąż olbrzymi w tysiąc łaniający się zwojów;
 Mieni się cętkowata, różna barwa strojów
 Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca
 Wyzłocona promieniami zachodniego słońca
 I odbita o ciemne murawy węzłowania.
 Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Tylko kapral Dobrzyński Sak, ani kapeli
 Nie słuca, ani tańczy, ani się weseli,
 Ręce w tył założywszy stoi zły, ponury,
 Wspomina swe dawniejsze do Zosi konkury:
 Jak lubił dla niej nosić kwiaty, pleść koszyczki,
 Wybierać gniazda ptasie, robić zauszniczki.
 Niewdzięczna! chociaż tyle pięknych darów strwoił,
 Choć przed nim uciekała, choć mu ojciec bronił!
 On jeszcze! ile razy na parkanie siadał,
 By ją dójrzeć przez okna; w konopie się wkładał

Zeby patrzeć jak ona pleła swe ogródki,
 Rwała ogórki, albo karmiła kogutki.
 Niewdzięczna! Spuścił głowę, i nakoniec świsnął
 Mazurka; potem kaszkiet na uszy nacisnął,
 I szedł w obóz gdzie stała przy armatach warta,
 Tam dla rozerwania zaczął grać w drużbarta
 Z wiarusami, kielichem osładzając żałość.
 Taka była dla Zosi Dobrzyńskiego stałość.

Zosia tańczy wesoło: lecz choć w pierwszej parze,
 Ledwie widna z daleka; na wielkim obszarze
 Zarosłego dziedzińca, w zielonej sukienice
 Ustrojona w równianki i w kwieciste wieńce,
 Śród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem,
 Rządząc tańcem, jak anioł nocnych gwiazd obrotem:
 Zgadniesz gdzie jest, bo ku niej obrócone oczy,
 Wyciągnięte ramiona, ku niej zgiełk się tłoczy.
 Darmo się Podkomorzy zostać przy niej sili,
 Zazdrośnicy już s pierwszej pary go odbili;
 I szczęśliwy Dąbrowski nie długo się cieszył,
 Ustąpił ją drugiemu, a już trzeci śpieszył,
 I ten zaraz odbity, odszedł bez nadziei.

Aż Zosia już strudzona spotkała s kolei
 Tadeusza, i dalszej lękając się zmiany,
 I chcąc przy nim pozostać, zakończyła tany.
 Idzie do stołu gościom nalewać kielichy.

Słońce już gasło, wieczor był ciepły i cichy,
 Okrąg niebios gdzie niegdzie chmurkami zasłany,
 U góry błękitnawy, na zachód różany;
 Chmurki wróżą pogodę, lekkie i świecące,
 Tam jako trzody owiec na murawie śpiące,
 Ówdzie nieco drobniejsze jak stada cyranek.
 Na zachód obłok naksztąpił rąbkowych firanek,
 Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,
 Po brzegach pozłacaony, w głębi purpurowy,
 Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozrzązał,
 Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał:
 Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło,
 I raz ciepłym powiewem westchnąwszy — usnęło.

A szlachta ciągle pije i wiwat wznosi
 Napoleona, Wodzów, Tadeusza, Zosi,
 Wreszcie s kolei wszystkich trzech par zaręczonych,

Wszystkich gości obecnych, wszystkich zaproszonych,
Wszystkich przyjaciół których kto żywych spamięta,
I których zmarłych pamięć pozostała święta!

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał w księgi umieściłem.

KONIEC.

OBJAŚNIENIA.

Zascianek. Nazywają w Litwie *Okolicą* lub *Zasciankiem* osadę szlachecką, dla różnicy od właściwych wsi czyli siół, osad wiejskich.

Str. 15, w. 20. On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu.

Kisiel, potrawa litewska, rodzaj galarety, która się robi z rozczynu owsianego, płóce się wodą aż póki nie oddzieli się wszystkie cząstki mączne; stąd przysłowie.

Str. 23, w. 19 Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały.

Po licznych burdach, pochwycony w Mińsku, i za dekretem Trybunału rozstrzelany.

Str. 26, w. 4. Obwołał pospolite ruszenie przez wici.

Kiedy król miał zgromadzić pospolite ruszenie, roska-

zywał zatykać w każdej parafji drąg wysoki z uwiązaną na wierzchu mietłą czyli wicią. I to się nazywało rozdać wici. Każdy człowiek dorosły, stanu rycerskiego, obowiązany był pod utratą szlachectwa, stawić się natychmiast pod chorągiew Wojewódzka.

Str. 27, w. 18. Brała również przydomki zwane imioniska.

Imioniska są właściwie sobrykety.

Str. 33, w. 3. Bronić Pana Pocięja.

Alexander Hrabia Pocięj, wróciwszy po wojnie do Litwy, wspierał rodaków udających się za granicę, i znaczne summy przesłał do kasy Legionów.

Str. 75, w. 11. Nieco wyżej Dawida Wóz, gotów do jazdy.

Wóz Dawida, konstellacya zwana u Astronomów Ursa major.

Str. 76, w. 11. Podobnie Plehan Mirski zawiesił w Kościele Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Było zwyczajem zawieszać przy kościołach znajdowane

zabytki kości kopalnych, które lud uważa za kości olbrzymów.

Str. 77, w. 3. Był to Kometa pierwszej wielkości i mocy.

Pamiętny Kometa roku 1811.

Str. 78, w. 18. Ksiądz Poczobut, człek sławny, był Obserwatorem.

Ksiądz Poczobut, Ex-jezuita, sławny Astronom, wydał dzieło o Zodyaku w Denderach, i obserwacyami swemi pomógł Lalandowi do obrachowania biegów księżyca. Obżył przez Jana Sniadeckiego.

Str. 83, w. 2. W świecie Księcia był Książę Niemiecki Denassów.

Właściwie Książę de Nassau-Siegen. Sławny podówczas wojownik i awanturnik. Był admirałem moskiewskim i pobił Turków na Lemanie, potem sam na głowę pobity od Szwedów. Bawił czas jakiś w Polsce, gdzie otrzymał indygenat. Pojedynek Księcia de Nassau s tygrysem, brzmiał wówczas po wszystkich gazetach Europejskich.

Str. 124, w. 2. A czy Sędzia, rzekł Major, żółta Księgę czytał.

Żółta Księga, od okładek tak nazwana, księga barbarzyńska praw wojennych rossyjskich. Nieraz w czasie pokoju, rząd ogłasza prowincye całe za będące w stanie wojny i na mocy żółtej księgi oddaje dowódcy wojskowemu zupełną władzę nad majątkami i życiem obywateli. Wiadomo, że od roku 1812 aż do rewolucji Litwa cała podlegała żółtej księdze, której exekutorem był wielki książę Czarwicz.

Str. 138, w. 14. Ciągnie za sobą długie sążniowate drzewo
Uzbrojone w krzemienie i w guzy i sęki.

Maczuga litewska robi się tym sposobem: wypatruje się młody dąb, i nacina się od dołu do góry siekierą tak, ażeby korę i miaskę rozerznawszy drzewo z lekka poranić. W te karby wtykają się ostre krzemienie, które z czasem wrastają w drzewo i tworzą guzy twarde. Maczugi stanowiły za czasów pogańskich główną broń piechoty litewskiej; dotąd używają się niekiedy i zowią się nasiekami.

Str. 169, w. 6. I jak jeden mieszczanin zwany Czarnobacki
Zabił Dejowa i zniósł cały pułk Kozacki.

Po powstaniu Jasińskiego, kiedy Wojska Litewskie ustępowały ku Warszawie, Moskale zbliżyli się do opuszczonego

Wilna. Jeneral Dejow na czele sztabu wjeżdżał przez Ostrą Bramę. Ulice były puste, mieszkańcy zamknęli się w domach. Jeden mieszczanin spostrzegłszy armatę porzuconą w zaułku, kartaczami nabitą, wymierzył ją w bramę i zapalił. Ten jeden wystrzał ocalił wówczas Wilno; jeneral Dejów s kilku officerami zginął, reszta lękając się zasadzki odstąpiła od miasta. Niewiem s pewnością nazwiska onego mieszczanina.

Str. 153, w. 18. Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

Bywały i później jeszcze zajazdy lubo nie tak sławne, dosyć jednak głośne i krwawe. Około roku 1817 Obywatel U... w Województwie Nowogródzkim pobił na zajezdzie cały garnizon Nowogrodzki i dowódców zabrał w niewolę.

Str. 163, w. 5. Ten za bitwę pod Nowi, ten za Preisiz-Iłow.

Zapewne Preusisch-Eylau.

Str. 200, w. 1. Targowiczanie potem chcieli mię zaszczyścić.

Zdaje się że Stolnik zabity został około roku 1791 za czasów pierwszej wojny.

Str. 209.

Wróżby wiosenne. Jeden Historyk rossyjski w podobny sposób opisuje wróżby i przeczecucia ludu moskiewskiego przed wojną 1812.

Str. 210, w. 6. Nie bieгло na ruń.

Ruń jest to zieleńiąca się ozimina.

Str. 211, w. 17. Wszyscy na północ: rzekłbys że w on czas z wyraju.

Wyraj w mowie gminnej znaczy właściwie czas jesienny kiedy ptaki wędrowne odlatują; lecieć na wyraj jest to lecieć w kraje ciepłe. Stąd przenośnie nazywa lud wyrajem, kraje ciepłe i w ogólności jakies kraje bajeczne szczęśliwe, za morzami leżące.

Str. 215, w. 12. Księga ta miała tytuł: Kucharz doskonały.

Książka teraz bardzo rzadka, przed stukilkudziesiąt laty wydana przez Stanisława Czernieckiego.

Str. 215, w. 16. Którym się Ojciec święty Urban ósmy dziwił.

Opisywano wielekroć i malowano ową Legacyą Rzymską. Ob. Kucharz doskonały, przemowa: « Ta legacya wszytkiemu zachodniemu Państwu wielkiem będąc podziwieniem, ogłosiła w rozum nieprzebranego Pana jako i splendor domu i apparament stołu — że jeden s książąt Rzymskich rzekł: Dziś Rzym szczęśliwy mając takiego Posła. » — NB. Czerniecki sam był kuchmistrem Ossolińskiego.

Str. 220, w. 11. Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.

W Litwie za wkroczeniem wojsk francuskich i polskich, zawiązano po Województwach Konfederacye i obrano Posłów na Seym.

Str. 222, w. 1. On to pod Hohenlinden,...

Wiadomo, że pod Hohenlinden korpus polski pod wodztwem Jenerała Kniaziewiczza zdecydował wygrane.

Str. 247, w. 2. Jest podanie że Książę Radziwił-Sierota.

Radziwił-Sierota odbył dalekie podróże i wydał opis peregrynacyi swojej do ziemi świętej.

Str. 253, w. 14. A tymczasem wielki serwis barwę zmienił.

W szesnastym i na początku siedemnastego wieku, w epoce kwitnienia sztuk, uczyły nawet były przez artystów urządzone, pełne symbolów i scen teatralnych. Na sławnej uczcie danej w Rzymie dla Leona X znajdował się serwis przedstawiający s kolei cztery pory roku, który służył zapewne za wzór Radziwiłowskiemu. Zwyczaje stołowe zmieniły się w Europie około połowy wieku osmnastego, w Polsce najdłużej przetrwały.

Str. 255, w. 4. Czyto Pinety Panu dał w służbę swe bisy.

Pinety, sławny na całą Polskę kuglarz, kiedy u nas gościł nie wiemy.

Str. 263, w. 7. Czy ja Cybulski? rzece na to Klucznik z żalem,
Co żonę przegrał grając w marysza z Moskałem.

Znajoma na Litwie pieśń żałośna o Pani Cybulskiej, którą mąż w karty przegrał moskałem.

Str. 265, w. 15. Warunkiem intercyzy wyrzec się kontusza.

Moda przebićrania się w suknie francuskie grassowała na prowincjach od roku 1800 do 1812. Najwięcej młodziecy przebrało się przed ożenieniem na żądanie narzeczonych.

Str. 269, w. 8. I o kłótni Rejtana s ksiąźciem Denassów.

Historja sporu Rejtana s ksiąźciem De Nassau, przez Wojskiego niedoprowadzona do końca, wiadoma jest s tradycyi. Umieszczamy koniec iej kwoli ciekawemu czytelnikowi — Rejtan obruszony przechwałkami ksiąźcia De Nassau, stauął okok niego na przesmyku : właśnie ogromny odyniec rozjuszony strzałami i szczwałnią, leciał na przesmyk. Rejtan wyrzywa ksiąźciu z rąk strzelbę, swoje ciska o ziemię, a ująwszy oszczep i podając drugi Niemcowi « Teraz, rzekł, obaczym kto lepiej robi spisą. » Juź odyniec wpadał, kiedy Wojski Hreczecha o podał stojący, trafny strzałem zwierza powalił. Panowie z razu gniewali się, potem pogodzili się i hojnie wynagrodzili Hreczechę.

Str. 272, w. 22. Kiedy nieboszczyk Pan Karp' chłopów wyswobodził.

Rząd Rossyjski nie uznaje ludzi wolnych prócz Szlachty. Włoscianie przez właściciela uwolnieni, są zaraz zapisywani w skazki dóbr stołowych cesarskich, i zamiast pańszczyzny muszą opłacać podatek zwiększony. Wiadomo, że w roku 1818 Obywatele gubernji Wileńskiej uchwalili na sejmiku projekt uwolnienia wszystkich włosciian, i wyznaczili w tym celu delegacyą do Cesarza; ale Rząd ros-

kazał projekt umorzyć i nigdy więcej o nim nie wspominać. Nie ma innego sposobu uwolnić człowieka pod Rządem Rossyjskim, tylko przybrać go do familji. Jakoż wielu tym sposobem uszlachecono z laski lub za pieniądze.

OMYŁKI.

Str. 8, w. 1. Wstąpić	<i>popraw</i> : Stąpić.
Str. 16, w. 14. Dąbrowski	<i>popraw</i> : Nasz Dąbrowski.
Str. 26, w. 4. Wieci	<i>popraw</i> : Wici.
Str. 30, w. 20. Florem	<i>popraw</i> : Flora.
Str. 36, w. 13. Ciepłą ich puch	<i>popraw</i> : Ciepły ich puch.
Str. 92, w. 15. Ręka	<i>popraw</i> : Ręką.
Str. 119, w. 14. Na wpół w czarnych chmurach	<i>popraw</i> : Napół w czerni chmur.
Str. 158, w. 14. Sybilskiej Nioby	<i>popraw</i> : Sypilskiej Nioby.
Str. 159, w. 1. Ku ziemi wznosi	<i>popraw</i> : Ku niebu wznosi.
Str. 161, w. 12. Ciemniejszą	<i>popraw</i> : Czarniejszą.
Str. 163, w. 4. Izmańłow	<i>popraw</i> : Izmaifłow.
Str. 165, w. 11. Oto	<i>popraw</i> : Otoż.
Str. 181, w. 17. Co chcesz	<i>popraw</i> : Co zechcesz.
Str. 185, w. 2. Pogniewał	<i>popraw</i> : Pogniewał się.
Str. 215, w. 16. Urban siodmy	<i>popraw</i> : Urban osmy.
Str. 217, w. 18. W zgłowi	<i>popraw</i> : Węzłowi.
Str. 225, po w. 19.	Najdłuższy proces bywa z duchowieństwem <i>dość</i> : Katolickiem, albo też z bliskiem pokrewieństwem.

CENA 2 TOMÓW ZŁO. POL. DWADZIEŚCIA.

SPIS RZECZY.

	strona.
KSIĘGA SZOSTA. — ZASCIANEK	5
KSIĘGA SIODMA. — RADA	39
KSIĘGA OSMA. — ZAJAZD	69
KSIĘGA DZIEWIĄTA. BITWA	113
KSIĘGA DZIESIĄTA. EMIGRACYA. JACEK	155
KSIĘGA IEDENASTA. ROK 1812	207
KSIĘGA DWUNASTA. KOCHAJMY SIĘ	243
OBJAŚNIENIA.....	289

W TYPOGRAFJI A. PINARD, PRZY WYBRZEŻU VOLTAIRE, 15.

82856



THE LIBRARY

THE LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
AND GEOGRAPHY
OF THE
CITY OF BOSTON
RECEIVED



Biblioteka Główna UMK



300044940960

Amelie

BIBLIOTEKA



VNIWERSYTECKA

82856

W TORUNIU